MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl **Nr 9 (286)** • ROK XXV • WRZESIEŃ 2019

KATOWICE
PRZESZŁOŚĆ I WSPÓŁCZESNOŚĆ

ISSN 1425-3917 09
9 771425 391707

Zmarły niedawno Bernard Krawczyk, wybitny aktor scen teatralnych: Katowic, Sosnowca, Gliwic, znakomity aktor filmowy i telewizyjny, został upamiętniony pomnikiem w Galerii Artystycznej miasta Katowic. Co roku we wrześniu, w związku z uroczystościami rocznicy nadania Katowicom praw miejskich, w galerii przybywa jedna rzeźba, upamiętniająca wybitną postać zasłużoną dla życia artystycznego i kulturalnego miasta oraz regionu. (foto: Arkadiusz Ławrywianiec)

Szczegóły str. 34

Nasz słynny trójskoczek – Józef Szmidt – gospodaruje w Zagoździe k. Drawska Pomorskiego. Wszystkie swoje medale podarował miastu Drawsko Pomorskie, które przygotowało wystawę stałą trofeów sportowych Józefa Szmidta w muzealnym Magazynie Solnym. Na zdjęciu z otwarcia wystawy – mistrz olimpijski z Rzymu i Tokio w rozmowie z burmistrzem Krzysztofem Czerwińskim. Fot. Adam Cygan

Szczegóły str. 42

W dolnośląskim Bagieńcu odbywają się co roku w czerwcu dni Johanna Wolfganga Goethego. Impreza na cześć niemieckiego romantyka ma związek z jego wizytą w pobliskim pałacu, który niestety, mógłby stanowić miejsce akcji jakiegoś tchnącego frenezją lub wręcz grozą poematu. (foto: Julia Montewska)

Szczegóły str 52

W dniu 4 września 2019 roku w Mississauga w Kanadzie zmarł

Florian Śmieja

Ślązak, urodził się 22.sierpnia 1925 roku w Zabrzu Kończycach,
znakomity nauczyciel akademicki, poeta, tłumacz z języka hiszpańskiego,
współpracownik takich czasopism jak m. in. „Kontynenty", „Kultura", „Odra",
„Tygodnik Powszechny", „Więź". Kawaler srebrnego medalu Zasłużony Kulturze Gloria Artis,
doctor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego.
Autor wierszy publikowanych w miesięczniku „Śląsk" i Wydawnictwie Naukowym „Śląsk"
Był honorowym członkiem Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego.
Odszedł nasz przyjaciel, mentor, mądry inicjator i towarzysz wielu literackich dyskusji.

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 9 (286). Rok XXV. WRZESIEŃ 2019 r.

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

KATOWICE Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

Biblioteka Śląska

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelny

ANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktora

MARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktora

TOMASZ BIENEK Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ
Kultura, literatura, sztuka

LAURA RYNDAK Korekta

Stali współpracownicy:
EWA BARTOS,
MAGDALENA DZIADEK,
MARIAN G. GERLICH,
RYSZARD JASNORZEWSKI,
PAWEŁ MAJERSKI,
WOJCIECH LIPOWSKI,
JULIA MONTEWSKA,
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO,
WIESŁAWA KONOPELSKA,
JAN MIODEK,
KATARZYNA NIESPOREK,
JERZY PASZEK,
DARISZ PIETRUCHA,
HENRYK SZCZEPAŃSKI,
JOANNA WAROŃSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ADRES REDAKCJI:
40–036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcjaslask@onet.pl

DTP: Tomasz Kowalski
e-mail: tomekk1959@tlen.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61–065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji.
Wydawca nie przewiduje honorariów za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU" – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk" 40–036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłat należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk"
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532–87–31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425–3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne można zamówić pod adresem:
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny"
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ
oraz na www.slaskgtl.pl

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Krystyna Heska–Kwaśniewicz* WRZESIEŃ NA KATOWICKIM RYNKU
8 *Grzegorz Grześkowiak* WALKI O KOPALNIĘ „MICHAŁ"
12 NA ZAWSZE. *Magdalena Śnioszek* WSPOMNIENIE O HENRYKU WIOŚNIE
16 *Marian G. Gerlich, Lilianna Moll-Gerlich* OBYWATEL ŚWIATA I HONOROWY OBYWATEL KATOWIC. ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM JASIŃSKIM
19 *Henryk Szczepański* 100 LAT ŚLĄSKIEJ INSUREKCJI HEROIZM I SZALEŃSTWO CZ. III
20 *Ryszard Mozgol* PANCERNE SKRZYDŁA
24 *Marek Skwara* MISTRZ STANISŁAW NIEMCZYK
28 *Lucyna Sadzikowska* ZNÓW TAŃCZĘ Z KOSSAKAMI. ROZMOWA Z JOANNĄ JURGAŁĄ-JURECZKĄ
30 *Lucyna Sadzikowska* BABCIA. ROZMOWA Z ANNĄ FENBY TAYLOR.
31 *Lucyna Sadzikowska* „MĄDRA, DOBRA PANI…" ROZMOWA Z Z JANINĄ ŻAGAN
34 *Tadeusz Sierny* GALERIA ARTYSTYCZNA NA PLACU GRUNWALDZKIM W KATOWICACH
42 *Andrzej Jarczewski* MISTRZ JÓZEF SZMIDT W DRAWSKU POMORSKIM
43 *Jerzy Paszek* CZYTADŁO WYCZAROWANE Z BRULIONÓW
48 HISTORIE PACHNĄCE BETONEM *Dariusz Pietrucha* MIECHOWICE — BALLADA O DZIURZE W ZIEMI
52 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* PAŁAC, W KTÓRYM BYWAŁ GOETHE
56 *Katarzyna Niesporek* ŚLĄSK UTRACONY. O POEZJI FLORIANA ŚMIEI
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* O „Ę" I „Ą" U HERBERTA
83 *Józefa Hanak* XV-LECIE STOWARZYSZENIA RUCHU HARCERSKIEGO „CZUWAJ"
84 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* LISTY DO KAZIMIERZA GOŁBY O WRZEŚNIU 39 ROKU
85 *Agnieszka Zielińska* WOLNOMULARZE W ZAGŁĘBIU DĄBROWSKIM
88 *Tomasz Bienek* KIEDY BRYNICA I PRZEMSZA ŁĄCZYŁY

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

36 *Andrzej Jarczewski* KATOWICKA GALERIA ARTYSTÓW
69 GALERIA: *Janusz Lech Wojcieszak* FOTOGRAFIA. PROJEKT POŚWIĘCONY RZECE RAWA

POEZJA I PROZA

3 WIERSZ NA OTWARCIE *Tadeusz Olszewski* LATO PERMANENTNE
14 *Tadeusz Olszewski* WIERSZE
32 *Marta Fox* DOM „MARIA" I WILLA NIKITY CHRUSZCZOWA
46 *Karol Bajorowicz* BIELSKI KSIĄŻĘ
54 *Ginter Pierończyk* PLECIONKA — OPOWIEŚĆ O ZAŁĘŻU
68 *Wilhelm Szewczyk* BIERAWKA

TEATR

74 *Wojciech Lipowski* ŚLĄSKIE PRZYPADKI DE GAULLE'A
75 *Wojciech Lipowski* W STRONĘ SPOKOJNEGO MORZA
76 *Grzegorz Ćwiertniewicz* ŚLĄSK DAJE NADZIEJĘ! ROZMOWA Z BARBARĄ LUBOS
80 *Radosław Kobierski* CIAŁO, HISTORIA, TOŻSAMOŚĆ cz. II

FELIETONY

39 MIĘDZY NUTAMI. *Magdalena Dziadek* PROF. ANDRZEJ JASIŃSKI HONOROWYM OBYWATELEM KATOWIC
40 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA. *Jan Miodek* BÓBR I INNE ŚLĄSKIE RZEKI
41 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* NIEMCY, NAZIZM, WOJNA W ANTYHITLEROWSKIM KOMIZMIE ŚLĄSKIM
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* UŚMIECH JAK SZELEST

KSIĄŻKI

63 *Andrzej Juchniewicz* STYGMATYZOWANA CIELESNOŚĆ
64 *Grażyna Barbara Szewczyk* O SZTUCE PISARSKIEJ SERBOŁUŻYCZANINA JURIJA BRĚZANA
66 *Jan Miodek* OPOWIEŚĆ O DZIELNYCH ŚLĄZACZKACH
67 KSIĄŻKI NADESŁANE

NOTATNIK KULTURALNY
86 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce: zdjęcie Katowic z drona i opracowanie komputerowe — Patryk Bródka.

Pismo wspierane finansowo przez:

Projekt objęty mecenatem MIASTA KATOWICE
KATOWICE dla odmiany

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Śląskie.

Od Redaktora!

Jak co roku we wrześniu, Prezydent Miasta Katowic uhonorował wybitnych twórców i artystów swoją nagrodą przyznaną w dziedzinie kultury. W tym roku laureatami zostali: **Marta Fox, Adam Godzien i Adam Pomian, Alexander Liebreich, Mona Tusz.** Dobrą tradycją stało się honorowanie wybitnych Katowiczan, zasłużonych dla miasta i Ślaska – akurat w okresie obchodów **urodzin miasta** (w tym roku 154 rocznicy). Wśród wielu powodów dla których — jak to zauważyli dziennikarze Dziennika Zachodniego — da się polubić miasto — wymienia się m.in.: muzykę, architekturę, gastronomię, dodam, że także teatr, imprezy sportowe w Spodku, jest pewnie jeszcze wiele innych okoliczności, które można by przywołać.

Perspektywy rozwoju miasta są pozytywne, co prawda ciągle jeszcze więcej osób opuszcza stolicę województwa, niż w niej się osiedla, ale budowanie atrakcyjności i konkurencyjności zurbanizowanych przestrzeni nie jest zadaniem chwilowym. To długa, konsekwentna praca, obliczona na wiele lat, szczególnie tam gdzie centrum przemysłowe zmienia się w centrum administracyjno usługowe i naukowe. A taki proces dokonuje się w Katowicach. Niebagatelną rolę w tych przemianach przypada szeroko rozumianej kulturze, w tym także bogatej ofercie wydarzeń i działań przygotowywanych przez instytucje kultury, twórców i artystów. Można z satysfakcją powiedzieć, że ilość imprez, rozległa paleta ofert kulturowych o wysokim poziomie artystycznym jak i ich różnorodność znacząco wzrosła w ostatnim czasie i niewątpliwie przyczynia się do wzmocnienia atrakcyjności stolicy województwa i metropolii.

Dlatego wyróżnienie Profesora **Andrzeja Jasińskiego** tytułem Honorowego Obywatela Katowic, odsłonięcie pomnika upamiętniającego talent i osobę **Bernarda Krawczyka** w Galerii Artystycznej na Palcu Grunwaldzkim, organizacja licznych festiwali, imprez rozrywkowych i naukowych jest działaniem władz miasta wyjątkowo ważnym i istotnym. Poprzez akceptację określonych postaw i zachowań konkretnych osób, obywateli Katowic regeneruje zachwianą ostatnimi czasy tkankę hierarchii wartości i tradycji właściwych dla naszego miasta i Regionu (np. tradycyjnemu szacunkowi do rzetelnej pracy przeczy fakt, że ponad **16% młodych ludzi w Polsce** — w wieku 20–34 lat w 2018 roku nie pracowało ani się nie uczyło. Tak prezentują się najnowsze dane Eurostatu — a to, tylko jeden z negatywnych przykładów).

Te ważne decyzje i działania władz naszego półtorawiekowego zaledwie miasta przypominają o humanistycznym, koniecznym dla zachowania spójności i integracji naszej społeczności obowiązku poszanowania i utrwalania pozytywnych wzorów zachowań wywiedzionych z tradycji regionalnej i narodowej, nie tylko tej manifestowanej w różnych formach folklorystycznych, ale przede wszystkim tej ujawniającej się w codziennych zachowaniach i relacjach między obywatelami, stylu i treści kontaktów: urzędnik – petent, lekarz — pacjent, sprzedawca — klient, sąsiad — sąsiad, przełożony – podwładny itp.

Atrakcyjną jakość życia gwarantującą pomyślną i spokojną egzystencję rodzin zapewniają nie tylko instytucje, ale także — a może przede wszystkim — codzienna jakość kultury i obyczajów regulujących nasze banalne, „robocze" relacje. Obyśmy potrafili kultywować: tradycyjną śląską gościnność, szacunek dla drugiej osoby jej fachowości i pracowitości, samorodna innowacyjność, czasem nieco naiwną, ale pełną pogody wiarę w pozytywne wobec nas intencje naszego kolegi lub znajomego, przekonanie o wyjątkowej wartości rodziny oraz przestrzeganie prastarych zasad moralnych, zapewne trudnych dziś do pogodzenia z wszechobecnym cwaniactwem i pazernością, konsumpcjonizmem i „globalizacją" marzeń. Kultura życia codziennego oraz ta wysoka — artystyczna, tak bujnie rozkwitająca w naszym regionie przypomina nam i utrwala, nawet wówczas gdy czyni to w kontrowersyjnej formie lub treści, wagę owych najbardziej szlachetnych i cennych cech natury i duszy ludzkiej.

Tadeusz Sierny

Lato permanentne

Chłopiec, bosy siedmiolatek, wyciąga ręce ku niebu,
wydaje się, że chce pochwycić słońce. Smakują mu
cierpkie wiśnie i niedojrzałe jabłka,
nie zna bezsennych nocy.

Kiedy mu mówię, że lato wkrótce się skończy, nie wierzy,
odbiega podskakując na jednej nodze.

Jeszcze słyszę jego śmiech, jeszcze go widzę,
gdy jak srebrny pocisk przecina rozpalone powietrze.

Tadeusz Olszewski urodził się 18 sierpnia 1941 w Małej Wsi na Mazowszu. Poeta, prozaik, krytyk literacki, dziennikarz, znawca i edytor poezji Emila Zegadłowicza. Przez wiele lat pracował w prasie podróżniczej i kulturalnej. Debiutował tomikiem wierszy *Łagodność* (1968), później wydał m.in. *Autoportret rąk* (1971), *Prawie dom* (1981), *Nocny wariant* (1986), *Ciemna pamięć* (1990), *Galicja* (1991), *Jesień z Audenem* (1992), *Tropiki smutku* (2009), *Owoc tarniny* (2013), *Daty i blizny* (2015). Mieszka w Warszawie.

rys. Bogdan Topor

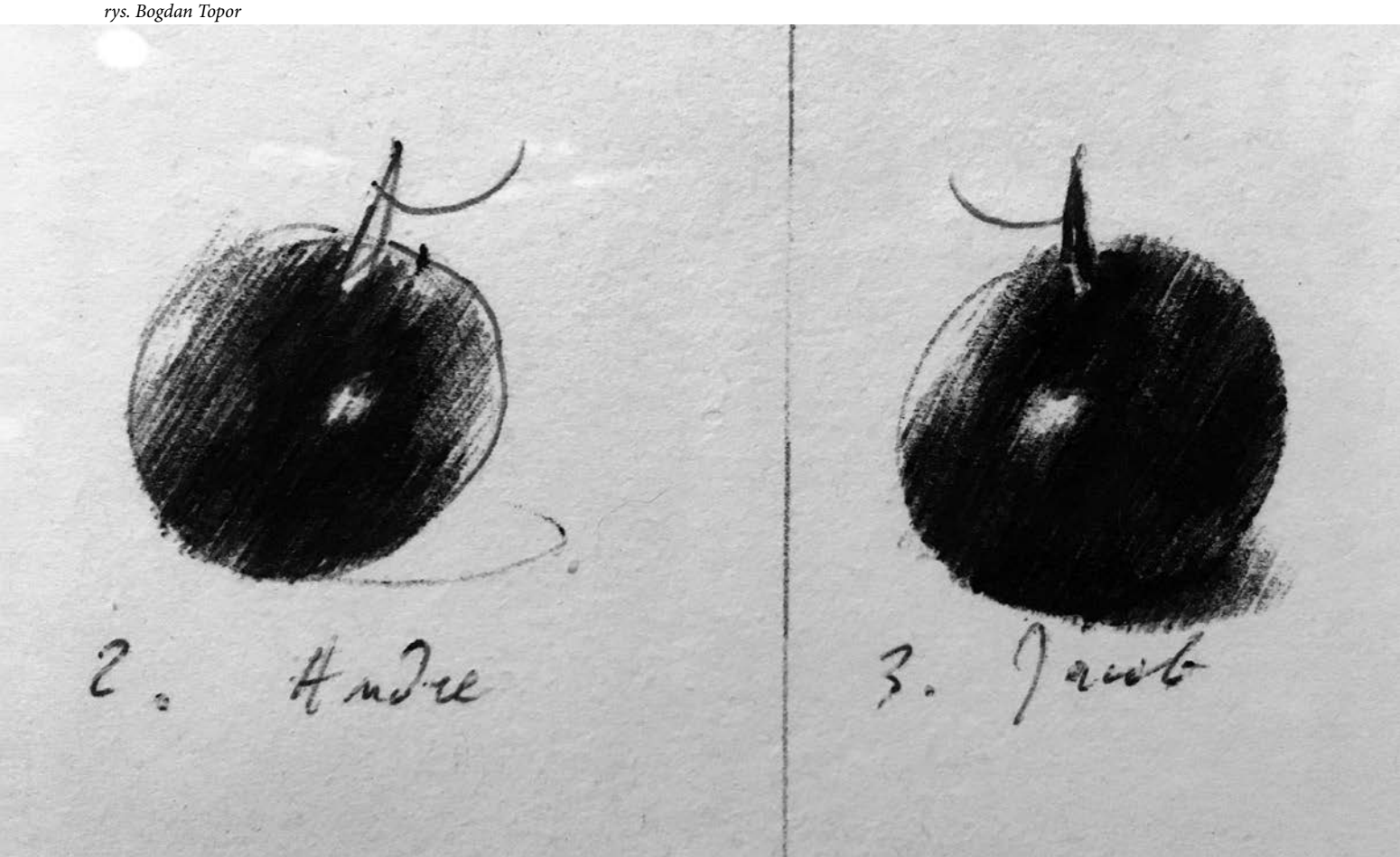

Wrzesień na katowickim Rynku

O powstańcach, harcerzach i Pomniku

KRYSTYNA HESKA–KWAŚNIEWICZ

Pani **Helena Kostrzewska** urodziła się w Katowicach, we wrześniu 1939 była kilkuletnią dziewczynką. Czwartego wybrała się z matką do centrum miasta, na ul. Zamkowej (dzisiaj al. Korfantego) za rogiem kamienicy zobaczyła jak niemiecki żołnierz w hełmie prowadził jedenastoletniego harcerza oraz powstańca, weszli na podwórze kamienicy z bramą zjazdową. Helence zrobiło się zimno, choć wiemy, że tamten wrzesień był ciepły. To się pamięta – dodaje – jak i to, że katowicki rynek był pełen ludzi. Co się działo w podwórzu kamienicy, dowiedziała się później.

Włodzimierz Rekłajtis – także mieszkał w Katowicach od urodzenia, w 1939 miał 10 lat i wrzesień kojarzy mu się z obrazami, których nigdy nie zapomni. W pierwszych dniach szedł z rodzicami od ul. 3 Maja w stronę Rynku, gdy nagle rozległy się strzały, a następnie krzyki, wszyscy schronili się w schronie, gdzie ludzie mówili, że toczą się walki w Parku Kościuszki, strzały padały też od strony teatru. Po dwóch, trzech godzinach usłyszeli w języku niemieckim rozmowę, że banditów już wyparto, potem jeszcze słyszeli strzały z egzekucji na podwórzu ulicy Zamkowej. Pamięta, że mówiono, że rozstrzeliwani są nie tylko powstańcy i harcerze ale i dzieci.

***

Te dwie relacje, a można by ich przytoczyć więcej (por. „Śląsk"2002 nr 9), potwierdzają historyczność wydarzeń i miejsca. To wszystko działo się na katowickim Rynku w pierwszych dniach września 1939 roku, czyli 80 lat temu. Dziś upamiętniają te wydarzenia niepozorna tablica i harcerski pomnik, zlokalizowane przy Alei W. Korfantego u wylotu ulicy S. Moniuszki. Choć same wydarzenia miały miejsce na Rynku, a egzekucja odbyła się na podwórzu jednej z kamienic, które stały tu w przedwojennej zabudowie przylegającej ulicy Zamkowej. W dniu 4 września 1939 roku Niemcy dokonali tu masowej egzekucji obrońców Katowic, harcerzy, powstańców i cywilów. Zginął wówczas bohaterski dowódca powstańczej obrony miasta Nikodem Renc z synem Józefem. Wśród zamordowanych byli m.in. hm. Aleksander Rzeszótko oraz harcerze: Jan Bytomski, Leon Łukomski, Władysław Pierończyk, Wilhelm Szajcht oraz Jerzy Scheidt i aptekarz z Chorzowa, Edmund Baranowski. Znajdowali się wśród ofiar także niektórzy obrońcy Parku Kościuszki, wychwytywani już po zniszczeniu wieży spadochronowej. Szczegóły przekazał ocalały z egzekucji chorzowski harcerz Rafał Kocik, zeznający przed Okręgową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach 25 kwietnia 1967 roku. Większości nazwisk zamordowanych obrońców, niestety nie znamy. Prawdopodobnie zostali potem pochowani w zbiorowej mogile na panewnickim cmentarzu. Zachowało się jednak zdjęcie prowadzonych na egzekucję, które piętnaście dni później wrzucił ktoś do mieszkania rodziny Nikodema Renca. Zdjęcie zrobione było aparatem Leica i takie odbitki otrzymały rodziny wielu zamordowanych. Z przekazu rodziny też wiadomo, że Nikodem Renc przed śmiercią krzyknął „Niech żyje Polska"! Po latach pisał Tadeusz Kijonka:

fot. archiwum autorki

Z tamtych dni jak wołanie cisza wzbiera po nich,
Nie rozchyli się przestrzeń spięta werblem salw.
Pojednani z ziemią nie pytają o nic
Wszystko już zamknięte: na metalu rdza…

Tablica i Pomnik nie mają więc charakteru symbolicznego, ale historyczny. To co się wówczas wydarzyło na katowickim Rynku zostało potwierdzone przez historyków i przez wielu świadków. Jednak Droga do tego pomnika była długa i pełna trudności, przecież Zdzisław Grudzień powiedział, że póki on żyje, ten pomnik nie stanie w Katowicach. Zdzisław Grudzień umarł w roku 1982, a Pomnik stanął w rok później.

Ale inicjatywa pojawiła się wkrótce po wojnie i cały czas pulsowała; początkowo na katowickim Rynku został postawiony niewielki pomniczek, z tablicą upamiętniającą wydarzenie, rozebrany wkrótce w związku z przebudową Rynku, a tablicę wmurowano w ścianę budynku przy ul. Skośnej, gdy i on został zburzony, tablica wróciła na Rynek i położono ją płasko nieopodal jezdni wówczas przy ul. Armii Czerwonej. W roku 1967 chciano ją zlikwidować, bo podobno stanowiła zagrożenie dla ruchu i gdyby nie gorący protest harcerzy – pewnie by tablicę usunięto. W tym samym czasie wisiały też czarne chmury nad Wieżą spadochronową w Parku Kościuszki, która „zagrażała" bawiącym się tam dzieciom. Władze ówczesne były po prostu niechętne jakimkolwiek formom upamiętniania przedwojennego harcerstwa.

A niemal równocześnie wciąż żyło w pamięci społeczności katowickiej, w rodzinach i wśród przyjaciół straconych harcerzy i powstańców, pragnienie wzniesienia im pomnika. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych w katowickich szkołach ogłoszono konkurs ma projekt monumentu, odzew był szeroki i na tym się skończyło. Potem w roku 1964 w rejonie ul. Bankowej, gdy budowano zespół szkół, tam zamierzano upamiętnić harcerzy. Projekt w formie rozpostartych harcerskich proporców wykonała Teresa Rauszer–Michałowska, ale dalszego ciągu nie było. Natomiast w roku 1969 rozstrzygnięto konkurs na pomnik harcerski Stowarzyszenia Architektów Polskich i Związek Polskich Artystów Plastyków; wygrali go plastycy krakowscy: Ryszard Trzciński i Krzysztof Majka, projekt był oparty na motywie harcerskich proporców, a zlokalizowany miał być w centrum miasta. Jednak ówczesne władze partyjne wydały absolutny zakaz realizacji, nawet wspominania o tym pomyśle. A już zebrano ponad tonę metali kolorowych i 195 tys. złotych i Zarząd Zieleni Miejskiej przekazał bryłę granitu, taki był społeczny odgłos tej sprawy! Metale wróciły do hut, granit zabrał Zdzisław Grudzień, a ocalałe pieniądze zdeponowano na koncie Komendy Katowickiej Chorągwi ZHP. Nie zachował się z tego konkursu ani jeden projekt.

Ale idea żyła dalej! We wspólnym dążeniu do upamiętnienia harcerzy poległych w obronie polskości była tęsknota nie tylko za przeszłością, ale też za trwałymi wartościami, których nie niszczy czas ani niepamięć. W roku 1971 Koło Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Centralnym Ośrodku Badawczo–Projektowym Wzbogacania i Utylizacji Kopalin „SEPARATOR" chciało wykonać społecznie płytę pamiątkową – znów skończyło się na planach. Jednak w latach siedemdziesiątych o pomniku zaczynało być coraz głośniej. Śląscy plastycy zorganizowali społecznie konkurs, na którym pierwszą nagrodę zdobył artysta rzeźbiarz Tadeusz Ślimakowski z Chorzowa. Monument przedstawiający ścianę skomponowaną z karabinów i wplecionych pomiędzy nie lilijek harcerskich miał stanąć w Rynku, nieopodal tablicy pamiątkowej. Wydawało się, że tym razem dojdzie do realizacji, gdy nagle wykonawca – Gliwickie Zakłady Urządzeń Technicznych – wycofały się ze zobowiązań.

Sześć lat później Rada Artystyczna Sekcji Rzeźby przy katowickim Zarządzie Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków znów powróciła do idei. Konkurs był „społecznym czynem" uczczenia 35–lecia PRL i ten konkurs okazał się ostateczny! Wygrał pełen ekspresji pomnik figuralny artysty rzeźbiarza Zygmunta Brachmańskiego. 19 września 1979 roku Urząd Miasta Katowic wydał akt lokalizacyjny na przylegającym do rynku niewielkim Placu Obrońców Katowic. 30 marca 1981 roku zawiązał się Społeczny Komitet Budowy Pomnika Pamięci Bohaterskich Harcerek i Harcerzy Śląskich, któremu przewodniczył Juliusz Szaflik, a w rok później Zdzisław Grudzień zmarł. Część członków Komitetu, kierowała się poczuciem obowiązku wobec poległych kolegów, młodsi, wyrośli na przekazie pamięci, na *Wieży spadochronowej* Kazimierza Gołby, z potrzeby serca chcieli uczestniczyć w tym zamierzeniu.

Prace zaczęły posuwać się błyskawicznie, a towarzyszyła im niebywała ofiarność śląskich zakładów pracy i całej społeczności. 4 września 1981 roku wmurowano akt erekcyjny, który dzisiaj ma już też charakter historyczny, więc może warto go przytoczyć.

„***4 września 1981*** *r. siedemdziesiąt lat po powstaniu pierwszych drużyn skautowych na ziemiach polskich, sześćdziesiąt lat po wybuchu trzeciego powstania śląskiego, sześćdziesiąt lat po powstaniu Z.H.P. na Górnym Śląsku, czterdzieści dwa lata po bohaterskiej obronie Katowic przez harcerki i harcerzy, trzydzieści dziewięć lat po ścięciu na gilotynie w katowickim więzieniu pierwszego komendanta Śląskich Szarych Szeregów – Józefa Pukowca – wmurowano ten akt erekcyjny pod pomnik pamięci o tych, którzy w latach wojny i okupacji czynem poświadczając słowa harcerskiego hymnu „Wszystko, co nasze Polsce oddamy" oddali za nią życie; ginąc na wieży spadochronowej w Parku Kościuszki, padając od kul na katowickim Rynku i w domu Powstańca, dusząc się na gotartowickich szubienicach, umierając w Oświęcimiu, Majdanku, Ravensbrück i innych obozach zagłady, walcząc na wszystkich frontach bitewnych drugiej wojny światowej.*

Pomnik *wznoszą harcerze – harcerzom, pokolenie tych, którzy żyją na polskim Śląsku – pokoleniom, które o ten Śląsk walczyły. Ma on stać się symbolem pamięci i przestrogą, aby już nigdy polskie dzieci nie musiały krwią poświadczać, „świętej miłości kochanej Ojczyzny" oraz dokumentem, że tu na Śląsku być harcerzem – znaczyło umieć żyć i umierać dla Polski.*

Ten Akt Erekcyjny *dla pamięci potomnych kładąc wierzymy, że w symbolu krzyża i lilijki harcerskiej będzie tkwić moc na dalsze dziesiątki lat istnienia Związku Harcerstwa Polskiego, że pomnik tu wzniesiony wyzwalać będzie u każdego, który przy nim przystanie głęboką patriotyczną refleksję."*

Na zamurowanym już akcie położono płytę z napisem: *Tu stanie pomnik ku czci harcerstwa śląskiego 4 IX 1981*. Po części oficjalnej fundament poświęcił ks. Franciszek Jerominek, przedwojenny prefekt gimnazjalny, w latach 1946–1949 kapelan Drugiej Drużyny Harcerzy im. Tadeusza Kościuszki.

Dwa lata później powrócili śląscy harcerze na katowicki rynek, aby pozostać tu już na zawsze. Cztery młodzieńcze postaci w harcerskich mundurach wychodzą w otwartą przestrzeń miasta. Jest w ich sylwetkach siła i moc, ból i śmierć pozostawili za sobą. Bohaterowie mają rysy konkretnych osób i każdy z nich stanowi rozdział z dziejów śląskiego harcerstwa. Stoją obok siebie: harcmistrz Józef Pukowiec, komendant Tajnej Chorągwi Harcerzy, ścięty na gilotynie w 1942 w katowickim więzieniu, za nim Stanisław Sołtys – w roku 1939 maturzysta katowickiego „Mickiewicza", bohaterski skoczek spadochronowy, stracony przez Niemców w czerwcu 1944 w Rzeszowie. Obok niego – piękna dziewczyna, która ma rysy córki rzeźbiarza – Zygmunta Brachmańskiego, upamiętnia ona jednak Olgę Kamińską – Prokopową, uczennicę Liceum Curie Skłodowskiej, harcerkę ściętą w wieku lat 21 w Moabicie. Ostatni z prawej to Ryszard Kot – dwudziestodwuletni harcerz, który śmiertelnie ranny 1 września 1939 w walkach z bojówkami hitlerowskimi o kopalnię „Michał", zmarł następnego dnia.

Przypomnijmy te postaci, bo każda z nich ma charakter historyczny. Więc Józef Pukowiec urodzony w roku 1914, harcerz „wierny do ostatka", czternastoletni goniec w komitecie plebiscytowym w Rybniku zaangażowany, jak cała rodzina w sprawy polskie. Mimo ułomności fizycznej, przekroczył szybko próg przeciętności. Ukończył seminarium nauczycielskie i rozpo-

fot. Tomasz Bienek

czął pracę w szkole, a w harcerstwie odnalazł swą pasję życiową. Przeszedł więc wszystkie szczeble harcerskiego wtajemniczenia: był drużynowym, komendantem Hufca Harcerzy w Rybniku, a w Górkach Wielkich w Szkole Instruktorskiej oboźnym legendarnego „Maryśki" – Mariana Łowińskiego, wówczas komendanta Chorągwi Śląskiej. W lecie 1939 został komendantem Chorągwi, a 1 września 1939 zastał go w siedzibie Komendy w Katowicach przy ul. Francuskiej 12, wkrótce potem został pierwszym komendantem Tajnej Śląskiej Chorągwi Harcerzy, stając się jej sercem, mózgiem i sumieniem. Wprowadzony przez Karola Kornasa, wszedł do sztabu Sił Zbrojnych Polski na Śląsku jako szef Propagandy i Informacji. Jednak okupant już rozpoczął masowe aresztowania i do domu Druha Komendanta 18 grudnia 1940 wtargnęło 11 uzbrojonych gestapowców. Pukowiec początkowo znalazł się w obozie oświęcimskim, w połowie stycznia 1941 przewieziono go do więzienia w Katowicach i poddano okrutnemu śledztwu. Potem przerzucano go do więzień w Bytomiu, Gliwicach, Berlinie – wszędzie bestialsko katując. Nikogo nie wydał i nie załamał się aż do końca. Skazany na śmierć „za przygotowywanie zdrady państwa", 14 sierpnia następnego roku został ścięty na katowickiej gilotynie. Tadeusz Kijonka, znający jak nikt sprawy śląskie zawsze twierdził, że Pukowiec jest kandydatem na ołtarze, że był to człowiek święty.

Obok Józefa Pukowca stoi Stanisław Sołtys, urodzony w1921 roku, syn Jadwigi i Miłosza. Harcerskie pasje odziedziczył po rodzicach. Jego ojciec, Miłosz, także harcerz i powstaniec był dowódcą batalionu harcerskiego w pułku gliwickim Stanisława Masztalerza. Matka, Jadwiga z Malczewskich to również harcerka i działaczka społeczna.

Zdał w 1939 roku maturę w Katowickim Liceum i Gimnazjum Humanistycznym im. A. Mickiewicza i tam należał do drużyny harcerskiej, „dwójki", której patronem był Tadeusz Kościuszko. Harcerstwo nie było dla niego młodzieńczą przygodą ale służbą, którą pełni się „całym życiem". Po ukończeniu szkoły średniej, pragnął studiować na AGH a następnie powrócić na Śląsk, tak bardzo potrzebujący do przemysłu wysoko kwalifikowanych polskich fachowców. Jeszcze w 1939 r. przedostał się do Francji. Tutaj, w miejscowości Guer, ukończył z wynikiem bardzo dobrym szkołę podchorążych. W 1940 r. wraz z wojskiem polskim, znalazł się w Anglii. Jego marzeniem jednak była walka z wrogiem w kraju, dywersja, przeszedł więc ciężkie szkolenie dla cichociemnych. W styczniu 1943 r. odleciał do Polski. Na lotnisku w Tempstord jego i trzech innych skoczków spadochronowych pożegnał generał Sikorski. Zrzucono go na Kielecczyźnie ale terenem działania był okręg Mielec – Stalowa Wola. W maju 1944 został aresztowany w Przybyszy koło Mielca. Po ciężkich torturach, które przetrzymał w sposób bohaterski, otrzymał wyrok śmierci. 8 czerwca został rozstrzelany w Rzeszowie, po wojnie rodzina sprowadziła ciało do grobowca rodzinnego w Sandomierzu. O jego pamięć upomnieli się koledzy, maturzyści rocznik 1939 z katowickiego „Mickiewicza".

Postać harcerki przywodzi na myśl Olgę Kamińską, urodzoną w Brodach w województwie tarnopolskim w roku 1922, lecz od wczesnego dzieciństwa związaną z Katowicami. Tutaj przeszła wszystkie stopnie edukacji harcerskiej: od gromady zuchowej, poprzez zastęp Sarenek II Żeńskiej Drużyny harcerskiej przy Miejskim Gimnazjum i Liceum Żeńskim w Katowicach aż do funkcji przybocznej. Bardzo chciała walczyć i poprzez Węgry i Jugosławię przedostać się na Zachód, zaciągnąć do wojska polskiego jako łączniczka lub sanitariuszka.

W październiku 1939 roku, szlakiem polskich uchodźców, dotarła wraz z grupą polskich harcerzy na Węgry. Tam zamieszkała na terenie obozu prowadzonego przez znanego harcmistrza Zbigniewa Trylskiego, gdzie zdała wojenną maturę. Węgry jednak przestały być bezpieczne dla polskiej harcerki, były pod coraz dokładniejszą obserwacją hitlerowską. Po wyjściu za mąż za harcerza, Jana Stanisława Prokopa przedostała się do Jugosławii, skąd mieli podążyć na Zachód. Jan odjechał pierwszy transportem wojskowym do Anglii. Olga miała odjechać wkrótce za nim, ale w roku 1941 wojska niemieckie wkroczyły do Jugosławii. Działała tu misterna siatka konspiracyjnych organizacji polsko–jugosłowiańskich organizujących przerzuty zbiegów z krajów okupowanych. Dziewiętnastoletnia Olga oddała się tej pracy bez reszty; mimo że już wówczas spodziewała się dziecka, pilotowała przerzuty do Turcji. Aresztowana została jesienią 1941 roku w Pirocie, na granicy bułgarsko–tureckiej wraz z dwoma Anglikami mjr. Littledale i por. Sinclairem, uciekinierami z Fortu VIII w Poznaniu. Przekazana Gestapo trafiła do więzienia w Belgradzie, gdzie toczyło się śledztwo w sprawie polskiej siatki przerzutowej.

25 lutego 1942 roku w więzieniu w Belgradzie Olga urodziła synka Marka, wkrótce potem przetransportowano ją do Wiednia i tam w czerwcu 1942 r. odebrano jej dziecko, które umieszczono w wiedeńskim Zentralkinderheim. Uruchomiony przez nią i przez przebywającą w Krakowie rodzinę (matkę i siostrę Krystynę) łańcuch ludzi dobrej woli, w którym znalazły się także współczujące austriackie pielęgniarki, zaczął skutecznie działać i przewieziono dziecko do Krakowa. Rozprawa toczyła się w Berlinie. 8 marca Olga znalazła się w więzieniu karnym Ploetzensee, tam powiadomiono ją, że Hitler nie skorzystał z prawa łaski, Olga została ścięta na gilotynie 9 marca 1943 r. o godzinie 19.06 w więzieniu Ploetzensee. O jej pamięć też się upomnieli rówieśnicy, rodzina i prof. Mieczysława Mitera–Dobrowolska, wówczas pracownik naukowy Uniwersytetu Śląskiego, a przed wojną nauczycielka Olgi.

I ostatnia z postaci to ćwik Ryszard Kot urodzony w 1917 roku, harcerz z Michałkowic, sekretarz 7 DH im. Adama Mickiewicza w Michałkowicach, pracujący jako pomocnik biurowy w zakładach Hohenlohe w Katowicach– Wełnowcu. 31 sierpnia w walce o opanowaną przez oddział *Freikorpsu* kopalnię „Michał" w Michałkowicach został śmiertelnie ranny i odszedł dwa dni później na wieczną wartę.

Jest to zarazem w pełni udokumentowany przypadek udziału harcerza w walce z bronią w ręku, na „pierwszej linii".

Wszyscy oni w dzieje Śląska wpisali swe piękne i tragiczne biografie. Nie trzeba być socjologiem, by dostrzec jak znamienna to reprezentacja: pokoleń, szarż i funkcji. Na odwrocie pomnika jest mapa miejsc, w których walczyli, zwyciężali, lecz i ginęli śląscy harcerze; są tu pola bitewne i obozy koncentracyjne z lat 1939–1945. Dopiero ona daje wyobrażenie o wielkości harcerskiej ofiary.

Harcerze z pomnika należeli do pokolenia, które w przyrzeczeniu harcerskim ślubowało „Bogu i Polsce", dlatego część członków Komitetu, nie bacząc na konsekwencje, postanowiła doprowadzić do poświęcenia pomnika w porozumieniu i za zgodą biskupa H. Bednorza. O godzinie 12.00 4 września 1983 roku zgromadziliśmy się na Mszy św. w katowickiej Katedrze Chrystusa Króla; byli harcerze i harcerki wszystkich pokoleń i katedra wypełniła się szarymi i zielonymi mundurami; przyjechały delegacje z odległych miast Polski, byli nawet weterani harcerscy ze Lwowa. W sumie było około 4.000 wiernych, potężnie zabrzmiał harcerski śpiew i pochyliły się sztandary. Najświętszą Ofiarę sprawował ks. bp. Janusz Zimniak w koncelebrze kapelanów harcerskich a także ks. Dominika Orczykowskiego z zakonu OO Kapucynów. Biskup Zimniak nawiązując do symboliki harcerskiego krzyża i harcerskiego dekalogu, powiedział:

„Harcerze katowiccy polegli w obronie wolności oddając swoje życie, podobnie jak Chrystus, wyrzekli się wszystkiego, bo domagała się tego wierność krzyżowi. Nie złożyli broni, gdyż nosili wypisane na swoim krzyżu jakże ewangeliczne wezwanie „Czuwaj". Dzięki temu wezwaniu oddali wszystko i stali się rzeczywiście uczniami Chrystusa. Czy więc ponieśli klęskę? […] Nie oni zwyciężyli! Ich krzyż jest znakiem zwycięstwa, podobnie jak krzyż Chrystusa jest znakiem zwycięstwa. Zwycięstwa życia nad śmiercią, miłości nad nienawiścią. Nasze czasy domagają się podobnych zwycięstw, nie nad drugim człowiekiem, ale nad sobą samym. Wzorem takiego zwycięstwa na drodze wierności krzyżowi są dla współczesnych pokoleń młodzieży śląscy harcerze polegli w obronie Ojczyzny i wiary".

Po eucharystii zeszli wszyscy ul. Wita Stwosza na katowicki Rynek, utworzyli potrójny krąg i jeszcze przed oficjalną uroczystością, która nie przewidywała „akcentów religijnych" ks. bp Zimniak po zaintonowaniu *Hymnu Wszystko, co nasze* i modlitwie za zmarłych i żyjących harcerzy, poświęcił Pomnik, a uczestnicy odśpiewali *Modlitwę Harcerską*. Jeszcze długo potem Służba Bezpieczeństwa szalała z bezsilnej wściekłości – ale Pomnika już się nie dało „odświęcić", choć jak wynika z akt znajdujących się w Instytucie Pamięci Narodowej, doskonale znano inicjatorów tej „dywersji". W aktach sprawy „Ministrant" czytamy: „Z przeprowadzonego wówczas rozpoznania [wynika – KHK], że inicjatorami poświęcenia pomnika byli: Wieczorek Paweł, Gadomska–Wieczorek Anna, dr Heska–Kwaśniewicz Krystyna – pracownik naukowy UŚ w Katowicach oraz Suchy Bogdan". I jest to informacja prawdziwa.

Oficjalne uroczystości rozpoczęły się o godzinie 14.00. Były na nich władze miasta, Związku Harcerstwa Polskiego, powstańcy, także Jerzy Ziętek, ale dominowały harcerki i harcerze wszystkich pokoleń – nie widziano ich chyba jeszcze tylu w Katowicach.

O 16.30 uroczyście opadła biało-czerwona wstęga, pomnik został odsłonięty a śpiew *Wszystko, co nasze Polsce oddamy* ponownie wstrząsnął katowickim Rynkiem, tym samym, który pamiętał, jak „... ginęła na Rynku śląska piosnka – ta nie dośpiewana". Pomnik posiadał niezwykłą dynamikę, którą powodował wysoli cokół, w jeszcze silnie świecącym słońcu prezentował się porywająco, harcerze jakby wychodzili z niego idąc w „jasną z błękitu utkaną dal".

Odsłaniali pomnik, obok Juliusza Szaflika, Helena Gołbowa, żona pisarza, który pierwszy postawił pomnik miastu *Wieżę spadochronowa*, dh Rafał Kocik, który mając lat dziewiętnaście niemal cudownie ocalał z egzekucji na katowickim Rynku, Jadwiga Sołtysowa, matka Stanisława, współtwórczyni śląskiego harcerstwa, współpracowniczka Polskiego Sekretariatu Plebiscytowego w Bytomiu, w III Powstaniu Śląskim a zarazem przedstawicielka wszystkich śląskich matek, których dzieci poległy za ojczyznę. Wreszcie Marek Prokop – syn Olgi, w owym czasie prezydent Siemianowic oraz Alojzy Kot – najstarszy brat Ryszarda – ludzie najściślej związani z harcerzami z tamtych lat. Zostali zarazem uhonorowani i w pewnym sensie przeproszeni za lata milczenia, krzywd i przekłamań.

Pomnik wpisał się natychmiast w przestrzeń miasta i obok wieży spadochronowej w Parku Kościuszki stanowił najbardziej wyrazisty symbol przeszłości Katowic. Niestety, w latach 2010 –2016 podczas przebudowy Rynku zdjęto go z cokołu i postawiono płasko na ziemi, obok tablicy, tuż przy szynach tramwajowych. Odebrało mu to całą wzniosłość i dynamikę. Wydaje się, że zmalał, cóż „ideał sięgnął bruku" – powiedziałby poeta. ■

Czytelników zainteresowanych tematyką poruszoną w artykule prof. Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz, odsyłamy do artykułu prof. Z. Nowaka: *35 lat na katowickim rynku - Pomnik Harcerzy Śląskich* (w:) "Śląsk"

fot. Tomasz Bienek

Walki o kopalnię „Michał” 1 września 1939

GRZEGORZ GRZEŚKOWIAK

Na Śląsku Kampania Wrześniowa 1939 roku trwała zaledwie kilka dni. Złożyły się na nią różne wydarzenia, które należy ułożyć w pewnej chronologii: akcje bojowe niemieckich oddziałów dywersyjnych na pograniczu, rosnący bierny opór mniejszości niemieckiej wobec polskich władz i administracji, żywiołowy opór polskiej samoobrony, działania bojowo-operacyjne Wojska Polskiego, akcje odwetowo-pacyfikacyjne niemieckich formacji policyjnych i ochotniczych.

Pojedyncze wypady Sonderformation Ebbinghaus na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej zaczęły się już w sierpniu, przed rozpoczęciem II wojny światowej. W chwili obecnej nie sposób jednak określić celów oraz sił, które brały w nich udział. Nasilenie tych działań nastąpiło w nocy z 23/24 sierpnia 1939 roku, kiedy to oddział Sonderformation Ebbinghaus opanował stację kolejową i część miejscowości granicznej Makoszowy. Po zaciętej walce z funkcjonariuszami Śląskiego Inspektoratu Okręgowego Straży Granicznej i Policji Województwa Śląskiego, wróg wycofał się do Zabrza (wówczas Hindenburg), czyli na teren III Rzeszy Niemieckiej. Akcja ta była zapewne związana z planowanym rozpoczęciem działań wojennych Wehrmachtu przeciwko Polsce od 26 sierpnia 1939 roku.

Zgodnie z planem operacyjnym, na hasło „*Falke*” (sokół), postawiono w gotowości bojowej oddziały Sonderformation Ebbinghaus, które 1 września 1939 roku o godzinie 3 ruszyły do walki. Priorytetowymi celami dla wroga były zakłady przemysłowe, leżące w strefie nadgranicznej, przede wszystkim kopalnie „*Bielszowice*” (Bielszowice), „*Walenty-Wawel*” (Ruda) oraz huta „*Zygmunt*” (Łagiewniki). W tym samym czasie, inne grupy dywersyjne podjęły próbę opanowania kopalni „*Radzionków*” i huty „*Łazarz*” (Radzionków) oraz kopalni „*Orzeł Biały*” (Brzeziny Śl.).

fot. ze zbiorów autora

Kopalnia „Michał”, widok od str. południowej. Lata 30, XX wieku.

Trzecim celem ataku była kopalnia „*Michał*” na terenie Michałkowic, którą miał opanować i utrzymać oddział dowodzony przez SA-Obersturmbannführera Wilhelma Pisarskiego.

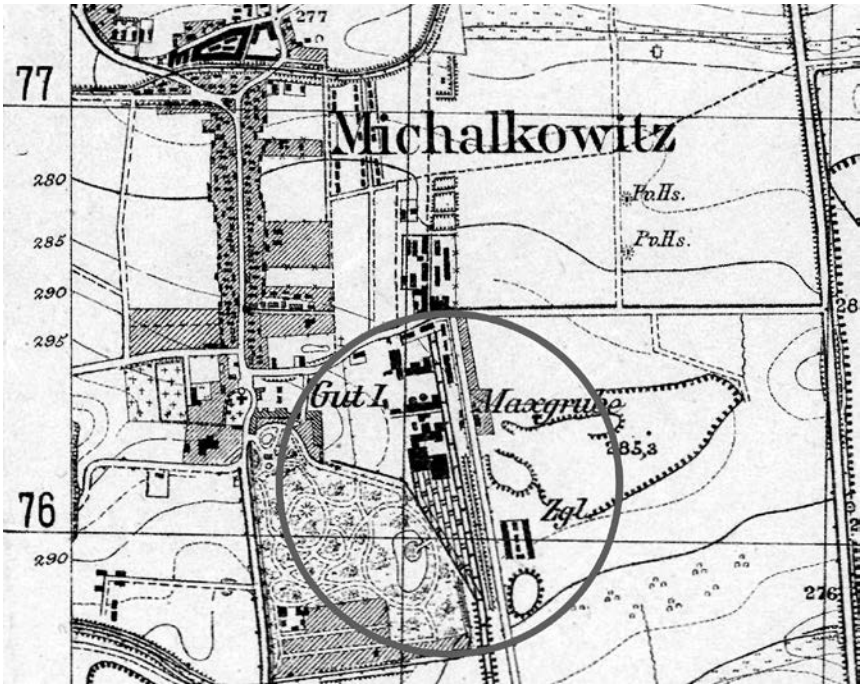

fot. ze zbiorów autora

Fragment niemieckiej mapy z zaznaczeniem kopalni „Michał” (Maxgrube) oraz samej miejscowości Michałkowic (Michalkowitz). Stan na rok 1939. Takimi mapami dysponowali dowódcy plutonów i drużyn oddziału Sonderformation Ebbinghaus pod dowództwem SA-Obersturmbannführera Wilhelma Pisarskiego.

W celu ochrony granicy i zwalczania dywersantów, którzy przenikali na polską stronę w rejonie przemysłowym, Zarząd Główny Związku Powstańców Śląskich w porozumieniu z dowództwem 23 Górnośląskiej Dywizji Piechoty Wojska Polskiego utworzył oddziały samoobrony. W połowie sierpnia 1939 roku na terenie Michałkowic został utworzony oddział samoobrony, którego rdzeń a jednocześnie główną siłę stanowili weterani Powstań Śląskich.

Dowódcą oddziału samoobrony był naczelnik gminy kpt. rez. WP Walenty Fojkis, a dowódcami plutonów — weterani powstań: Leopold Drenda, Albin Niechwiejczyk, Stanisław Rzepus i Ignacy Tynior. Plutonem harcerskim dowodził podharc. ZHP Paweł Wróbel.

W skład oddziału, oprócz Powstańców, wchodzili również członkowie organizacji wojskowo – patriotycznych oraz Związku Harcerstwa Polskiego. Ogólna liczba ochotników, obecnie jest szacowana przez historyków od 250 do 300 osób.

Nad ranem 1 września 1939 roku ok. godz. 4 wszedł na teren Michałkowic oddział SA-Obersturmbannführera Wilhelma Pisarskiego, liczący ok. 200 ludzi**.** Miejscem koncentracji oddziału Pisarskiego w Michałkowicach, po przekroczeniu granicy niemiecko-polskiej w rejonie Bytomia, był basen pływacki mieszczący się na północno-zachodnim skraju miejscowości.

Oddział Sonderformation Ebbinghaus był doskonale uzbrojony i wyposażony. Dywersanci uzbrojeni byli w karabiny Mauser 98 i 98K, ręczne karabiny maszynowe MG-34, 30-strzałowe pistolety maszynowe produkcji czeskiej ZK383, pistolety, granaty oraz szturmowe pałki sprężynowe tzw. *Totschlägery*. Prawie wszyscy dywersanci po-

fot. ze zbiorów autora

Kapitan rez. WP Walenty Fojkis — Wójt Gminy Michałkowice oraz dowódca polskiej samoobrony latem 1939 roku. Lata 30. XX wieku

siadali przeszkolenie wojskowe i znali zasady taktyki walki w aglomeracji miejskiej.

Pierwszy oddział w sile ok. 120 ludzi, którym osobiście dowodził Wilhelm Pisarski, skierował się ul. Kościelną a następnie ul. Pocztową w kierunku kopalni.

Pozostała grupa, dowodzona przez Hansa Hargutha skierowała się obrzeżami Michałkowic w kierunku Bytkowa, aby od strony południowej uderzyć na teren kopalni.

Pomimo niewielkiej odległości od granicy ok. 5 km, polski oddział samoobrony nie był skoszarowany, a system powiadomienia o alarmie odbywał się przez łączników, którzy mieli do dyspozycji tylko prywatne rowery jako jedyne środki transportu. Łącznicy pełnili służbę całodobową w budynku Urzędu Gminy w Michałkowicach oraz w harcówce Męskiej Drużyny ZHP im. *Adama Mickiewicza* przy ul. Paryskiej 4.

Działania ochronne prowadzone przez polską samoobronę ograniczyły się do wystawienia posterunków wartowniczych przy obiektach strategicznych oraz patroli obchodowych po terenie całej miejscowości. Posterunki stałe samoobrony rozlokoane były następiujaco: ul. Kościelna — posterunek nr 1; ul. Szkolna — posterunek nr 2; ul. 1 Pułku Wojsk Powstańczych — posterunek nr 3.

O polskich działaniach Niemcy posiadali bardzo dobre informacje, uzyskane od mieszkańców Michałkowic narodowości niemieckiej, którzy współpracowali z agentami Abwehry.

Dlatego też, dywersantom udało się zaskoczyć polską samoobronę, gdyż wiedzieli o jej słabych i mocnych stronach a ponadto ich wypad był doskonale zorganizowany.

Grupa Pisarskiego przy ul. Kościelnej szybko rozbroiła posterunek nr 1 w składzie: Wilhelm Pietrka i Piotr Solik, a następnie obu wziętych do niewoli na rozkaz Pisarskiego zastrzelono przy ul. Pocztowej, skąd po błyskawicznym wypadzie opanowała częściowo teren kopalni „*Michał*".

W wartowni przy bramie głównej kopalni, od ul. E. Orzeszkowej, został zastrzelony strażnik kopalniany Paweł Fiszer, a w centrali telefonicznej zastrzelono Szczepana Wilka. Od uderzenia „*Totschlägerami*" zginął górnik Ryszard Przybycin.

Aby wywołać panikę wśród załogi kopalni, napastnicy zaczęli strzelali na oślep raniąc kilkadziesiąt osób. W tym samym czasie, od strony Bytkowa wtargnął na teren kopalni oddział Hargutha, zajmując pozostałą część kopalni. Na rozkaz Wilhelma Pisarskiego 160 górników z nocnej zmiany zostało zamkniętych jako zakładnicy w łaźni i pomieszczeniach magazynowych od strony ul. Michałkowickiej.

Korzystając z powstałego zamieszania, grupie ok. 20 górników udało się ukryć przed wrogiem w schronie przeciwlotniczym. Zabarykadowanego wejścia do schronu nie udało się pokonać dywersantom i zmuszeni byli odstąpić, zostawiając przy wejściu posterunek.

Przewodnikiem dywersantów po terenie kopalni „*Michał*" był sztygar maszynowy, Karol Skutela który również aktywnie uczestniczył w przemycie broni, amunicji i granatów do Michałkowic jeszcze przed wybuchem wojny.

Oddział polskiej samoobrony był za słabo uzbrojony by samodzielnie dokonać ataku na kopalnię i zlikwidować oddział Sonderformation Ebbinghaus.

W tej sytuacji ograniczono się jedynie do otoczenia terenu kopalni linią posterunków i patroli. Przeprowadzono również udany atak, wsparty przez funkcjonariuszy z Posterunku Policji Woj. Śl. w Michałkowicach pod dowództwem st. post. Antoniego Brollika, na „*Dom Górnika*" przy ul. Pocztowej. Po krótkiej walce opór wroga został złamany. Do niewoli wzięto 6 dywersantów oraz zdobyto 1 erkaem, 4 karabiny, 2 pistolety oraz amunicję i granaty.

Po dokonaniu rozpoznania terenu kopalni, w celu zorganizowania lepszej obrony i łączności pomiędzy poszczególnymi punktami oporu, Wilhelm Pisarski wydał rozkaz opuszczenia zajętych w większości zabudowań kopalni i zajęcia pozycji obronnych tylko w budynkach znajdujących się w północnej części kopalni. Dywersanci obsadzili halę maszyn, stacje kompresorów i energetyczną, kotłownię, magazyny, markownię oraz budynek dozoru technicznego.

Budynki te znakomicie nadawały się do obrony, posiadały grube mury, okratowane okna, metalowe drzwi oraz miały znakomite pole ostrzału terenu kopalni oraz rejonu ulic: Michałkowickiej, E. Orzeszkowej i Pocztowej.

Pierwsze wsparcie, jakie przybyło na pomoc polskiej samoobronie to policjanci pod dowództwem nadkom. Franiszka Gawlika z Komisariatu Policji Woj. Śl. w Siemianowicach. Ok. godziny 8 przybył pluton motorowy Komendy Rezerwy Policji Woj. Śl. w Katowicach, dowodzony przez asp. Jana Gasia z samochodem pancernym *Peugeot 1918*. Pluton ten w nocy z 31 sierpnia na 1 września brał udział w walkach o elektrownię „*Chorzów*" na terenie Chorzowa Starego.

Pierwszym atakiem na teren kopalni dowodził kpt. Walenty Fojkis, który — wjechał na teren kopalni policyjnym samochodem pancernym usiłując zdobyć budynki w rejonie bramy głównej.

Atak został odparty. Dywersanci uszkodzili granatami samochód pancerny raniąc policjantów jak i samego kpt. Fojkisa. Mimo odniesionej rany Walenty Fojkis nadal dowodził oddziałem samoobrony. Teren kopalni był ostrzeliwany sporadycznie przez policjantów i członków samoobrony, powodem takiego ostrzału był brak należytej ilości broni oraz amunicji po stronie polskiej. Dywersanci na polski ostrzał odpowiadali zmasowanym ogniem broni maszynowej i strzeleckiej. Sytuacja ta trwała do godz. 9 — w tym czasie od strony Siemianowic przymaszerowały dwa plutony 7 komp. III Batalionu 75 Pułku Piechoty Wojska Polskiego.

Po przegrupowaniu sił i przejęciu dowodzenia przez oficerów WP pośpiesznie opracowano plan ataku, którego główną siłą uderzeniową były plutony wojskowe.

Ok. godz. 10 atak wyszedł z rejonu ul. Pocztowej kierując się na główną bramę i budynki magazynowe. W silnym ogniu broni maszynowej atak się załamał, atakujący wycofali się na pozycję wyjściową. W trakcie ataku poległ dowódca 1 plutonu 7 komp. ppor. WP Józef Biedal.

SA-Obersturmbannführer Wilhelm Pisarski widząc, że sytuacja jego oddziału z każdą chwilą staje się coraz bardziej krytyczna, postanowił wysłać przez bramę kolejki wąskotorowej, od strony południowej kopalni łącznika, który został zauważony przez patrol samoobrony. Patrol natychmiast ruszył w pościg za dywersantem w kierunku na Maciejkowice. Łącznik w trakcie pościgu nie zastosował się do polecenia zatrzymania się i odrzucenia broni, za co zapłacił życiem. W trakcie przeszukania zabitego dywersanta, znaleziono pistolet z dwoma magazynkami oraz opaskę ze swastyką, a także meldunek do sztabu dowództwa w Bytomiu proszący o natychmiastowe udzielenie pomocy dla otoczonego na terenie kopalni „*Michał*" oddziału Sonderformation Ebbinghaus.

Przed południem do Michałkowic dotarł cały III Batalion 75 PP wraz z środkami wsparcia ogniowego. Został przypuszczony kolejny szturm, z rejonu ulic: Pocztowej i Michałkowickiej oraz parku przy ul. Oświęcimskiej. Po dłuższej walce pol-

fot. ze zbiorów autora

Michałkowicka kompania Związku Powstańców Śląskich. Maj 1939.

fot. ze zbiorów autora

Nadkomisarz PWŚl. Franciszek Gawlik – kierownik Komisariatu Policji Woj. Śl. w Siemianowicach Śl. Ofiara Zbrodni Katyńskiej

skie oddziały oponowały część terenu kopalni.

W tym samym mniej więcej czasie, drużyna żołnierzy WP przedarła się pod budynek markowni, z którego pośpiesznie wycofywała się na grupa dywersantów. Wywiązała się strzelanina, w wyniku której jeden z dywersantów upadł ranny. Dywersanci chcieli zabrać rannego towarzysza, wówczas dosięgły go inne kule.

Pod osłoną broni maszynowej dywersanci schronili się w magazynie kopalnianym od strony ul. E. Orzeszkowej. Żołnierze nie zdawali sobie sprawy, kogo wyeliminowali z walki, bowiem poległym był SA-Obersturmbannführer Wilhelm Pisarski.

Informacja o śmierci Pisarskiego była dla dywersantów jak grom z jasnego nieba. Widząc brak realnej szansy na odsiecz z Bytomia, przybywających poległych i rannych, kończącą się amunicję, cześć dywersantów na własną rękę podjęło udaną ucieczkę z pola walki. Dywersanci uciekli kanałem do piaskowni, która mieściła się poza obszarem kopalni „*Michał*". Po wyrzuceniu broni i opaski ze swastyką wtopili się w otoczenie jako „lojalni" obywatele polscy. Było to ułatwione, ponieważ występowali w ubraniach cywilnych i wszyscy znali język polski.

fot. ze zbiorów autora

SA-Obersturmbannführer Wilhelm Pisarski, dowódca oddziału Sonderformation Ebbinghaus, który opanował 1. września 1939 rokukopalnię „Michał" na terenie Michałkowic

Pozostali dywersanci, prawdopodobnie pod dowództwem Karla Mani, stawiali nadal bardzo zacięty opór w budynku magazynowym przy ul. E. Orzeszkowej.

W tym czasie był to prawdopodobnie ostatni punkt oporu znajdujący w rękach wroga.

Żołnierze wspierani przez policjantów oraz pluton samoobrony Stanisława Rzepusa, po wysadzeniu w powietrze metalowych drzwi wejściowych od strony ul. Michałkowickiej, gdzie poległ dowódca 1 plut. 8 komp. ppor. WP Władysław Stępurski, wdarli się do budynku magazynu. Błyskawicznie wyparto nieprzyjaciela z parteru i walka rozpoczęła się na wyższych kondygnacjach. Walczono o każde pomieszczenie w magazynie, dochodziło do licznych starć wręcz. Kpr. podchor. WP Wilhelm Synoczek ze stanu 7 komp. wspiął się na dach magazynu i przez klapę w dachu wrzucił granaty pomiędzy dywersantów, co w konsekwencji wywołało jeszcze większą panikę w ich szeregach i złamało, i tak już bardzo słabe morale oraz chęć do kontynuowania dalszej walki.

Ok. godz. 14 dzięki użyciu ciężkich karabinów maszynowych i armatek ppanc. Bofors, a przede wszystkim całego stanu III Batalionu 75 PP dowodzonego przez mjr WP Tadeusza Chodorowskiego, opór nieprzyjaciela został całkowicie zdławiony i kopalnia została zdobyta.

Wśród poległych dywersantów zostało zidentyfikowane ciało SA-Obersturmbannführer Wilhelma Pisarskiego. Zdobyto dużą liczbę różnej broni strzeleckiej oraz oporządzenia bojowego. Przeszukiwanie obiektów kopalnianych za ukrywającymi się dywersantami trwało do godzin wieczornych.

Wziętych do niewoli dywersantów doprowadzono na michałowicki Posterunek Policji Woj. Śl. gdzie ponownie byli przeszukiwani oraz spisywani. Wieczorem pierwsza grupa jeńców została przewieziona w konwoju policyjnym do Katowic i osadzona w miejscowym więzieniu. Natomiast drugą grupę przewieziono do mysłowickiego więzienia i tam osadzona w celach.

Publikacje dotyczące walk o kopalnię „*Michał*" podają na ogół zbliżone dane co do ilości poległych dywersantów. Odnośnie wziętych do niewoli jeńców, dość trudno o podobną zbieżność jak we wcześniejszej kwestii. Niemal identyczne natomiast są dane co do poniesionych strat przez polską stronę. Pogrzeb poległych odbył się w godzinach popołudniowych na cmentarzu parafialnym przy ul. Michałkowickiej, gdzie ostatnie honory wojskowe oddała poległym obrońcom Ojczyzny 7 komp. III Batalionu 75 PP WP.

W nocy z 2/3 września 1939 roku Michałkowice opuściło, na podstawie rozkazu dowództwa o odwrocie z rejonu przemysłowego, wojsko oraz funkcjonariusze Policji Woj. Śl. W nocy również wycofał się w kierunku wschodnim oddział samoobrony. W niedzielę 3 września 1939 roku ok. 8 do Michałkowic wkroczyły od strony Bytomia oddziały 3 Odcinka Grenzschutzu, Policji i Sonderformation Ebbinghaus.

Po zajęciu miejscowości Niemcy natychmiast rozpoczęli aresztowania na podstawie wcześniej przygotowanych list, na których były umieszczone nazwiska powstańców, działaczy niepodległościowych oraz innych osób, uznane za wrogów III Rzeszy Niemieckiej.

fot. ze zbiorów autora

Samochód pancerny Peugeot wz. 1918. W tego rodzaju pojazd był wyposażony pluton motorowy Komendy Rezerwy Policji Woj. Śl. w w Katowicach w czasie walk o kopalnię „Michał"

6 września 1939 roku na cmentarzu przy ul. Michałkowickiej odbył się pogrzeb zmarłego w siemianowickim szpitalu 2 września 1939 roku post. Policji Woj. Śl. Emanuela Stankusza, który podczas walk o kopalnię został ciężko ranny. Pogrzeb policjanta zorganizowali Niemcy wystawiając asystę honorową z funkcjonariuszy Policji (6-8 funkcjonariuszy) oraz pluton asystujący Sonderformation Ebbinghaus (ok. 24 ludzi). Ceremonie celebrował Ksiądz Teodor Chuchracki z Parafia Krzyża Świętego w Siemianowicach Śl.

Ten pogrzeb moim zdaniem miał dwa cele. Pierwszy pokazanie „ludzkiej twarzy" „nowego gospodarza" tej ziemi. Natomiast drugi, było to działanie prewencyjnym by pogrzeb nie przerodził się w manifestację antyniemiecką.

Niemcy nie zapomnieli o poległych „bohaterach" z oddziału Pisarskiego, którzy zostali pogrzebani na Cmentarzu Parafialnym w Michałkowicach przy ul. Maciejkowickiej w dwóch zbiorowych mogiłach.

fot. ze zbiorów autora

Powitanie 3 września 1939 roku przy ul. Kościelnej w Michałkowicach dywersantów Sonderformation Ebbinghaus

W czwartek 7 września 1939 roku w godzinach przedpołudniowych odbyła się ekshumacja 27 dywersantów, których ciała zostały przewiezione do prosektorium w Bytomiu. Prace były prowadzone pod nadzorem bytomskiego Prezydium Policji i lekarza ze stanu 3 Odcinka Grenzschutzu. We wtorek 12 września 1939 roku w Bytomiu odbył się uroczysty pogrzeb poległych w Michałkowicach dywersantów. W pogrzebie, który stał się dużą manifestacją narodowo-socjalistyczną mającą przede wszystkim podkreślić, że Górny Śląsk był zawsze niemiecki, tłumnie uczestniczyli działacze i członkowie nazistowskich organizacji politycznych, paramilitarnych oraz mieszkańcy Bytomia.

Nad grobem Wilhelma Pisarskiego wygłosił płomienną mowę pożegnalną, sławiącą „bohaterską i niezłomną" walkę z polactwem i żołnierską śmierć, mjr Ernst Ebbinghaus. Za zasługi, władze niemieckie w czasie zmian nazw ulic z polskich na niemieckie, w miastach rejonu przemysłowego włączonych do III Rzeszy Niemieckiej, nadawały ulicom imię Wilhelma Pisarskiego.

Epilog

Kopalnia „*Michał*" w roku 1939, była zakładem dużym i na ówczesne czasy nowoczesnym, którego ewentualne zniszczenie przez wycofujące się polskie oddziały wojskowe lub nadzór techniczny mogło być niepowetowaną stratą dla przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy Niemieckiej. Zaangażowane siły oraz poniesione straty przez Sonderformation Ebbinghaus – z wysokim prawdopodobieństwem wliczone zostały w tzw. koszty i wydawały się wręcz marginalne w stosunku do ewentualnych szkód. Oddział Sonderformation Ebbinghaus broniący się z wyjątkową determinacją w kopalnianych obiektach pozostawiono własnemu losowi. Pozwolono, by jego członkowie polegli lub dostali się do niewoli oraz zrezygnowano z samego Pisarskiego, który w tym czasie zajmował bardzo wysoką pozycję w hitlerowskiej hierarchii na Górnym Śląsku.

Tu nasuwa się pytanie, co było powodem takiej sytuacji. W świetle materiałów polskich i niemieckich, akcja oddziału Sonderformation Ebbinghaus pod dowództwem SA-Obersturmbannführer Wilhelma Pisarskiego miała dwa cele. Pierwszym — zrealizowanym, miała być wzorcowa akcja bojowa zakończona „spektakularnym" sukcesem. Drugi cel przypuszczalnie był nieznany Pisarskiemu, ani tym bardziej żadnemu z podległych mu dywersantów i nie związany był już bynajmniej z ochroną obiektów przemysłowych przed ewentualnymi zniszczeniami. Z wysokim prawdopodobieństwem miało to być wprowadzenie na zapleczu polskiej obrony możliwie jak największego chaosu, a więc ściągnięcie odwodów na cele drugorzędne lub pozorowane, a tym samym odciągnięcie uwagi od prawdziwych kierunków uderzenia oddziałów Wehrmachtu. Jeżeli ten scenariusz by się powiódł, żadna strata nie byłaby zbyt „przykra", a już na pewno nie złożona ze szturmowców SA i górnośląskich renegatów.

W takiej sytuacji trudno odpowiedzieć jednoznacznie, czy akcja SA-Obersturmbannführer Wilhelma Pisarskiego i jego ludzi rzeczywiście zakończyła się klęską. Udaremnili prawdopodobny zamiar zniszczenia lub unieruchomienia kopalni — podobnie jak pozostałych zakładów przemysłowych, które dostały się w ręce Sonderformation Ebbinghaus i pozostały w stanie niemal nienaruszonym.

Bardzo ważnym czynnikiem było również wprowadzenie dezorganizacji na polskim zapleczu — do zdobycia kopalni „*Michał*" gen. Jan Jagmin-Sadowski musiał wyznaczyć cały III Batalionu 75 PP WP, wspierany przez funkcjonariuszy Policji Woj. Śl. oraz członków miejscowej samoobrony.

Zaciekła obrona wroga musiała zrodzić w polskim dowództwie masę wątpliwości i mylnych przypuszczeń co do planów nieprzyjaciela. Sztabowcy Grupy Operacyjnej „*Śląsk*" nie od razu zorientowali się, iż oddział Sonderformation Ebbinghaus pod dowództwem SA-Obersturmbannführer Wilhelma Pisarskiego, podobnie jak inne odziały tej formacji, od początku zostały przez wyższe czynniki dowodzenia Wehrmachtu zaliczone do tzw. „planowych" strat własnych.

fot. ze zbiorów autora

Aresztowania 3 września 1939 roku na terenie gminy Michałkowice Polaków - wrogów III Rzeszy Niemieckiej przez przez Sonderformation Ebbinghaus.

Autor składa serdeczne podziękowanie za udostępnione materiały i informacje dr hab. Grzegorzowi Bębnikowi z Oddziału IPN w Katowicach. ■

Grzegorz Grześkowiak, dziennikarz specjalista falerystyki wojskowej. Od ponad dwudziestu pięciu lat zajmuje się historią Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, Policji Województwa Ślaskiego II RP oraz Zbrodnią Katyńską. Autor i współautor książek, periodyków i artykułów o śląskiej Policji II RP, Powstaniach Śląskich oraz martyrologi śląskich policjantów w aspekcie Zbrodni Katyńskiej. Współpracuje z krajową i zagraniczną prasą historyczno-wojskową, muzeami, telewizją oraz stowarzyszeniami i grupami rekonstrukcji historycznej.

„Śląsk zawsze chciał być polski” – wspomnienie o Henryku Wiośnie

MAGDALENA ŚNIOSZEK

W jubileuszowym roku upamiętniającym 100-lecie wybuchu I powstania śląskiego, chcę przywołać postać Henryka Wiosny – wielkiego patrioty, odważnego bohatera walk o polskość Śląska i wolność Polski, skromnego człowieka, mojego Dziadka.

Henryk Wiosna urodził się 10 września 1900 roku w Biertułtowach koło Radlina. Był najstarszym z ośmiorga dzieci Elżbiety z Bytomskich i Wilhelma Wiosny. Tam, w rodzinnych stronach, jesienią 1918 roku zaczęła się jego niezwykła „przygoda” patriotyczna, która trwała nieprzerwanie do końca II wojny światowej. Wspominał później: „W listopadzie 1918 roku ze znanym powstańcem śląskim Franciszkiem Marszolikiem zorganizowaliśmy gminną Radę Żołnierską i byłem zastępcą przewodniczącego tej Rady. Byłem też współzałożycielem tajnej POW w Biertułtowach, werbując do jej szeregów młodzież miejscową i okolicy, odbierając od niej przysięgę. […] Pełniłem funkcję oficera łącznikowego między Główną Komendą POW w Piotrowicach – poza obszarem plebiscytowym – a Komendą POW

fot.: archiwum autorki

Henryk Wiosna z oddziałem powstańców (stoi w drugim rzędzie od góry, pierwszy z lewej.

fot.: archiwum autorki.

W mundurze powstańczym

w Rybniku". Dziadek pracował wówczas jako górnik w kopalni Reden w Biertułtowach, gdzie organizował strajk protestacyjny w dniu najazdu Grenzschutzu na Biertułtowy. Pisał: „Podczas I powstania śląskiego brałem czynny udział z bronią w ręku, osobiście uczestnicząc w poważnej bitwie z Grenzschutzem pod Goryczkami".

Po klęsce powstania Wiosna udzielał się w pracy konspiracyjno-werbunkowej w POW, organizował grupy, plutony, kompanie. Wspominał: „Prowadziłem zakonspirowane ćwiczenia wojskowe. Musiałem wreszcie uchodzić do Polski, gdzie wstąpiłem do Wojska Polskiego. […] Z wybuchem III powstania śląskiego pełniłem funkcję adiutanta i oficera ewidencyjnego w 5. pułku powstańczym (rybnicki). Pułk ten dowodzony przez kapitana Tadeusza Szczerbic-Ciepielowskiego, do końca powstania walczył nad Odrą, w okolicy Raciborza, gdzie odniósł sukcesy w walce z niemcami [pisownia oryginalna – M.Ś.], o czym świadczy historii III powstania śląskiego".

W okresie międzywojennym Henryk Wiosna został członkiem Komendy Głównej byłych powstańców śląskich. Prowadził tam referat techniczny i organizował zawody samochodowo-motocyklowe, propagując sport motorowy na Górnym Śląsku. Zresztą już wcześniej działał na rzecz upowszechniania sportu – w 1919 roku kierował oddziałem („sokolim gniazdem") Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" w Biertułtowach. W latach 1923–25 Henryk Wiosna pracował na stanowisku dyrektora Katowickiego Banku Związkowego SA. Krótko przed wybuchem II wojny światowej, w sierpniu, wyjechał tajnie z Katowic, uciekając przed wyrokiem kary śmierci wydanym przez Gestapo na byłych uczestników powstań śląskich. Powstańców ścinano w więzieniu przy ulicy Mikołowskiej w Katowicach. We wspomnieniach z tamtych lat czytamy: „Z chwilą wybuchu II wojny światowej powołany zostałem w szeregi WP i zmuszony byłem uchodzić do GG. Tu ukrywałem się pod nazwiskiem Borys Rajdowicz. Aresztowany przez Gestapo w lutym 1941 osadzony zostałem w więzieniu Montelupich w Krakowie, gdzie byłem bity i katowany". Już jako major Armii Krajowej Wojska Polskiego w latach 1942–44 ukrywał się w lasach sąspowskich koło Ojcowa, dowodząc grupą partyzantów. Pisał: „Po wypędzeniu okupanta z Katowic wróciłem z I grupą operacyjną i objąłem stanowisko kierownika Oddziału Ruchu Drogowego przy Wydziale Komunikacyjno-Budowlanym Urzędu Wojewódzkiego. Byłem jednym z inicjatorów powołania do życia Związku Weteranów Powstań Śląskich. Zostałem wiceprezesem zarządu powiatu grodzkiego". Za wybitne zasługi podczas I i III powstania śląskiego 1 stycznia 1949 roku Henryka Wiosnę odznaczono Śląskim Krzyżem Powstańczym.

Ciekawe były też późniejsze losy mojego Dziadka. 27 sierpnia 1945 roku Henryka Wiosnę-Rajdowicza udekorowano Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Ówczesny wojewoda powierzył mu organizację sportu motorowego na terenie województwa śląskiego i odbudowę Sportu Ludowego na tym terenie. W maju 1946 roku został prezesem Okręgowego Związku Motocyklowego w Katowicach, który właśnie wtedy wznowił działalność po wojnie. W tym samym roku zaangażował się w działalność polityczną. Pełnił funkcję sekretarza dolnośląskich struktur Stronnictwa Pracy, partii, której prezesem był niegdyś Wojciech Korfanty. W 1952 roku został pierwszym dyrektorem Kijewskiego Zakładu Przemysłu Maszynowego, z biegiem lat przemianowanego na Fabrykę Kontenerów „Unikon" w Szczecinie.

W 1966 roku ogłoszono w Zabrzu konkurs na wspomnienia powstańcze. Wpłynęło 96 prac. Henryk Wiosna otrzymał II nagrodę za „Gawędy o niedalekiej przeszłości Górnego Śląska". Pierwszej nagrody nie przyznano. Pracował także nad wspomnieniową książką pod roboczym tytułem „Śląsk zawsze chciał być polski". Niestety ciężka choroba nie pozwoliła mu zrealizować tego zamierzenia. Zmarł 25 stycznia 1970 roku i spoczął na cmentarzu parafii św. Anny w Zabrzu. W wyniku fatalnych błędów nadzoru cmentarza w 2008 roku mogiłę zlikwidowano. Obecnie symboliczny grób Henryka Wiosny vel Borysa Rajdowicza znajduje się w Katowicach-Murckach na cmentarzu przy ulicy Goetla, gdzie spoczywa wraz z żoną Aldoną. Tydzień po śmierci Henryk Wiosna za wybitne zasługi został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Pamiętam, że Dziadek co roku brał udział w spotkaniu weteranów powstań śląskich na Górze Świętej Anny. Ostatni raz pojechał tam w 1969 roku, już ciężko chory, na kilka miesięcy przed śmiercią.

Piszę te słowa w hołdzie mojemu Dziadkowi Henrykowi Wiośnie – Borysowi Rajdowiczowi, cichemu bohaterowi tamtych dni. Dzięki takim ludziom możemy dzisiaj żyć w niepodległej ojczyźnie. ■

fot.: archiwum autorki

Jako działacz sportowy (na pierwszym planie, w okularach).

Pławienie koni

Pławię konie z chłopakami
z chłopakami z Cyganami
Jarosław Iwaszkiewicz

Nic nie wiedzielibyśmy o pławieniu koni gdyby nie ten wiersz,
nie czulibyśmy zapachu wody, tataraku i własnego potu,
nie słyszelibyśmy szumu drzew pochylonych nad stawem,
nie myślelibyśmy, że młodość przemija i zostaje po niej
tylko cierpki smak niezaspokojonej tęsknoty.

Moja wnuczka pyta: jak to jest pławić konie?

Co odpowiedzieć? Że widać wtedy spadające gwiazdy?
Że czuć zimne krople wody na rozgrzanej skórze?
Że trzeba wierzyć w nieśmiertelność wróbli, nietoperzy i dzikich gęsi?

Albo po prostu:
Pławię konie z chłopakami
z chłopakami z Cyganami
z Cyganami z gitarami
z łachmanami z jeżynami
...

to już za

biegnij
jak dziecko w szeroko rozwarte ramiona ojca
w śnieżną zamieć wysokie trawy niech cię nie rani czas
ukołysz się uśnij spowolnij zbyt szybki oddech
pomyśl to już zamknięte

biegnij
tam gdzie gwiazdy szronu między nami
strzępy pamięci i obłoki różowe o świcie a teraz
ciemne i ciężkie jak przymknięte powieki
to już blisko

biegnij
zamień się w cień starego domu musisz oswoić
puste noce złe sny zdrętwiałe ciało
nie wolno ci zawrócić
to już niedługo

biegnij

fot. Maria Korusiewicz

Rugia. Binz

Gdyby to było bardziej na południe
wiatr rozwiewałby jasne włosy Tadzia
i Gustaw Aschenbach starałby się spokojnie oddychać
nie odrywając wzroku od kruchej sylwetki chłopca

Ale tu jest północ
i zimny Bałtyk nie pozwala myśleć o miłości
Białe wille wydają się być puste jak drzewa bez liści
To nie Wenecja
Nikt nie przyjeżdża do Binz żeby kochać
i nikt żeby umrzeć

fot. Maria Korusiewicz

Kirchstetten 1991 i później

Mały cmentarzyk przy wiejskim kościele. Krzak berberysu
przesłania napis „Man of letters 1907-1973".
To ty, Audenie,
twój proch, twoje wiersze niczym gorzkie jagody, twoja miłość
nigdy nie spełniona, odarta z tajemnicy, zatrzymana w szerokiej frazie poematu.

Za cmentarzem piaszczysta droga do małego domu na skraju wsi,
drewniana furtka z mosiężną klamką, która jak nikt z żywych
znała dotyk twojej ręki.

Bo tak już jest, Audenie. Przedmioty,
martwe rzeczy otaczają nas zewsząd. Są zawsze. Także wtedy,
gdy nas już nie ma.

Syberiada

Teresie Rudowicz

Na dworcu Jarosławskim Teresa R. wsiada do pociągu Moskwa-Irkuck
w wagonie płackartnym spędzi trzy doby. Współpasażerowie
będą ją częstowali wódką i słoniną pokrojoną w grube plastry:
za matuszku Rassiju za drużbu za ljubow
Zwłaszcza za ljubow
za miłość której zawsze za mało za ból jaki niesie odrzuconym
za ciebie za mnie za naszą bezbronną nagość czuły szept
i gorzkie milczenie

W Omsku wychodzimy na peron kupujemy suszoną rybę
i kwaśne jabłka Wieje mrozem Ze złoconej ikony patrzy na nas obojętnie
święty Pantokrator gwiazdy są zimne niczym igły szronu czas staje się martwy

Za Uralem już tylko echo
tylko śnieg zaciśnięte gardło i błędne ognie niespokojnej pamięci

Iwaszkiewicz

Spotykamy się w tym samym ogrodzie.
Już opustoszałym ale wciąż pamiętającym głosy dawnych przyjaciół,
ich śmiech, wiersze, zaloty. Byłem twoim pilnym uczniem, Jarosławie,
śledziłem ruchy Plejad, pławiłem konie z chłopakami
z chłopakami z Cyganami, patrzyłem na brzeg morza w Taorminie
i nie myślałem o czasie, który to wszystko zabierze.

Teraz jesteśmy osobno i nie mamy pewności czy to co było,
było naprawdę. Utknęliśmy wśród starych sztychów, książek, memuarów,
mylą się nam daty, słowa, przystajemy co kilka kroków, żeby zebrać siły
na kilka następnych. Coraz częściej milczymy.

Powoli wychodzimy poza krąg światła.

Obywatel świata i Honorowy Obywatel Katowic

z prof. Andrzejem Jasińskim

rozmawiają Marian G. Gerlich
i Lilianna Moll-Gerlich

LM-G Powoli kończą się tegoroczne letnie wakacje. Czyli czas odpoczynku, wyjazdów na łono natury, w Polsce także już coraz częściej wyjazdów zagranicznych. Po prostu czas odpoczynku i radości. A jak Pan Profesor spędził ten czas?

Pracowicie i pięknie. Dla mnie to też był czas wyjazdów, odpoczynku i radości. Bo wielokrotnie byłem za granicą, odpoczywałem i się radowałem. Radowałem się, że mogę pracować. Praca jest dla mnie przyjemnością, a dawanie innym czegoś co chcą przyjmować, jest dla mnie ową wielką radością.

MGG Ale dla Pana był to jednak czas niezwykle pracowity; wręcz uciążliwy. Przecież tuż po powrocie z Chin do Katowic, wrócił Pan aby przyjąć 11 września — zaszczytne wyróżnienie „Honorowego Obywatela Katowic".

A więc podwójna radość. Radość z pobytu w Chinach, gdzie spotykałem ludzi otwartych na muzykę a później przyjęcie wspomnianej nagrody. Ale o tym zaszczycie powiem nieco później. Chiny to kraj najstarszej na świecie kultury, niezwykłego dziedzictwa, intrygującego splotu tradycji i nowoczesności. Pekin zachwyca, ale i przeraża. Dla mnie zawsze najważniejsi są ludzie. Gdziekolwiek jestem w świecie intryguje mnie pejzaż i właśnie ludzie. W Chinach, które znam, jednak mniej niż Japonię czułem to niezwykłe ciążenie przeszłości. Oczywiście dla mnie jako dla muzyka najbardziej fascynujące jest to, że obecnie w kulturze chińskiej tak bardzo innej i odległej od naszej europejskiej, a w tym naszej polskiej, intryguje mnie tak wielkie zainteresowanie Fryderykiem Chopinem. Lecz o nim jeszcze będziemy na pewno mówili.

LM-G A więc Panie Profesorze, w tej wspomnieniowej podróży przesuńmy się jeszcze bardziej na wschód, do kraju „kwitnącej wiśni".

Powiem wam, że w Japonii byłem już ze trzydzieści razy. I tu odnosząc się do Waszej refleksji zastanawiam się często, jak kultura tak stara, tak bogata, różnorodna potrafi jednak chronić swoją od-

fot. Tomasz Jurgielewicz (tomjur.com)

rębność. Jeszcze bardziej niż ma to miejsce w Chinach.

LM-G Jak to się stało, że Japończycy nie ulegli amerykanizacji, potrafią chronić swoją kulturę a zarazem otwarli się na muzykę Fryderyka Chopina.

No właśnie. Nim o tym porozmawiamy chcę powiedzieć o swoim pojmowaniu, widzeniu Japończyków. Może się mylę, ale chcę powiedzieć, jak ich widzę. Przepraszam, jeśli się mylę. Japończyków cechuje jakiś specyficzny stosunek do drugiego człowieka. Po prostu chodzi o stosunek do drugiego człowieka. Japończyk nie chce nigdy naruszyć jego prywatności. Nie tylko nie chce wtargnąć do jego osobowości czy w jakimkolwiek zakresie naruszyć jego prywatności czy intymności. W tym wyraża się szczerość, skromność i poszanowanie polegające na szacunku i powściągliwości. Oni kochają przyrodę, sztukę. W pięknych ogrodach podziwiają zabytki architektury, rzeźby, a czasem potrafią medytować patrząc na przykład na fragment zwykłej skały, który pobudza ich wyobraźnię. A ich pismo można uznać jako niekończący się ciąg miniaturowych dzieł sztuki.

MGG Zwraca Pan uwagę na specyfikę japońskiej kultury, wręcz na specyfikę antropologii życia codziennego.

Tak, zwracam na to uwagę, aby jednak poprzez owo totalne zróżnicowanie ich i naszej kultury „przejść" do ich, to znaczy Japończyków i naszego Polaków zafascynowania Chopinem. Bo w jego twórczości jest coś prawdziwie ponadczasowego, uniwersalnego. Coś co jest na swój sposób prawdziwie transcendentne. O tym jednak nieco później, bo wydaje mi się, że ludzki mózg to myślenie, a wyobrażenie to uczucia. A zatem w konsekwencji wydaje mi się, że ona, właśnie wyobraźnia determinuje i kształtuje nasz mózg.

MGG Po tej podróży, nagle pojawia się pewna głębsza refleksja dotycząca Człowieka.

No tak. Bo przecież wszyscy jesteśmy jednakowi, ale zarazem tak bardzo różnimy się kulturowo. My przy powitaniu podajemy sobie ręce, Japończycy uznają, że jest to gest zbyt intymny. My rozmawiamy ze sobą a oni jakby dialogują, czyli nade wszystko słuchają drugiego. Słuchają drugiego, ale wydaje mi się, że nigdy nie ujawniają do końca swoich myśli, głównie swoich uczuć. Nie dlatego, że są zakłamani, ale dlatego, że nie chcą narzucać siebie drugiemu. Z tego też wynika ich specyficzne otwarcie na świat.

LM-G Czy w tym momencie jesteśmy bliżsi zrozumienia fenomenu obecności Chopina, konkretnie jego muzyki w Japonii.

Tak, chyba w tym momencie jesteśmy już bardzo blisko także mojego wyjaśnienia owego fenomenu. Powiedziałem już, że Japończycy nie do końca ujawniają swoje myśli, a nade wszystko swoje uczucia. Ale przecież każdy człowiek odczuwa jakąś nieokiełznaną potrzebę otwarcia się, otwarcia swojego wnętrza, jakiegoś pełnego przeżycia poczucia wolności. A to właśnie daje muzyka Chopina.

MGG Są przecież kultury w których istnieje wręcz tradycyjny imperatyw, aby powiedzieć to co człowiekowi „leży na sercu". Z całą pewnością także przedstawiciele tych kultur odczuwają nostalgię za potrzebą jeszcze większej otwartości.

No właśnie. Nie musimy określać dokładnie, które kultury cechuje stopień skrytości i owa ekspresyjność w kontekście z drugim człowiekiem. Przecież Chopin jest uwielbiany i w Chinach i w dawnym ZSRR. Podobnie we Włoszech, gdzie w marcu tego roku byłem przykładowo w Stradelli pod Mediolanem, a dawniej — przykładowo w Maroku, w Casablance, czy Rabacie. Wszędzie spotykam muzyków, uczę młodych, przekazuję swoją wiedzę, doświadczenie, cząstkę siebie. Jednak, jeśli od nich uzyskuję ich emocje, uczucia to w takim razie jest to prawdziwy kontakt. Wtedy rodzi się to, co jest najistotniejsze w relacjach międzyludzkich. W tym konkretnym przypadku w relacjach miedzy nauczycielem i uczniem. Pozwólcie na pewne wspomnienia i porównania. Oto w Chinach zauważyłem, że w eleganckich restauracjach kelnerki ubrane są w stroje narodowe. Z różnych okazji organizowane są występy, muzycy grają na narodowych instrumentach; i też są ubrani w narodowe stroje. Podobnie przecież jest też we wspomnianych Włoszech czy w krajach arabskich. W tych krajach muzyka jest inna, ta narodowa, a pojmowanie świata uzależnione jest od kultury, języka, także różnych sposobów pojmowania duchowości. Wszędzie „nie samym chlebem człowiek żyje".

LM-G Czyli z tego wnoszę, że już wkraczamy w sferę muzyki, a może bezpośrednio muzyki Fryderyka Chopina.

Powiem na początku tak, że przestrzenie miedzy dźwiękami muszą być prawdziwie naładowane ekspresją. Zatem przejście z jednego dźwięku do drugiego dźwięku w linii wznoszącej to jak intencjonalny krok na drodze ku gwiazdom w kierunku szczęścia. Tego nie można zwerbalizować to się czuje. I jeśli tak jest, to wtedy odbiór jest bezpośrednim przeżyciem. Przywołam tu postać wybitnego pianisty rosyjskiego Vladimira Horowitza tylko z jednego powodu, dlatego, że były takie wypowiedzi, że jakoby potrafił zrobić crescendo na jednym dźwięku. Oczywiście to fizycznie niemożliwe. Ale w jego przypadku… Miał w sobie tak wielką sugestywność przekazu, że niektórzy brali to za rzeczywistość. Powiem tak. Kiedy to, co linearne jest połączone jakąś tajemną wstążką ekspresyjną, daje trudne do określenia uczucia, nastroje, przeżycia, skojarzenia z życiem, przyrodą, trwaniem w odcinku wieczności.

LM-G W tym wypadku znów powracamy do jakiś rozważań humanistycznych, kulturowych ale czy też muzycznych?

Tak. Ja chcę powiedzieć tylko o jednym, że każdy z nas boryka się z czasem, tym fizycznym, ale też tym muzycznym. Próbuję go ogarnąć; próbuję go zrozumieć, ale przecież jest to niezrozumiałe przez ludzki mózg. Bo przecież to o czym mówię już za kilka chwil będzie przeszłością. Wiem, że będziemy jeszcze jakiś czas ze sobą rozmawiali, ale nie wiem jak długo i co się w owym nadchodzącym czasie wydarzy. W tym kontekście chcę powiedzieć i o tym – co oczywiste, każdy żyje w określonej przestrzeni i czasie tak ja, tak wy. Mozart i Chopin wyczuwali czas, który biegnie do przodu. Bo przecież do tyłu nie może biec. Do tyłu mogą biec tylko wspomnienia. Nauczyłem się czegoś co mi pomaga w rozumieniu treści utworu — kojarzyć przekaz muzyczny z ich życiorysem. Otóż wydaje mi się, że inaczej może lepiej, może tylko rozsądniej rozumiem twórczość kompozytorów, nie tylko poprzez ich dzieła lecz także poprzez bliższe poznanie ich biografii, ich życia. Bo przecież Chopin żył kolejno w innych realiach, w realiach warszawskiego „Nowego Świata" — przed Powstaniem Listopadowym. Czymś innym były jego doświadczenia z pobytu – kiedy już udawał się na emigrację — z Wrocławia, potem doświadczenia z Wiednia, a wreszcie z Paryża. Inne doświadczenia dały mu pobyty w Dusznikach, potem choćby na Majorce z jego George Sand. On, Chopin odczuwał na swój sposób czas. Ale wyczuwał też i to w sposób niezwykły pojęcie „czasu wiecznego". On nie ma swojego ani początku ani też końca. A może jednak ma swój koniec? A jeśli ma swój koniec to może z tego powodu ma też i swój początek. Bo pamiętajmy, że człowiek to jest jego życie i jego myśli, myślenie… Każdy człowiek jest wolny.

MGG W tym miejscu możemy odwołać się wręcz do filozofii Człowieka. O tym pisał zmarły niedawno profesor Józef Bańka. Dowodził: „Jedną (…) tezą jest to, że życie moje jest teraźniejszością i toczy się tylko realnie w teraźniejszości. Drugą – że należy go zmieniać i zależy to ode mnie. A trzecią, że myślenie o życiu zależy zarówno od tradycji, którą jesteśmy obciążeni jak i od prognoz, w których wybiegamy przed siebie". W tej myśli filozofa — wyrwanej z szerszego kontekstu — zawiera się również sposób pojmowania Człowieka przez pana Profesora?

Nie jestem filozofem, ale biorę pod uwagę myśli mądrzejszych ode mnie w tym zakresie. I jeszcze chciałbym powiedzieć o tym co czuję słuchając „Preludium deszczowe"…

LM-G Czy to znaczy, że w tym przypadku zbliżamy się do Pana niezwy-

fot. naszemiasto.pl

Uroczystość nadania prof. Andrzejowi Jasińskiemu Honorowego Obywatelstwa Miasta Katowic.

kłego pojmowania „Preludium deszczowego" Des-dur op. 28 Fryderyka Chopina, a w tym potencjalnych, nieograniczonych możliwości jego interpretacji?

Tak, z całą pewnością tak. Tu już absolutnie jesteśmy w sferze ducha, ale ducha, w który przenosi nas muzyka. Bo Fryderyk Chopin odczuwał czas jako absolut. Różne były wyzwania owego czasu, inne w czasie gdy chciał walczyć w powstaniu 1830 roku, a inne gdy był już chory; gdy miał świadomość odchodzenia (wspomniane „Preludium deszczowe"). Powtarzalność tego samego dźwięku jest tu niewyobrażalna. Kilkaset powtórzeń. Warto policzyć, zachęcam do policzenia powtarzalności. Bo to, co powtarzalne ma w tym wypadku coś z absolutnego wyrażenia tego, co w zasadzie nie jest możliwe do wyrażenia. Ale pozostawmy już owe preludium. Chcę tu raczej zwrócić się w kierunku pochwały muzyki.

MGG Z tego wnosimy, że może to być delikatna „negacja" innych wytworów kultury i sztuki.

Chyba tak. To różnica delikatna i zarazem kategoryczna. Bo przecież żaden obraz nie jest w stanie wyrazić owej głębi i różnorodności uczuć, skojarzeń, kontekstów i drżeń serca, które wywołuje właśnie muzyka. A może to obraza malarstwa? Obraz się wspomina, a muzyka pozostawia w nas trwały ślad. W momencie jej słuchania rodzą się emocje, a wyobraźnia gdzieś unosi nas nad lasami, łąkami, rzekami, dolinami, nad górami. Ona nas unosi. To zawsze jako nauczyciel moich uczniów – pianistów starałem się im przekazać. Staram się powiedzieć aby grając oddawali ducha utworu ale wedle własnej intuicji, według własnego mózgu, myślenia, wyobrażeń. No, a jeśli chodzi o literaturę. Wiele rzeczy, wiele utworów literackich mnie zachwyca, jak choćby leżący tu między nami na stole „Dekameron" Boccaccia. To dzieło to jest coś, co dostarcza nam również emocji ale zakres, skala i natężenie owych emocji jest już inne. Nie chcę tu mówić absolutnie o muzyce, która jest w określony sposób związana z literaturą, bo przecież i tu „nosicielem" podstawowym emocji jest właśnie muzyka. Bo w przypadku muzyki jest jakaś transcendencja, to coś niesamowitego, nadprzyrodzonego, coś absolutnego, coś czego nie można wyrazić słowami, zwerbalizować. Podam taki przykład. Kiedyś Paderewski grał pewien utwór i nagle siedzący na sali Tadeusz Sygietyński, — ten od Mazowsza — usłyszał jakby jakiś błąd w grze mistrza. Ten poczuł jakieś wibracje i spojrzał na niego z wyrzutem. Sygietyński zrozumiał, że to co uznał za błąd — jest arcymistrzowskie. A kiedyś na przykład Zimerman grał utwór, który w tej samej Sali kiedyś grał Rubinstein. Poczuł skrępowanie, ale po pewnym czasie ono ustąpiło, bo czuł jakby obok siebie wielkiego pianistę. Grał, to co czuł, grał wspaniale. Przy tej okazji przyznam, że często teraz mówię do moich uczniów: „Teraz bym Was lepiej uczył, bo więcej rozumiem". Ale całe życie umiem się uczyć i stawiać sobie pytania, by robić postępy. A postęp – mówię to za wybitnym skrzypkiem i pedagogiem Tadeuszem Wrońskim – to jest potrzeba zadowolenia i ta droga nigdy się nie kończy. Im dalej „w las" tym więcej czuję i mam to wszystko w sobie. Nie mając tych możliwości w palcach jednak wiem, jak uderzyć w klawisze, bo wszystko jest w mózgu. Nie gram mechanizmem — tylko dobrem.

LM-G Panie Profesorze, jeszcze lepiej? Przecież wiem, że kiedyś wspomniany Rubinstein w czasie gdy spotkaliście się w jego domu z najwyższym uznaniem mówił o Pańskim kunszcie jako nauczycielu.

Zapytał mnie jak uczyłem Krystiana Zimermana. Mówiłem, że od początku uczyłem odpowiedzialności w realizacji tekstu muzycznego, swobodnego władania techniką i wyrażania siebie. W coraz mniejszym stopniu byłem dla niego nauczycielem, a bardziej towarzyszem we wspólnym rozwiązywaniu problemów pianistycznych, bo wiedziałem, że czas pracuje dla niego. Czyli dawałem mu znaczną swobodę w muzykowaniu. No i usłyszałem odpowiedź: tak powinno być. Ja takiego nauczyciela nie miałem. Przyznaję taką wyraził opinię. I jeszcze wspomnienie Krystiana Zimermana, a konkretnie pewnego jego przeżycia. Otóż kiedyś grając w Madrycie czuł dziwne skrępowanie. Miał jakby wizję, że w powietrzu unosi się duch Rubinsteina. Ale z czasem grało mu się coraz lepiej. A kiedy skończył udał się do garderoby, zdjął frak, usiadł i odpoczywał. Po pewnym czasie wszedł dyrektor i powiedział: „Panie Zimerman proszę wrócić na estradę". Zimerman zaś zapytał: „Po co? ". Dyrektor na to: „Ludzie siedzą w ciszy bo nie chcą opuścić sali".Czyli był to dowód niezwykłej łączności transcendentnej między pianistą a publicznością. Opowiem jeszcze jedną historię z życia mojego ucznia. Pewnego razu grał na koncercie Sonatę b-moll Chopina i w Marszu żałobnym „ciarki po plecach mu chodziły", bo nigdy do tej pory nie przeżył tak tragicznego wyrazu tej części. Po koncercie dowiedział się, że wtedy zmarł Rubinstein. Było to 20 grudnia 1987 roku. I dodam jeszcze, że mam również innych wspaniałych uczniów, którym mówię, że przez całe życie trzeba się doskonalić, zadawać ustawicznie pytania. Dlatego powtarzam: „Teraz uczył bym was lepiej". A ci uczniowie to nie tylko wspomniany Krystian Zimerman, ale i Jerzy Sterczyński, Krzysztof Jabłoński, Wojciech Kocyan, Zbigniew Raubo, Joanna Domańska, Rafał Łuszczewski, Magdalena Lisak, Beata Bilińska, Anna Góreckа, Piotr Banasik i Mateusz Borowiak.

MGG Ci wymienieni uczniowie i inni, czyli Pańskie dokonania pedagogiczne i artystyczne o których w ogóle — na Pana życzenie — nie wspomnieliśmy sprawiły, że jest Pan Profesorem laureatem wielu zaszczytnych wyróżnień, doktoratów honoris causa, jak przykładowo..

Proszę zostawmy to, bardzo proszę.… Powiem o tym, co teraz jest mi najbliższe. Nagrodę, którą otrzymałem w moich Katowicach. Pamiętam wypowiedź prezydenta miasta dr Marcina Krupy. Także swoją, że „jestem zachwycony, ale też trochę zażenowany". To podtrzymuję. Cieszę się, że jestem obok Góreckiego i Kilara. A zatem jestem w tym zacnym gronie trzecim wyróżnionym muzykiem. Z tego powodu się cieszę. To mi daję ogromną satysfakcję. Czyli kończymy. Ale z całą pewnością do następnego spotkania.

Dziękujemy za rozmowę. ■

Stulecie śląskiej insurekcji cz. 3

Heroizm i szaleństwo

HENRYK SZCZEPAŃSKI

„Rozkazuję wszcząć nieograniczoną wojnę podwodną z dniem 1 lutego i prowadzić ją z największą energią. Wilhelm J.R." dyrektywę tej treści cesarz niemiecki podpisał w kwaterze sztabu generalnego zamaskowanej na zamku w górnośląskiej Pszczynie, dnia 9 stycznia 1917. To on podjął ostateczną decyzję o wypowiedzeniu bezwzględnej wojny podwodnej a dowódcom swoich wszechmocnych U-Bootów zezwolił na zatapianie wszystkiego, co tylko napotkają na Atlantyku). Proklamowanie „nieograniczonej wojny na morzu" skończyło się wołającymi o pomstę do Boga i sumienia — ludobójczymi ekscesami: komandor porucznik Karl Neumann, dowódca łodzi podwodnej U-67, zatopił statek szpitalny „Dover Castle". Porucznik Patzig, dowódca U-86, zatopił statek szpitalny „Llandlovery Castle". Jego dwaj podkomendni — porucznik Dithmann i porucznik Boldta, dla zatarcia śladów zatopienia statku, zastrzelili 234 rozbitków. To tylko dwa spośród wielu przykładów potwornych morderstw popełnionych w „blasku majestatu" prusko-branderburskiego władcy.

Dwa lata później germańscy wychowankowie Hohenzollernowskiej szkoły wojennej uzbrojeni w armaty, kulomioty i granaty wkroczyli na arenę powstania śląskiego. Z wyjątkowym upodobaniem strzelali z ukrycia albo przyczajeni w pociągach pancernych i samolotach.

Na Śląsku usytuowanym, było nie było w środkowej Europie niemiecka soldateska szczególnie po kapitulacji zbrodniczego reżimu, starała się dbać o pozory. Tutaj patrzała im na ręce Liga Narodów NAKAZUJĄCA respektowanie konwencji międzynarodowych. Jej sygnatariusze nie pozostawali obojętni na grabieże, morderstwa i rozstrzeliwania bezbronnych obywateli. A jednak ….

W pierwszej ćwierci XX stulecia, na terytorium przesławnej Rzeszy, sprawującej władzę pomiędzy Odrą a Brynicą grasowali ludobójcy poprzebierani w mundury Reichswehry.

Czym w 1919 roku naszej ery charakteryzował się niemiecki volkenmörder na Śląsku?

Oto kilka przykładów z życia codziennego nadczłowieka –najwspanialszego przedstawiciela rasy panów tego świata.

„Pamiętamy doskonale, co przeżył Śląsk w dni sierpniowe z rąk przedstawicieli „narodu poetów i myślicieli". A nie wchodzili tu w grę powstańcy, ale spokojni ludzie, z powstaniem nic nie mający wspólnego.

Nie była przecież powstańcem Barbara Ceglarek z Lipin. Z gronem innych ludzi zajmowała się — młóceniem zboża. Niemiecki pociąg pancerny ostrzelał młocarzy, którzy zbiegli, z wyjątkiem Ceglarkowej, która ranna w kolano wczołgała się pod wóz pełen snopów. Wtedy z pociągu wysiadł oddział niemiecki, który Ceglarkową zatłukł kolbami; a ukrytego również pod wozem Hałacza Roberta, 18-letniego chłopaka, który nie był nigdy powstańcem zastrzelił. Nie był również powstańcem 60-letni Antoni Kuna z Piekar, którego zastrzelono na własnym podwórzu wystrzałem w plecy. Inwalida górniczy o bezwładnej prawej ręce, Jan Turek z Chełmka nie był powstańcem, a przecie wywleczono go z izby i rozstrzelano. Ale ostatecznie samo rozstrzelanie jest łagodną formą śmierci, więc nie zadowalało potomków Hagena (Agresywnego i podstępnego rycerza z prastarych germańskich mitów. Dop. H. S.). Doświadczyli tego dwaj bracia Stanowie z Zawodzia, których aresztowano za zaświecenie lampy: że to niby dają sygnały do Polski. Kiedy matce wydano ich trupy, okazało się, że jednemu wyłupano oko i odcięto uszy, a drugiego tak obito, że cały opuchł i wypłynęły mu wnętrzności. Bykowcami i kolbami zabito Teodora Moronia z Giszowca, a gdy oprawcy porzucili go pod Murckami, ciało tak było zmasakrowane, że tylko po karcie zarobkowej stwierdzono identyczność zwłok. Lista tych „bohaterskich" czynów jest zbyt długa i ohydna, by ją tu przytaczać. Wystarcza tych parę przykładów, by wyrobić sobie należyty pogląd na „rycerskie obyczaje" Niemców. Oczywiście, wojna dla żadnego narodu nie jest kuźnią, produkującą szlachetne charaktery, ale też żaden naród z góry nie zamawia sporządzonych z twardej gumy batów, oplecionych stalowymi taśmami, by nimi katować ludzi; a to właśnie czynił Grenzschutz." (Powstaniec, 1939, R. 13, nr 34, zbiory: BŚ Katowice)

Na łamach jubileuszowego wydania „Powstańca" wspominali weterani śląskiej insurekcji, po upływie dwudziestu lat od barbarzyńskiego genocydu na Ślązakach a w przeddzień jeszcze potworniejszej zbrodni jaką szykowały asy tresowane w koszarach obwieszonych portretami Wilhelma II Hohenzollerna a później jego najbardziej pojętnego ucznia, niejakiego Adolfa Hitlera, antyslawisty, który z szyderczym uśmieszkiem pokpiwał ze „śmiesznych stu milionów Słowian" których należy skazać na zagładę lub katorżnicze roboty.

„W rządowej kopalni w Bielszowicach już pod koniec marca 1919 roku było 36 sztuk batów, przeznaczonych na robotnika polskiego. Były one sporządzone z twardej gumy, a starannie oplecione pasami z żelaza. Każdy z tych batów ważył przeszło funt." (Powstaniec, 1939, R. 13, nr 34, zbiory: BŚ Katowice)

Po zakończeniu wojny były cesarz Rzeszy, król Prus, Wilhelm II Hohenzollern, jako zbrodniarz wojenny na podstawie Traktatu Wersalskiego (art. 227–230). Został postawiony w stan publicznego oskarżenia o „najwyższą obrazę moralności międzynarodowej". Oprócz Sądu nad byłym monarchą Traktat przewidywał wszczęcie postępowania przeciw osobom, które dopuściły się przestępstw sprzecznych z prawem i zwyczajami wojennymi. Nieliczni zostali osądzeni w procesie lipskim, który, nie bez powodu wybitny francuski jurysta mecenas J.B. Herzog nazwał „parodią wymiaru sprawiedliwości". Na liście oskarżonych znalazło się 895 zbrodniarzy wojennych, głównie wyższych dowódców wojskowych. Był wśród nich niejaki Herman Goering, po latach prawa ręka Hitlera. Większość z nich uniknęła kary, a Wilhelm Hohenzollern czmychnął do Holandii i tam dzięki koneksjom krewnych i powinowatych uzyskał przywilej dożywotniego azylu politycznego. Flirtował z Hitlerem i niewiele brakowało aby w glorii męczennika powrócił na tron nazistowskiego imperium.

Jako niedościgli spece od volkermordu, krwawego bagnetu i stalowego knuta wyszkolili kilka pokoleń zwyrodniałych oprychów w mundurach Reichswehry i Grenzschutzu. Wszyscy razem, na sumieniu mieli śmierć tysięcy Ślązaków ich żon, dzieci i krewniaków – zastrzelonych bądź zakatowanych w więziennych celach. ■

fot. Marek Skwara

Stanisław Niemczyk i Marek Skwara.

Mistrz Stanisław Niemczyk

13 maja 2019 odszedł od nas Stanisław Niemczyk. Architekt osobny, podążający swoją niezależną ścieżką twórczą od zawsze. Od studiów, wybierając na promotora swojego dyplomu Włodzimierza Gruszczyńskiego, poprzez uniformizującą wielu, ale nie jego pracę w Miastoprojekcie, gdzie doceniając jego indywidualizm pozwolono mu działać „po swojemu" w realizacji nietypowych i czasochłonnych projektów, po jego, od 1985 niezależną drogę, którą wytyczały głównie kościoły. Wśród nich Kościół Św. Ducha w Tychach (1983), w Krakowie – Bożego Miłosierdzia (1994), w Czechowicach-Dziedzicach – pod wezwaniem Chrystusa Odkupiciela (1998). Są też inne kościoły w Tychach, Pawłowicach, Warszawie i Pszczynie, a ostatnio, realizowany od 2000 roku monumentalny zespół klasztorny oo. Franciszkanów w Tychach.

Był osobą otwartą, empatyczną w stosunku do wszystkich; do społeczności budujących kościoły, które potrafił zjednywać i mobilizować do wznoszenia świątyń, poświęcając swoją energię, talent i czas dla „sprawy"; do inwestorów wykazujących dobrą wolę współpracy, do kolegów architektów, co w środowisku nie zdarza się zbyt często. By przypomnieć dokonania i aktualne przez całe życie poglądy Mistrza, proponuję przeczytać fragment rozmowy, której całość zatytułowana „Którzy chcą widzieć", ukazała się w numerze 9/96 miesięcznika „Architektura", z okazji przyznania Stanisławowi Niemczykowi Honorowej Nagrody SARP 1996.

Ze **STANISŁAWEM NIEMCZYKIEM** rozmawiał MAREK SKWARA

Gratuluję otrzymania Honorowej Nagrody SARP i zapytam o krótką charakterystykę Twojej drogi do architektury:

Stanisław Niemczyk: To brzmi tak, jakbym już nic więcej nie miał robić. Zaczynałem od technikum budowlanego, nie od liceum, więc może moje skłonności do materii podyktowane są tym, że najpierw się otarłem o samą materię, a później dopiero o tę wiedzę, którą zdobywałem na studiach. Dążenie do budowania było we mnie bardzo silne i myślę, że bez względu na to, co bym studiował, to coś bym klecił, być może budowałbym dom z lusterkami lub malował pejzaże na lodzie... Ale potoczyło się inaczej. Skończyłem wydział architektury w Krakowie, zacząłem pracę na Śląsku. Był to wybór świadomy, pomimo możliwości pozostania na uczelni u profesora Gruszczyńskiego, gdzie robiłem dyplom. Wydaje mi się, że właśnie tam, otarłszy się o pracę i myśl teoretyczną, o wizjonerstwo Gruszczyńskiego, bardzo dużo się nauczyłem; katedrę miałem doborową. Podobało mi się u Gruszczyńskiego to, że chciał wypełnić w architekturze polskiej lukę, która pozostała w wyniku zaborów. Uważał, ze trzeba odbudowywać świadomość choćby dzięki pracom teoretycznym. Nie chodziło o narodowy styl pojmowany wprost, bo to może zawsze trącić architektonicznym szowinizmem, ale o poznawanie własnej kultury, własnych możliwości, własnego rzemiosła. Gruszczyński skupiał się bardziej na regionie Podtatrza, gdzie zachowała się w nienaruszonej formie architektura lokalna. Zresztą, nam stąd, z terenu Śląska, trudniej jest rozróżniać, kto jest skąd, co jest czyje. Ludzie, którzy tu przychodzili, identyfikowali się z tym obszarem – i to nie tylko z gospodarką, dla której się tu znaleźli, ale także z kulturą – starali się być Ślązakami, chociaż pochodzili z różnych stron świata. Moja decyzja, by wykonywać zawód praktyczny, by projektować i budować, była jednoznaczna – zebrać manatki i szukać pracy. I znalazłem ją tutaj, w Tychach, tu się zatrzymałem, jak się okazuje na dłużej.

Twoje realizacje charakteryzuje dbałość o detal, zwracasz uwagę na wątki murów, zestawienia materiałów. Gdy w kontekście tego, co mówiłeś o Gruszczyńskim, o szkole, którą kończyłeś, byłbyś skłonny do określenia swojej architektury jako kontekstualnej, architektury miejsca, a jeśli tak, to czy wpisujesz się w jakiś sposób w tradycje architektury śląskiej?

Myślę, że najistotniejsze jest wpisanie się w architekturę miejsca, w kontekst przestrzenny. Zawsze troszkę denerwowało mnie dzielenie architektury na okresy i style. Wydaje mi się, że moment zaszufladkowany jako styl, przestaje już nas dotyczyć, przechodzi do historii, kostnieje. Każdy mój projekt dotyczył konkretnego miejsca. Była to za każdym razem próba – na miarę moich możliwości – znalezienia dla tego miejsca możliwie najbardziej adekwatnej architektury. Co do materiałów — cegły nie identyfikuję ze Śląskiem, absolutnie. Jest to materiał ponadczasowy dla tej cywilizacji, w której wyrośliśmy. **Dobrze się stało, że na Śląsku cegła była tak powszechnie używana i detal też kształtowany był na bazie formatu cegły...** Tu była bardziej rozwinięta technika wykonywania cegły. Był materiał, z którego można ją było robić i była energia. Ten materiał był łatwy do wytworzenia, nie trzeba go było transportować. Stąd chyba właśnie taka liczba cegielni i w związku z tym rozwój samego przemysłu ceramicznego, bo tych cegielni było mnóstwo, różnych kształtek, doskonale dopracowanych. Fakt, że to przetrwało, a nie zawsze to była prosta technologia, mówi sam za siebie.

Emanuje z Ciebie spokój, a w pracowni panuje atmosfera średniowiecznego niemal skupienia. Jak uzyskujesz ten stan ducha i jak udaje Ci się utrzymać oazę równowagi w świecie zdominowanym przez szaleńcze tempo, high technology i wszechobecne media?

Bardzo często słyszę, że ja jestem za spokojny na to, co robimy, jak żyjemy. Istotnie, możliwe, że to tak wygląda na zewnątrz. Ale w środku jest to, co chyba w każdym z nas – permanentne napięcie. Może ono jest trochę niepotrzebne. Natomiast ten drugi człon Twojego pytania....Nie anali-

zuję architektury pod kątem rozpoznawania z czego on powstaje. Uważam, że jej jakość czy ostateczny odbiór, nie są związane bezpośrednio tylko z użytym materiałem, lecz ze sposobem wydobycia istoty tego materiału. Każdy materiał ma swoją duszę, naturę. Zgodnie z tą naturą da się z niego coś wydobyć, coś wyprofilować, złożyć w całość. Przyznam szczerze, że nie emocjonowałem się nigdy tak zwanymi „kierunkami". Nie wiem do końca, czy to jest lenistwo, czy brak czasu. Architekci nie mają tego komfortu w pracy twórczej, jak na przykład malarze czy rzeźbiarze, którzy mogą kilkanaście rzeczy wykonać, wyciągając z nich wnioski do następnych. My tych rzeczy robimy kilkanaście w życiu, czyli jeżeli proces budowania trwa kilka czy kilkanaście lat (choć teraz się trochę przyśpieszył), to pytam – jakie wnioski można wyciągnąć, co można zmodyfikować, poprawić, uzupełnić? Zaczynam więc rozumieć, że cywilizacje budowania czegokolwiek trwały setkami lat. Dziesiątkami lat można było poprawiać, osiągając coraz lepsze rezultaty. Jeżeli teraz rozwiązania będą się zmieniać co trzy lata, co pięć, bo technologia będzie to przetwarzać bardzo szybko, to my nie jesteśmy w stanie wyciągnąć z każdej technologii, z każdego nowego materiału tego maksimum, które powinno być wydobyte, tak do końca, bo to jest cały czas przetwarzanie rzeczy byłych. Boję się, że zdefiniowanie stylu, zdefiniowanie jednoznaczne, podpisanie się pod pewnym sloganowym programem całościowym prowadzi do oschłości i przedmiotowego traktowania tych zapisanych, bardzo ideowo spraw; stają się one matrycą, która się dostosuje do własnej twórczości. Jestem przeciwko temu.

Czy w związku z tym w swojej praktyce dokonujesz jakiejś selekcji tematów, czy architektura sakralna, mieszkaniowa, to są tematy, które dobierasz, czy tak się akurat składa...

Życie mi nie dało możliwości selekcji. W okresie pracy biurowej mogłem jedynie nie podejmować pewnych tematów, chociaż biuro stwarzało taki „komfort"; cały swój opór wobec systemu mogłeś wyrazić tym, że robiłeś coś po swojemu i wpływałeś na obniżenie wydajności firmy, co bardzo nie podobało się dyrekcji. Także dobór tematów w biurze wiązał się z odsuwaniem tych, których autentycznie nie chciałem podejmować, a niezgodą na to, że narzuca mi się technologię i nie mam na to wpływu. I rzeczywiście, w jakimś stopniu projektowałem według własnych pomysłów. To, że dziś zajmuję się architekturą sakralną, jest też dziełem przypadku – ktoś gdzieś usłyszał, że takie dziwne rzeczy to ja robię, więc przyszedł do mnie i od tego się zaczęło. Nie mam żadnej specjalizacji. Robię wszystko.

Ten mechanizm uzyskiwania zleceń jest niezwykle tajemniczy. Czy zdarzyło Ci się, że przyszedł ktoś, kto miał zlecenie całkowicie komercyjne – powiedzmy bank, po to żeby był efektowny, drogi?

Współpracowałem z różnymi inwestorami. W przypadku kontaktów z inwestorem staram się zachować spokój. Jeżeli czuję przez skórę, że coś w tym zleceniu nie gra, że nie mamy wspólnego języka, nie wycofuję się, lecz staram się rozmawiać. Twierdzę, że tyle umiemy, ile tej wiedzy zdobywamy, a zdobywamy ją cały czas, również przez kontakty z ludźmi. Są to kontakty niekiedy bardzo osobiste. Ja to mówię na początku każdemu inwestorowi, że niestety – ale musi rozmawiać ze mną otwarcie, jak z lekarzem. Napisanie na kartce, że mają być trzy sypialnie z salonem nic mi nie mówi i nie potrafiłbym wykonać takiego zlecenia. Dlatego staram się unikać zastępczych inwestorów i kontaktować bezpośrednio z osobą, czy grupą osób, które są dla mnie partnerami, które byłyby przeciwnikiem w sporze. Wtedy mogę rozmawiać i przekonywać; mogę przekonać, może mieć rację kto inny. Nigdy nie uważałem, że my-architekci zbudujemy świat naszych marzeń; jest to tak samo chore, jak każda inna skrajna idea. Natomiast projektowanie jest procesem zrozumienia się z inwestorem. Słucham, nie lekceważę tego, co się do mnie mówi. Żadnego mentorstwa. Mentorstwo pojawia się w dyskusjach zawodowych, pokonkursowych. Kratka ściekowa, kiosk, kosz na śmieci – nie ma dla mnie znaczenia wielkość tematu.... Nie planuję, o wszystkim decyduje czas i przypadek.

Widziałem u Ciebie mnóstwo tajemniczych metalowych przedmiotów. Czy

fot. Marek Skwara

Zespół klasztorny oo.Franciszkanów,. Tychy.

fot. Marek Skwara

Kościół Św. Ducha, Tychy.

te poszukiwania są Twoim hobby, czy też mają bezpośredni wpływ na Twoją twórczość? Muszę powiedzieć, że to zamiłowanie do złomu jest mi bliskie emocjonalnie...

Zbieractwo to jakiś atawizm. Dla mnie miało ono wymiar taki, że jak poznawałem różne dziedziny życia na zasadzie niewgłębiania się, bo na to nie mam czasu i możliwości, ale z dziedzin takich przylegających do nas, to co mnie jakoś interesowało, to sobie przeglądałem. Tłumaczyłem to sobie tym, że musiałem być wzrokowcem; moge słuchać i przyswajam te wszystkie wrażenia, z rzeczywistości albo z książek. Myślę, że każdy z nas jest nastawiony na pewien rodzaj wrażliwości, coś do nas bardziej trafia, coś mniej. Wiem, że zawsze z tego nagromadzonego materiału mogę skorzystać. Ta pomoc przy projektowaniu przychodzi sama. Nie potrafię powiedzieć, gdzie ten potencjał jest zakodowany, nie umiałbym go teraz wyłożyć na papier, ale w pewnym momencie zaczyna Ci przylegać do tego, nad czym pracujesz. A te przedmioty? Są tu przypadkiem. Nigdy mnie nie interesowało kupowanie w sklepach Desy, tam gdzie dokonano już selekcji. Chodzi mi raczej o zwrócenie uwagi na przedmiot, który może w danym momencie jest uważany za brzydki i bezwartościowy. Zawsze bardzo ceniłem przedmioty wykonane ludzką ręką, w których wyczuwa się włożoną pracę i dostrzega jej rezultaty. To mogą być przedmioty codziennego użytku – skuwka, żelazko – każdy z nich ma swoją logikę, i interesuje mnie właśnie odkrywanie wstecz logiczności użycia danej rzeczy, jego swoistej doskonałości jak na czasy, kiedy posługiwano się określonym materiałem i narzędziami. Przedmiot wystrugany z drewna jako grabie może być przedmiotem równie doskonałym jak samolot, jest tylko sprawa odniesienia do środków, do możliwości, do włożonej myśli.

Czy bliska Ci jest technika ponownego używania tych elementów, wkładania ich w nowy kontekst i przez to przywracania życiu jakby na nowo?

W minimalnym stopniu. W zasadzie z czymś takim nie zetknąłem się, nawet nie wiem, czy potrafiłbym to wykonać. Czuję jakąś niewidzialną barierę, kiedy biorę właśnie taką belkę, która ze względów estetycznych miała by być ponownie użyta. Raczej traktuję rzeczy jak wykonane czy już użyte jako normalny budulec, więc się nie zastanawiam nad tym, że ona ma nową wartość z powodu dekoracyjnego użycia. Bałbym się, że mogłoby to stać się modą; widzę w tym zagrożenie dla zasobów, które wcześniej powstały w całości; wyłączenie z nich kawałków kontekstu zdecydowanie niszczy tę wartość. Tak jak eksponaty muzealne, które są wyprane kompletnie ze wszystkiego..

Ale część swojego domu budowałeś z cieślami, ociosując stare belki z rozbiórlki. Intencja tego pytania była taka, że zamiast spalić je w kominku, wyrzucić...

One miały dla mnie wartość użytkową. Mogłem oczywiście pójść do tartaku, zamówić, ale wtedy nie było to łatwe. Ten materiał natomiast leżał porzucony i w momencie, kiedy mogłem go odzyskać, zaczęło mnie to niesłychanie cieszyć. Jest to działanie według pierwotnego szablonu wznoszenia konstrukcji drewnianej i to właśnie dawało mi radość.

To miałeś na myśli, mówiąc o uczeniu się z tych starych przedmiotów, o wyciąganiu nowych wartości.

Zdecydowanie. To się dzisiaj nazywa sztuką użytkową. Kiedyś rzemieślnicy potrafili wykonać piękny uchwyt, piękne metalowe zamknięcie, wszystko. Można powiedzieć, że teraz zawód budowlańca, który posługuje się tylko betonem, cegłą i zaprawą, zaczyna być minimalizowany właśnie na rzecz ślusarzy. Spotykam na budowach wielu ślusarzy, którzy reprezentują w sposób świadomy bardzo wysoką kulturę wykonawstwa i dokładności. Ten zawód został zdetronizowany w latach pięćdziesiątych, kiedy wymarło pokolenie przedwojennych murarzy.

Myślę, że cieśle, ślusarze jakby z natury swojej są precyzyjni i są takimi „najgodniejszymi" specjalistami, których można spotkać na budowie.

Znają się na technologii materiału. Nie każdy budowlaniec ma świadomość, co bierze do ręki, jakiego potraktowania wymaga cegła, a jakiego drewno. Góral wie, jak trzeba właściwie uderzyć drewno siekierą. Ceper tego nie wie.

Czy bliska Ci jest idea średniowiecznego muratora, który buduje wespół z grupą budowniczych?

Tu mnie trafiłeś. To jest marzenie, największa przygoda. Ręczne sterowanie, co w tej chwili mi się przydarzyło w Czechowicach, gdzie jestem niemal codziennie o szóstej rano. Powstaje tam mały obiekt sakralny, przebudowywany z jakiejś hali fabrycznej. Kiedy inwestor bierze pod pachę wykonaną przeze mnie dokumentację i znika, zastanawiam się, po co ja nad nią pracowałem? Przestajesz mieć wpływ na dalszy ciąg. Żadna dokumentacja nie kończy się na rysunku i nie ma takiego momentu, w którym nie można by coś zmienić w realizacji. Nie wierzę w rozwiązanie genialne. Pomimo że komputeryzacja pomaga w wizualizacji przedsięwzięcia, odkrywanie przestrzeni, którą się narysowało, a która powstaje – jest dla mnie za każdym razem czymś nowym. My rysujemy perspektywy, które – lepiej czy gorzej – przystają do rysunku komputerowego. Rysunek jest bardzo precyzyjny w sensie geometrycznym, optycznym, natomiast nowość każdej przestrzeni jest jednorazowa. I za każdym razem ciekawi mnie, jak ona przystaje do mojej wizji, czy ją tak właśnie narysowałem. To jest w trakcie realizacji moment bardzo inspirujący, to uświadomienie sobie, ze dalej można tworzyć, przetwarzać. Jeśli można to robić wraz z inwestorem, to jest to komfortowa sytuacja. Tylko pomarzyć...

Jest trudna sprawa w znalezieniu ludzi do współpracy, którzy jednocześnie chcieliby i mogli coś wymyślić. Nie wierzę też w pomysł, który był lansowany – żeby na początku wziąć malarza, rzeźbiarza, architekta i wszystko od razu będzie powstawać. Tu moje podejście jest staroświeckie. Architekt nadawał charakter, mówił jaki ma być fryz. Inwestor nawet mógł dodawać, że chciałby na przykład, żeby to był motyw roślinny albo zwierzęcy. Architekt nadawał skalę. To on wytyczał tę działkę, nie malarz, który najchętniej zamalowałby całą ścianę.

Jak skomentowałbyś współpracę z mistrzem Jerzym Nowosielskim, autorem polichromii w Twoim kościele w Tychach?

Wspaniale. Jest to człowiek o niesłychanej wrażliwości, o wielkiej wiedzy, zarówno wyuczonej, jak i duchowej. Dyskutowaliśmy sobie o niektórych detalach, które chciałem umieścić gdzieś pod betonowym

dachem, gdzie właściwie pozostaną niewidzialne dla użytkownika. Ale chciałbym wiedzieć, że jest tam wlepiony kawałek jakiejś żeliwnej żaby czy jaszczurki, rzecz całkiem niepotrzebna z racjonalnego punktu widzenia, gdyż nikt tego nigdy nie zobaczy, przynajmniej póki się wszystko nie zawali... On to nazywa tak bardziej po prawosławnemu, że coś jest „zakryte", coś jest tajemnicą. I tak zaczęliśmy rozmawiać o malarstwie, z którym jest podobnie. Nie wszystko musi być widać gołym okiem, te rzeczy są dla tych, którzy chcą widzieć; właściwie wszystko jest dla tych, którzy chcą widzieć. Nowosielski opowiadał, że zna profesorów, którzy stali przed jego obrazami i patrzyli jak wół na malowane wrota.

Jest to człowiek naprawdę wielkiego ducha. W jego malarstwie cenię najbardziej nie to, że się wybił i ma tzw. styl, ale bardzo mi się podoba nawiązanie czy powrót do malarstwa i sztuki średniowiecza. W pełni identyfikuję się z tą sztuką, od pewnego czasu nawet świadomie, frapuje mnie od dawna gotyk, ale rozumiany szerzej, i właśnie ta – nie skrótowość czy lapidarność – powiedziałbym raczej – synteza sztuki, którą reprezentuje malarstwo Nowosielskiego. Namalowanie wszystkich włosów i żył, kierunek nazywany przez historyków sztuki hiperrealizmem, to pustka przekazu. Niech ktoś spróbuje namalować ducha czegoś; okaże się wtedy, że metody realistyczne zawodzą. Kiedy pierwszy raz miałem możliwość zobaczyć przez parę godzin Rzym i kolekcję w Watykanie, z radością stwierdziłem, że to, co oglądam potwierdza moje odczucia. Zwłaszcza sztuka renesansu, bardzo manualna, przesycona pragnieniem poznania. Poznawano wszystko – od gwiazd po paznokieć, wiercono ziemię, podpatrywano jak płynie woda i czas. Był jeden z tych momentów, kiedy jak ja to nazywam – wybucha wirus. Podobnie wirus nazizmu przetoczył się później przez cały świat cywilizowany. Nasuwa się pytanie, czy „chorobę" taką powoduje jeden człowiek, jeden fakt, jedno zdarzenie, czy może coś się zawiązuje wśród ludzi, że nagle to wybucha? I tak oceniłem sobie tę sztukę jako niesłychanie uduchowioną. Właśnie tę wyrażającą się w środkach lapidarnych. To tak, jak z rysunkiem dziecka, które nie umiejąc rysować, potrafi oddać istotę rzeczy. Właśnie to udaje się Nowosielskiemu. W tej chwili odnoszę się do sztuki sakralnej, ale to samo wrażenie miałem, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z malarstwem Nowosielskiego studiując w Krakowie, były to obrazy świeckie, akty. To wielkie malarstwo, choć wydaje się, że jest to pięć plam, trzy kreski i kropka. Byłem bardzo szczęśliwy, że właśnie On ze mną współpracuje, szkoda, że tego nie dokończył. Może kiedyś do tego wrócimy; marzę, by jeszcze coś z ducha jego sztuki zostawić w jakimś budynku.

Na tyle kościołów zbudowanych w ciągu ostatnich dwudziestu lat bardzo niewiele jest takich, które niosą nieprzemijające wartości...

I w inny sposób. Źle się odbiera sztukę, która nagle rozwarstwia się, bo staje się wtedy obiektem muzealnym. Uważam, że dla architektury jest to złe; architektura powinna być spójna, bo inaczej wszyscy poddajemy się rozwarstwieniu. Coś powstaje, coś jest budowane, ale jak to przystaje do reszty?

Czy nie czujesz, że takie pojmowanie architektury zaczyna być niepopularne? Czy to nie oddalająca się epoka pod koniec XX wieku, tempo życia, mass media, reklama – powodują, że takie podejście jest archaiczne?

Staram się szukać kontekstu bardziej ogólnego. Zaczynając od architektury, zawsze można dojść do uogólnienia. Obojętne, czy zaczniemy rozmawiać z filozofem, socjologiem czy lekarzem – wspólnie możemy, w miarę naszych możliwości, próbować zrozumieć naturę otaczającego nas dziś świata, wspólnie dojść do uogólniających wniosków. Inaczej pogubilibyśmy się w szczegółach. Ale uważam, że świat po raz kolejny otrząśnie się z tej „choroby".... Gdybym miał przeżyć życie tylko po to, by zarabiając na coś wziąć szybko pieniądze i wracać do pracy, by zarobić następne, to wolałbym ciężko pracować fizycznie, żeby móc przeżyć. Nie wykonywać niczego, co ma komuś służyć w sposób zły, prymitywny, co ma go degradować w kontekście z tym, co ja dla niego wykonałem. Wyniki naszej działalności mogą niszczyć pokolenia. Także wierzę w to, że świat znowu zacznie się z tego otrzepywać. Myślenie o dobrym świecie musi w pewnym momencie wydać owoc. A jest sporo ludzi, którzy myślą w sposób bardzo pozytywny, choć niekoniecznie o tym, jak wypuścić na rynek tysiąc nowych samochodów, co do niczego nie doprowadzi. To jest konsumpcja, która – co byłoby idealnym rozwiązaniem – powinna w końcu sama siebie zjeść, i byłby spokój. Te charakterystyczne dla dzisiejszych czasów poszukiwania terapeutycznych działań, szczególnych miejsc na kuli ziemskiej, poszukiwania wiary... Ludzie bez wiary żyć nie mogą, w coś muszą wierzyć, bo inaczej przepadną. Te poszukiwania są powszechne szczególnie wśród ludzi młodych. Słowo „wolnorynkowość" jest, przynajmniej dla mnie, słowem ohydnym, zakłamanym. Na pokoleniach ludzi starszych spoczywa obowiązek doprowadzenia tych młodych do okresu, kiedy powinni wykonywać swój zawód, pracować, zarabiać, tworzyć, doskonalić się, osiągać dojrzałość. Natomiast my tej szansy nie dajemy; mówimy; jest wolny rynek, kto jest mocny, ten się przebije. Takie myślenie nie ma szans powodzenia.

Czy bliska Ci jest architektura Carlo Scarpy?

Marku, opowiedz mi dokładniej...

...co to za facet?

Tak, ja mam bardzo małe rozeznanie... Ale opowiedz mi.

To jest włoski architekt, mający w dorobku bardzo mało realizacji. Działał w miejscach tak wrażliwych jak Wenecja, zmarł kilkanaście lat temu. Urodzony na początku wieku, te najpoważniejsze rzeczy tworzył głównie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. To, co go charakteryzuje, to fakt, ze budował nowe rzeczy w starym kontekście, nie próbując naśladować tego starego. Razem tworzyło to jakąś nową jakość i współgrało ze sobą, jest rewelacyjne. Skojarzyło mi się, że między Twoją twórczością a jego może być wspólna nić.

Hmm... Ja natomiast, nie dalej jak wczoraj, miałem okazję obejrzeć album „Miejsca pamięci". W czasie I wojny światowej istniało takie komando – grupa, która budowała tylko cmentarze i miejsca pamięci poległych; co jest coś niesamowitego. Udokumentowane, utrwalone, dziś zarośnięte i niewidoczne, małe monumenty – wydzielone przestrzenie sakralne. Myślę, że dostępność informacji o ciekawych rzeczach zbudowanych przez ludzi ma, niestety charakter przypadkowy, wybiórczy. Dzieje się to ze szkodą dla wielu interesujących obiektów.

Czym teraz zajmujesz się projektowo?

Teraz wpadłem w taką, powiedziałbym, magmę. Stary obiekt typu FADOM, (Fabryka Domów), która była moim osobistym przeciwnikiem. Ta prefabrykacja dopadła wreszcie mnie i mam taką skromną przyjemność rozbrojenia jej kompletnego. Ma to być przetworzone na jakiś duży obiekt. Niehandlowy. Realizacja jest rozpoczęta, jest to przerabianie głównej hali produkcyjnej, która zajmuje powierzchnię 1,5 hektarów. To prawie małe miasteczko z rynkiem, ulicami, pasażami, placami. Oby tylko środki dopisały, bo tutaj proces realizacji jest stopniowy. Dobrze by było stworzyć pewną całość, która może być czymś atrakcyjnym w stosunku do przestrzeni **stricte** miejskiej, której my w Tychach nie mamy.

Życzę w takim razie powodzenia w walce ze zwulgaryzowaną prefabrykacją.

Może się uda. Pochodzę z Czechowic i po tylu latach uzmysłowiłem sobie, że na koniec też mogę tej społeczności coś dać. Mogę w maksymalnym stopniu się temu oddać; po latach się okazało, że pomimo ogólnego zniechęcenia do działań wspólnych, wspólnotowych, które się kojarzyły z budową kościołów w pewnym okresie euforii, tam nagle się okazało, że praktycznie społeczność wyartykułowała z siebie chęci i siły, stworzyła wspaniały klimat. Z przyjemnością jeżdżę tam codziennie. Wierzę, że człowiek zawsze musi trafiać na ludzi, bo inaczej w ogóle nie ma sensu nic robić. Wprawdzie nie robi się tego dla siebie, ale mamy z tego też odrobinę przyjemności.

Na chwałę swoją i Pana Boga. Dziękuję bardzo za rozmowę. ■

„Pancerne Skrzydła”

W 75 rocznicę wyzwolenia Flandrii przez 1 Dywizję Pancerną gen. Stanisława Maczka

RYSZARD MOZGOL

Belgijski etap walk 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka we wrześniu 1944 roku często sprowadzano we wspomnieniach weteranów do niespotykanego wręcz entuzjazmu mieszkańców belgijskich miast, polskich flag szytych z prześcieradeł i poszewek, flamandzkiej gościnności, pięknych dziewcząt marzących o przystojnym polskim żołnierzu, czy niekończących się alkoholowych poczęstunków. Generał Maczek pisał, że mieszkańcy Belgii dali polskim żołnierzom namiastkę domu i ojczyzny, a dywizyjny korespondent Ryszard Kiersnowski ujmował skrótowo belgijskie atrakcje zdaniem: „Stu Polaków – dziewcząt dwieście”.

Prawdziwa wojna

Wbrew ulegającym mitologizacji wspomnieniom, wojna w Belgii była jak najbardziej prawdziwa, pełna okrucieństwa, determinacji, heroizmu, groteski, czy wściekłej bezsilności. Szlak polskiej dywizji usłany był kwiatami, z których prządki nierzadko plotły wieńce na mogiłach poległych kolegów – wesołych, przystojnych, pełnych życia dwudziestolatków. Niejeden z uczestników tych wydarzeń pochodził z Górnego Śląska. Od wyzwolenia miast flamandzkich przez polskich żołnierzy gen. Maczka w 1944 roku mija w tym roku 75 lat.

Jednostki 1 Dywizji Pancernej znalazły się na okupowanym przez hitlerowców terytorium Królestwa Belgii wczesnym rankiem 6 września 1944 roku, przetaczając się po zbudowanym przez saperów moście pontonowym. Pierwszymi miasteczkami wyzwolonymi przez Polaków były Poperinge i Vlamartinge. Dywizja od miesiąca znajdowała się w pierwszej linii natarcia wojsk alianckich, uczestnicząc w krwawych walkach na terenie Francji. Po ciężkich walkach pod Falaise i Chambois, alianckim dowódcom wydawało się, że jednostka, nie mając szans na uzupełnienia stanów, nie sprosta dalszym działaniom wojennym. Gen. Maczek zdawał sobie jednak sprawę, że dobrego żołnierza dla swojej doborowej jednostki znajdzie wśród wcielonych do Wehrmachtu Polaków z Pomorza, Wielkopolski i Górnego Śląska.

Wikipedia

Normandia, sierpień 1944 roku. U swoich. Polak wcielony do Wehrmachtu rozmawia z żołnierzami 1 Dywizji Pancernej.

Polnisch sprechende Wehrmachtangehörige!

Odezwa Armij Sprzymierzonych

POLACY!

1. Wcielono was gwałtem do armji niemieckiej. Najeźdca napiętnował was hańbiącym mianem Volksdeutscha.

2. Odwieczny wróg Polski rzucił was na ten pas wybrzeża bez rezerw i transportu. Uczynił z was żywe miny, wysunięte przed niemiecką siłą pancerną.

3. Żołnierze, marynarze i lotnicy Narodów Zjednoczonych ruszyli do potężnego szturmu przeciw hitlerowskim Niemcom, do szturmu, który na zawsze złamie tyranię wspólnego wroga i położy kres niewoli Polaków.

4. Każdy strzał, wymierzony przez was w tych bojowników wolności byłby strzałem w serce Polski.

5. Każdy Polak, który zaprzestanie bezcelowej walki, zachowa swe życie dla siebie i dla Polski.

Z kolekcji prywatnej Gillesa Lapersa

Odezwa do Polaków służących w Wehrmachcie zredagowana przez gen. Mariana Kukiela, kolportowana przez alianckie jednostki po lądowaniu w Normandii w 1944 roku.

Górnoślązacy u Maczka

W szeregach dywizji służyli już Górnoślązacy, których losy wojenne splecione były z polską armią we Francji i którzy w 1940 roku znaleźli się w Anglii, jak związany z rybnickim Collegium Seraphicum franciszkanin, kapelan Polskich Sił Zbrojnych o. Wiktor Hupa, poległy bohatersko w punkcie opatrunkowym pod Mont Ormel. Po 1943 roku pojawili się pierwsi żołnierze wcześniej służący w Wehrmachcie, jak pochodzący z Kochłowic żołnierz 1 Pułku Artylerii Przeciwpancernej Wacław Galios, który wspominał, że nie słyszał krytycznego słowa o tych, co przyszli „od Niemców”. W 1944 roku tylko po jednej bitwie pod Falaise wśród jeńców znalazło się 5500 szeregowych żołnierzy i 150 oficerów deklarujących polskie pochodzenie. Maczek po krwawych walkach w Belgii i Holandii w listopadzie 1944 roku oceniał walory bojowe Polaków wcielonych do Wehrmachtu, stwierdzając: „…to dobry żołnierz, świetny element wojskowy”. Przyznać trzeba, że nie wszyscy polscy oficerowie początkowo wyrażali tak dobrą opinię. Z jednej strony zwracano uwagę, że wcieleni do jednostek dywizji Górnoślązacy charakteryzują się wysoką dyscypliną i porządkiem, zwracano uwagę na „pruski dryl” wyniesiony z niemieckiej armii, zachowanie wzorowej czystości broni, szacunek do dowódców, a nawet wypolerowane „na glanz” buty. Wszystko to, czego nie potrafiono wpoić słynącym z niechlujstwa i niesubordynacji ochotnikom z Polonii francuskiej. Z drugiej strony oceniano krytycznie słabą znajomość języka polskiego, czy niedostateczne obeznanie z alianckim sprzętem, które stanowiło efekt pośpiesznego i niedostatecznego szkolenia. Dało się ono we znaki w trakcie ciężkich walk w Holandii. Pojawiały się też początkowo nieliczne opinie poddające w wątpliwość czyste intencje żołnierzy deklarujących chęć wstąpienia do polskiego wojska. Realia rozwiewały wątpliwości. Karol Bartulec, pochodzący z Górnego Śląska żołnierz 10 Pułku Dragonów, wspominał, że polskich jeńców z Wehrmachtu traktowano z serdecznością, a przydział do jednostek dywizji odzwierciedlał specjalizacje uzyskane w armii niemieckiej. Artylerzyści i pancerniacy uzupełniali jednostki przeciwpancerne

i pancerne, piechota rozdzielana była równo pomiędzy 10 Pułk Dragonów i 3 Brygadę Strzelców. W liczących prawie 90 tys. żołnierzy Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie pod koniec II wojny światowej blisko 30% stanu osobowego stanowili żołnierze z terenów wcielonych do III Rzeszy, którzy mieli za sobą wcześniejszą służbę w Wehrmachcie.

„Należy oszczędzić Ypres! ”

Celem działań polskiej dywizji we wrześniu 1944 roku było uniemożliwienie skutecznej obrony niemieckim siłom na trasie prowadzącej do Ypres oraz uchwycenie przejścia przez Kanał Gandawski. Maczek podjął decyzję o wykonywaniu zadań militarnych wg dwóch równoległych osi natarcia, dając jednostkom niezwykły impet i szybkość. Jednostki pokonywały średnio 50 km dziennie – forsując przeszkody wodne, staczając walki z nieprzyjacielem, zdobywając miasta i wioski. Akcje były podobne do siebie – rozpoznać, uchwycić, oczyścić. Dla polskich żołnierzy były pierwszym od wybuchu wojny w 1939 roku tak odczuwalnym smakiem upragnionego zwycięstwa.

Troska o życie cywilów jest rzadką cnotą generałów. Pod belgijskim Ypres gen. Maczek wydał utrzymywany na terenie całej Belgii i Holandii rozkaz zabraniający prowadzenia ognia artyleryjskiego w obrębie miast, w celu uniknięcia zniszczeń i śmierci cywilów. W obrębie zabudowań operować miały bataliony piechoty wspierane pancerzami czołgów. Mieszkańcy miast belgijskich i Holenderskich z wdzięcznością wspominali ten gest polskiego generała, a podpis Maczka znalazł się w księdze miejskiej u boku francuskiego marszałka Focha. W czasie krótkich, ale zaciętych walk nocnych o Ypres zginął urodzony w Katowicach pchor. Wiktor Suchy, uznawany za jednego z najodważniejszych dowódców drużyn w 9. Batalionie Strzelców. Jednostka za zdobycie Ypres otrzymała nazwę 9. Batalionu Strzelców Flandryjskich rozkazem belgijskiego regenta z 1 lipca 1945 roku, a żołnierze batalionu dostąpili zaszczytu noszenia na prawym ramieniu honorowej odznaki – sznura Fourragere.

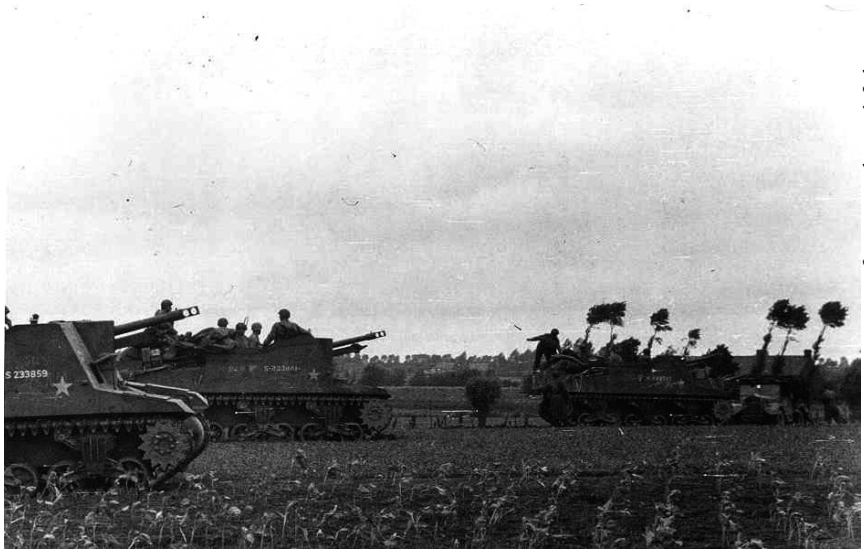

Z kolekcji prywatnej Gillesà Lapersa

Im strzelać nie kazano. Działa samobieżne Sexton na pozycjach pod Ypres, wrzesień 1944 r.

„Oni padli za naszą wolność i my tego im nie zapomnimy”

Korespondent wojenny PAT Maciej Faldhauzen odnotowywał w 1944 roku, że Flamandowie tłumnie uczestniczą w pogrzebach poległych Polaków, a same uroczystości przeradzają się w manifestacje na rzecz Polski i jej armii. Do dziś we Flandrii otacza się czcią poległych żołnierzy Maczka. W mojej pamięci pozostają przechowywane z pieczołowitością w miejskim archiwum w Roeselare hełmy poległych żołnierzy. W walkach o Roeselare 7 września 1944 zginęło ich dziesięciu. Historyk flamandzki Willy Valaey tłumaczył mi z pewnym zakłopotaniem, że posiadają tylko 9 z 10 hełmów, ponieważ jeden z żołnierzy zmarł od ran w szpitalu polowym poza miastem. W sąsiednim Tielt w archiwum miejskim przechowywane są akty zgonu poległych w walkach o to miasto żołnierzy gen. Maczka. Nie bez wzruszenia odnalazłem wśród nich akt zgonu zmarłego od ran żołnierza 10 Pułku Dragonów Oskara Lakotty z Katowic, śmiertelnie rannego 9 września 1944 roku w czasie rozpoznania drogi z Tielt w kierunku Kanału Gandawskiego. Wszyscy Polacy polegli w walkach o Tielt i zmarli w miejscowym szpitalu znaleźli swoje miejsce na pobliskim cmentarzu. Mieszkańcy Tielt nie oddali „swoich chłopaków” po zakończeniu wojny na zbiorczy cmentarz wojenny 1 dywizji w Loomel, gdzie spoczywa największa liczba polskich żołnierzy. Po zdobyciu Gandawy, w trakcie oczyszczania terenów pomiędzy Gandawą a Antwerpią pod Stekene poległ pochodzący z Kokocińca pod Rybnikiem strzelec Franciszek Gwiazda. Żołnierze Batalionu Strzelców Podhalańskich oczyszczający z nieprzyjaciela drogę z St. Paul do Stekene 13 września 1944 roku zostali ostrzelani przez zamaskowany niemiecki karabin maszynowy. Kule dosięgły strzelca Gwiazdę. Wraz z sześcioma innymi poległymi w okolicach miasteczka, spoczywa na cmentarzu komunalnym w Stekene. Jeszcze dziś można usłyszeć, że Tielt lub Stekene to ich właściwe miejsce, bo tutaj polegli, a nawet stwierdzenie, że polegli są „relikwią” flamandzkiego miasta.

W walkach 1 Dywizji Pancernej na Zachodzie poległo 157 Górnoślązaków. Na terenie Belgii zginęło ich blisko trzydziestu. Praktycznie cały szlak belgijski 1 Dywizji Pancernej od Ypres po Turnhout i Baarle-Hertog odmierzają mogiły, wśród których spotkamy groby żołnierzy pochodzących z Górnego Śląska. Szczególnie krwawe żniwo śmierć zebrała w połowie miesiąca września, kiedy jednostki dywizji zostały użyte w operacji Axel-Hulst na terenie Holandii i w walkach na pograniczu belgijsko-holenderskim wzdłuż drogi na Tilburg. Pięciodniowa operacja Axel-Hulst kosztowała życie 75 polskich żołnierzy, ponad 60 zaginionych i blisko 200 rannych. Szczególnie krwawe okazały się pierwsze działania 10 Pułku Dragonów, które porucznik dragonów Karol Wierzgoń z Kończyc opisywał jako krwawą jatkę obserwowaną bezradnie przez żołnierzy. „…patrzeli jak nas rolują Niemcy po drugiej stronie tego kanału. Nie można było znieść żadnego rannego” – wspominał Wierzgoń. Pod Axel śmiertelne rany odniósł starszy strzelec Batalionu Strzelców Podhalańskich Józef Jarząbek z Nowej Wsi. Zmarł od poniesionych ran w brytyjskim szpitalu polowym w Hillare pod Lokeren, jak wielu innych „podhalańczyków” i dragonów. Spoczywa razem z innymi na cmentarzu wojennym w Loomel.

Z kolekcji prywatnej Gillesà Lapersa

Scenka rodzajowa z Ypres – 7 września 1944 r. Polak w niemieckim mundurze (z belgijską flagą w ręce) z żołnierzem 1 Dywizji Pancernej w otoczeniu wiwatujących mieszkańców. Jeden z Górnoślązaków wracających na Kontynent w polskim mundurze zastanawiał się nad zmiennością fortuny, jak to jest, że jednego dnia rzucają w ciebie kamieniami, a drugiego wiwatują na twój widok i obrzucają kwiatami…

Z kolekcji prywatnej Gillesa Lapersa

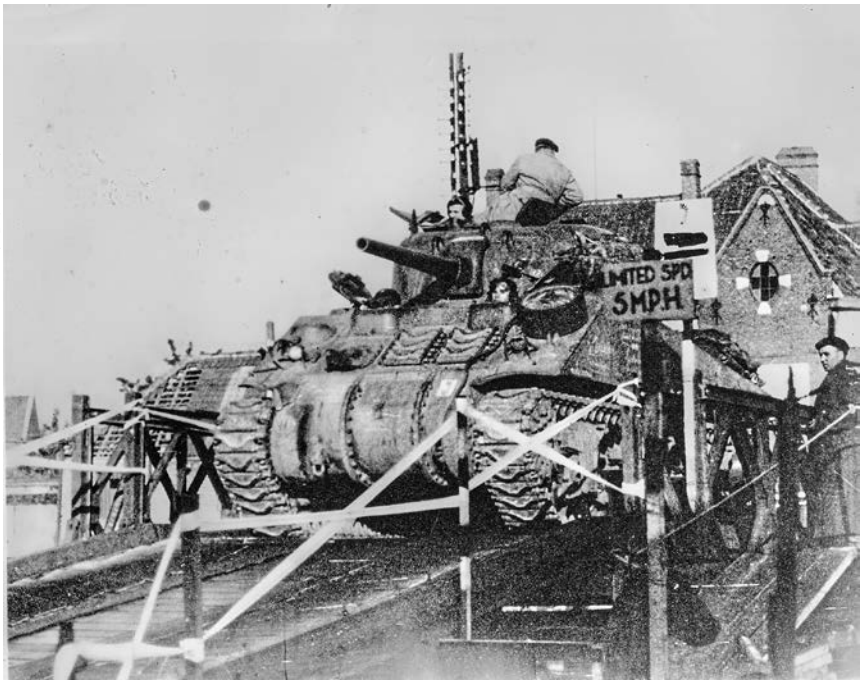

Fotografia mostu „Wilno", zbudowanego przez polskich saperów na kanale Schipdonk w Nevelle. Po tym moście czołgi 1 Dywizji Pancernej wjechały tryumfalnie do Gandawy, 10 września 1944 r.

Krwawa droga do Holandii

Pierwsze polskie oddziały znalazły się w Holandii już 16 września 1944 roku, wkraczając do Koewacht. Jednak główne walki na bronionym przez Niemców pograniczu trwały przez szereg dni na przełomie września i października 1944 roku. Żołnierze 1 dywizji często nie byli w stanie zorientować się, czy są już w Holandii, czy to jeszcze obszar Belgii. Granicę odzwierciedlającą stare feudalne podziały przekraczano – jak stwierdził to jeden z oficerów 10 Pułku Strzelców Konnych – „…chyba ze sto razy". Szczególnie krwawe okazały się starcia w ostatnich dniach września na drodze do holenderskiego Tilburga. Ulewne deszcze utrudniały działania w szczególnie ciężkim terenie, który pozostawiał piechotę bez wsparcia pancernego. Niemcy twardo się trzymali. Pod Beerse 29 września 1944 roku, w czasie niemieckiego ostrzału karabinowego i moździerzowego, nieopodal mostu nr 6 poległo wielu żołnierzy batalionu podhalańskiego. Wśród nich znalazło się trzech Górnoślązaków: st. strz. Wiktor Kubica z Zebrzydowic pod Rybnikiem, st. strz. Alfred Duda z Chorzowa i strz. Hubert Franiszek z Pszowa. W czasie walk o miejscowość Merksplas szczególnie krwawy przebieg miały starcia o glinianki i cegielnię. W walkach pod Merksplas poległ 29 września od kul ciężkiego karabinu maszynowego st. ułan Józef Kołek z Syryni z 24 Pułku Ułanów. W kolejnych dniach polegli st. strz Norbert Kuchta z Przyszowic i st. strz. Alojzy Szczepanik z Tychów, obaj z 9. Batalionu Strzelców Flandryjskich. W tym samym czasie w trakcie walk o Zondereigen zginął pochodzący z Dolnego Żukowa pod Cieszynem st. strz. Paweł Kałuża z batalionu podhalańskiego, a w trakcie walk na samej granicy pomiędzy Baarle-Nassau i Baarle-Hertog chorzowianie st. strz. Franciszek Błąkała i st. dragon Jerzy Nancka. Wszyscy wymienieni spoczywają na cmentarzu wojennym w belgijskim Loomel.

Z kolekcji prywatnej Gillesa Lapersa

Wraz z Polakami na terenie Flandrii pojawił się dostatek żywności – chleb, mleko i inne produkty. To dominujące wspomnienie Flamandów związane z przybyciem polskiej jednostki pancernej. Na fotografii flamandzcy chłopcy z Merksplas jedzący posiłek z wojskowej menażki, wrzesień/październik 1944 r.

Wspomnienie o Maczkowcach – weteranach

Cały szlak belgijski 1 Dywizji Pancernej przebył w ramach 8. Batalionu Strzelców Brabanckich urodzony we Wrocławiu Walter Raiwa, po wojnie mieszkaniec Rudy Śląskiej (zm. w 2010 r.). Uczestniczył w walkach o Ypres, oczyszczał z nieprzyjaciela okolice Gandawy i odniósł rany w walkach o Stekene 19 września 1944 roku. Został ranny, jak wspominał, w tym samym miejscu, w którym służył jako niemiecki żołnierz. Za służbę – dalsze walki w Holandii i Niemczech – otrzymał szereg odznaczeń wojennych. Do elity pancernej 1 dywizji tzw. „Czarnych Kurtek", czyli przedwojennych pancerniaków Maczka, możemy zaliczyć zabrzanina mjr. Stanisława Wartaka (ur. w 1909 r. w Gołonogu, zm. w Zabrzu w 1982 r.), który przebył w czasie II wojny światowej cały szlak bojowy u boku gen. Maczka, łącznie z kampanią francuską 1940 roku i bitwą pod Falaise w sierpniu 1944 roku. Jako oficer w 2 Pułku Pancernym uczestniczył w Belgii w walkach o Ypres, krwawym boju pancernym z 8 września 1944 roku pod Ruiselede (nazwanym przez Maczka „Małym Chambois") oraz walkach o Sint-Nikklas. Przebył Holandię i Niemcy, aby wkroczyć po kapitulacji 5 maja 1945 roku do niemieckiego portu Kriegsmarine w Wilhelmshaven jako dowódca straży przedniej polskiego zgrupowania pancernego. U jego boku spotykamy żołnierza tego samego pułku pancernego ppor. Ludwika Fyrlę z Mizerowa pod Pszczyną (zm. 2009 r.). Wśród żołnierzy Maczka było ponad trzydziestu pszczyniaków!

„Wrócimy tam, gdzie nasz dom…", śpiewali pancerniacy

Belgię wspominano wśród polskich żołnierzy z lubością i tęsknotą, zwłaszcza w trakcie walk na pograniczu holendersko-niemieckim. Tęskno było zwłaszcza tym żołnierzom, którzy z jednej strony pozbawieni byli wieści z rodzinnych domów, a z drugiej nie mieli okazji do nawiązania kontaktów na Wyspach Brytyjskich. Belgia i Holandia była dla nich jedynym towarzyskim punktem odniesienia. Po wojnie niektórzy Górnoślązacy zdecydowali się na to, aby osiąść w Belgii lub Holandii i ożenić się z Flamandkami. Tak uczynił m.in. Wiktor Kowalski pochodzący z Brzezin (zm. 1986 r. w Bredzie), czy Ernest Kurek z Siemianowic (zm. w 2013 r. w Sint-Niklas). Jednak większa część pochodzących z Górnego Śląska żołnierzy zdecydowała się, po rozwiązaniu PSZ w 1947 roku na po-

Z kolekcji prywatnej Gillesa Lapersa

Ulubieńcy belgijskich kobiet – motocykliści 1 Dywizji Pancernej. Na fotografii kierujący ruchem motocyklista na skrzyżowaniu nieopodal fortu Breendonk na drodze pomiędzy Dendermonde a Mechelen, wrzesień 1944 r.

Z kolekcji prywatnej Gillesa Lapersa

Żołnierze 1 Dywizji Pancernej na pograniczu belgijsko-holenderskim, wrzesień/październik 1944 r.

wrót do rządzonej przez komunistów Polski. Decyzja o powrocie do ludowej Polski wywoływała kontrowersje wśród żołnierzy. Kresowiacy po jałtańskiej zmianie granic nie mieli do czego wracać. Górnoślązacy, zwłaszcza ci, którzy nie mieli okazji do poznania wschodniego frontu, czy sowieckiej rzeczywistości decydowali się na powrót. Ale faktycznie decydowała tęsknota i wieści z rodzinnego domu. Trudno ocenić indywidualne decyzje o powrocie lub pozostaniu na emigracji.

Na powracających do kraju nie czekały wiwatujące tłumy, zaszczyty i odznaczenia. Dla komunistów Maczkowcy byli elementem wrogim ideologicznie, niebezpiecznym, który miał podlegać stopniowej społecznej eliminacji. Trudno znaleźć Maczkowca, który nie byłby szykanowany w PRL, którego bezpieka nie objęła specjalnym nadzorem, czy któremu nie próbowano przypisać działalności szpiegowskiej na rzecz Zachodu. Działania te przybrały na sile w początkach lat 50. XX wieku. Operacyjne rozpracowanie mjr. Stanisława Wartaka bezpieka zakończyła dopiero w 1956 roku po poznańskich wystąpieniach robotniczych.

Z kolekcji prywatnej Gillesa Lapersa

Transparent z napisem „Niech żyje Polska" z uroczystości wyzwolenia w Beveren-Waes, wrzesień 1945 r.

Z kolekcji prywatnej Gillesa Lapersa

Belgijski minister wojny Léon Mundeleer (10 sierpnia 1945 r.) z wizytą w 9. Batalionie Strzelców Flamandzkich – dekoruje proporzec batalionu sznurem Fourragere.

Mortui viventes obligant

W 2018 roku powstała – z inicjatywy Przedstawicielstwa Rządu Flandrii w Polsce, Instytutu Pamięci Narodowej i Muzeum II Wojny Światowej – wystawa poświęcona udziałowi 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka w wyzwoleniu miast flandryjskich w 1944 roku pt. „Pancerne Skrzydła"/„Gepantserde Vleugels". Wystawę przygotowano z okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości oraz przypadających na 2019 rok rocznic – setnej, nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Rzeczpospolitą a Królestwem Belgii oraz siedemdziesiątej piątej –wyzwolenia Belgii. Na wystawie zaprojektowanej przez grafików z „7Muz" zaprezentowano fotografie i eksponaty ze zbiorów belgijskich archiwów i muzeów. Na szczególną uwagę zasługują jednak belgijskie kolekcje prywatne, m.in. ze zbiorów Gillesa Lapersa. Kuratorem wystawy jest prezes Stowarzyszenia 1 Dywizji Pancernej w Belgii Dirk Verbeke. W tym roku wystawa prezentowana jest we flamandzkich miastach wyzwolonych przed 75-laty przez polskich żołnierzy.

Jedno zdanie dotyczące historii wiąże w sobie losy dziesiątek, setek. a niekiedy i tysięcy ludzi. Kiedy wszyscy w Wilhelmshaven strzelali na wiwat – wspominał ppor. Ludwik Fyrla z 2. Pułku Pancernego – wysypał cały zasobnik z amunicją z uczuciem ulgi. Obmył w Morzu Północnym ręce z wojennego brudu, wspominając kolegów poległych w walkach. Henry de Montherlant, pisarz, weteran I wojny światowej, bardzo poważnie traktował obowiązki żywych wobec zmarłych, stwierdzając, że nie polegają one na powierzchownym dbaniu o mogiły. Wyrastają z głęboko pojmowanego braterstwa – troski o tych, którzy nie mogą sami o siebie zatroszczyć się. „Istnieje rodzaj pobożności – pisał Montherlant – polegający na najwyższym szacunku wobec zmarłego". Mortui viventes obligant. ■

fot. archiwum red.

Joanna Jurgała-Jureczko

Znów tańczę z Kossakami

Z JOANNĄ JURGAŁĄ-JURECZKĄ rozmawia Lucyna Sadzikowska

Funkcja kierownika Muzeum Zofii Kossak-Szatkowskiej w Górkach Wielkich, napisanie pracy doktorskiej zatytułowanej *Oswajanie „nieznanego kraju". Śląsk w życiu i twórczości Zofii Kossak,* prowadzenie badań i współpraca z autorami filmów dokumentalnych na temat Zofii Kossak – to na pewno podwaliny Pani rzetelnego warsztatu pisarskiego. Chciałabym zapytać jednak, co Panią autentycznie fascynuje w Zofii Kossak?

Kossakowie są rodziną niezwykłą. Przypadek spowodował, że dwadzieścia pięć lat temu zainteresowałam się nimi, weszłam w krąg Zofii Kossak. I choć ona w jakiś sposób „poprowadziła" mnie dalej, pokazując całą wielobarwną familię, to jednak od niej zaczęłam i wciąż jestem jej wierna. Nie tylko z sentymentu czy swego rodzaju obowiązku, ale dlatego, że jej biografia jest gotowym scenariuszem filmowym. Takiej liczby życiowych zakrętów, zwrotów akcji – dramatycznych i pięknych, chyba nie wymyśliłby żaden autor scenariusza, bo byłby podejrzewany o fantazjowanie. Poza tym postać ta wciąż mnie czymś zaskakuje. Nie jest pomnikowa, a jednak monumentalna w swoich życiowych dokonaniach. Filigranowa i drobna – a jednak bardzo silna i dzielna. Pełna kossakowskiej namiętności, malująca piórem z wielkim rozmachem, a jednak skromna i wierna zasadom. Zwyczajna i kobieca, czuła. A jednocześnie mówiono, że jej proza jest bardzo „męska" i nazywano ją Sienkiewiczem w spódnicy. Im dłużej się jej przyglądam, tym bardziej ją podziwiam, także i za to, że wierna podstawowym zasadom, potrafiła weryfikować własne poglądy, przyznawać się do błędów.

Czego nauczyła się Pani, „obcując" z autorką *Z dziejów Śląska*?

Przede wszystkim tego, że trzeba szukać prawdy o człowieku, nie wolno budować pomników, malować laurek ani trzymać się stereotypowych wyobrażeń. Chyba najpierw próbowałam ustawić ją na pomniku, z zapałem bronić przed krzywdzącymi i skrajnymi opiniami, żarliwie przeczyć, kiedy na przykład mówi się o niej – „antysemitka". Robiłam to w dobrej wierze, ale teraz już wiem, że prawda broni się sama. I jeszcze jedno – od czasu, kiedy spojrzałam na Zofię Kossak inaczej – szukając w niej sprzeczności, kobiecości, wielowymiarowości – stała mi się bardzo bliska.

Gdybym poprosiła Panią o napisanie krótkiej wiadomości tekstowej, swoistego SMS-a, do Zofii Kossak, to jak ona by brzmiała?

Podziękowałabym jej za to, że mi zaufała i tyle o sobie opowiedziała, podsuwając wciąż nowe dokumenty, tropy, światła, ludzi, którzy pomagali mi malować jej portret. I zapytałabym o miłość. O to, kogo i jaką miłością kochała… Myślę, że – o ile jej kuzynki: Magdalena Samozwaniec i Maria Pawlikowska-Jasnorzewska w tej materii pozostawiły niewiele tajemnic – o tyle Zofia o wielu rzeczach powiedziała nie wprost albo milczała…

Co stanowi największą trudność w pisaniu o Zofii Kossak i rodzie Kossaków?

Żmudne i niełatwe są prace w archiwach, choć zdarzają się momenty piękne, zaskakujące, wzruszające. Ułatwieniem, ale i, paradoksalnie, trudnością jest też fakt, że nie ma odpowiedniego dystansu czasowego. Piszę o ludziach, których bliska rodzina jest mi także w jakiś sposób bliska. Nie wszystko więc chcę i mogę powiedzieć. To jest, powtarzam, zarówno trudność, jak i wielki dar.

Pisanie o Zofii Kossak traktuje Pani jako wyzwanie, misję, obsesję?

Przygodę, fascynację, ale też i rodzaj powinności, spłacania długu…

Co, jako badaczka biografii i twórczości Zofii Kossak, uważa Pani za największą dotychczasową bzdurę, plotkę i kłamstwo na temat autorki *Pożogi*?

Zdanie, które „pokutuje" i w Polsce, i na Zachodzie, że Zofia Kossak – antysemitka ratowała Żydów po to, żeby ochrzcić żydowskie dzieci.

Kiedy postanowiła Pani zająć się literaturą popularną i bohaterami swoich książek uczynić Kossaków?

Zawsze starałam się popularyzować tę wiedzę, którą zdobyłam, pracując naukowo. To była jakaś naturalna potrzeba wynikająca między innymi z faktu, że mówiłam do różnych grup, które zwiedzały muzeum Zofii Kossak. Poza tym byłam też dziennikarką, więc wypowiadałam się językiem innym niż naukowy. Ostatecznie różne okoliczności spowodowały, że dzisiaj jestem pisarką.

Ostatnia Pani książka – *Kossakowie. Biały mazur* – to już bestseller. Trzeba się spieszyć z zakupem, bo nakład maleje z dnia na dzień. Pokazuje Pani w książce tajemnice, zbrodnie, namiętności i zdrady w rodzinie. Jak długo zbierała Pani materiał do tej powieści?

Czy książka jest bestsellerem – tego nie wiem. Nawet nie wiem, jakie są kryteria pozwalające książkę nazwać takim dumnym określeniem. Więc przyjmijmy, że to jednak określenie na wyrost. Na pewno jednak sygnalizowano mi, że jej zabrakło w magazynach, ale jest kolejny dodruk, więc będzie można ją kupić. A wracając do pytania – „samo pisanie to głupstwo" – jak mówiła Zofia Kossak. I w tym wypadku można jej słowa powtórzyć. Najważniejsze jest zbieranie i porządkowanie materiału. A ponieważ część pierwsza książki to zbeletryzowana opowieść o Zofii, więc można nawet powiedzieć, że zbierałam materiały ponad dwadzieścia lat. Dwa lata natomiast trwało przygotowanie dokumentacji do części drugiej i trzeciej. A samo pisanie? Cóż – powtórzmy za autorką *Krzyżowców* – to głupstwo, choć, oczywiście, wiązało się z wielkim wysiłkiem, skupieniem i emocjami, ale było jak zbieranie z pól, jak owocobranie…

Czy napisanie książki: *Kossakowie. Biały mazur* było przygodą, wyzwaniem czy ciężką pracą?

Wszystkim. A także próbą innego spojrzenia na tę rodzinę i częściowego odejścia od tzw. literatury non-fiction na rzecz sfabularyzowanej opowieści. Współpracowałam podczas pisania Białego mazura z redaktorem prowadzącym i jednocześnie świetnym pisarzem – Janem Grzegorczykiem. Poprzeczka była ustawiona wysoko. Zdaję sobie sprawę z tego, że muszę się jeszcze wiele nauczyć. Próbuję…

Wiem, że ciągle w archiwach odnajduje Pani prawdziwe skarby związane z Kossakami. Co wtedy Pani czuje?

Wzruszenie, zaskoczenie, radość. I wdzięczność, bo mam poczucie, jakby ktoś z drugiej strony rzeki życia podsuwał mi te perełki, naprowadzał na trop, wynagradzał moją wielogodzinną i nieraz trudną pracę.

Co najbardziej zaskoczyło Panią w historii rodu Kossaków?

Historia Kossaków krakowskich i to, co odnalazłam niedawno w archiwach. Coś, co pozwoliło mi sformułować tezę o „nawiedzonym" domu. O wszystkim opowiedziałam w *Białym mazurze*, wprowadzając galerię niezwykłych postaci, a wśród nich znalazła się na przykład tajemnicza Myrtha, która wróżyła Piłsudskiemu i Kossakom, a także wątki związane z teozofią, wolnomularstwem, wywoływaniem duchów. Wszystko, co odkryłam, na początku było dla mnie prawie czarną magią. Określenie, choć metaforyczne, zaczęło zyskiwać coraz bardziej niepokojąco dosłowne znaczenie.

Im głębiej zanurzałam się w las, tym bardziej gęstniał, tym bardziej był mroczny, dziwny, niepokojący…

W opowieści biograficznej o Zofii Kossak i w książce zatytułowanej *Kobiety Kossaków* przedstawia Pani pełną galerię kobiet z kilku pokoleń rodu Kossaków. A co z mężczyznami? Czy nadejdzie taki dzień, że namaluje ich Pani słowami?

Mężczyźni w tym rodzie mają swoje miejsce tak ważne, że nie trzeba ich wydobywać z cienia. Juliusz, Wojciech i Jerzy – malarze są raczej rozpoznawalni. Inaczej rzecz się miała na przykład z teściową Juliusza, z jego żoną, z żonami Wojciecha i Jerzego. Bardzo interesującą kobietą była też Zofia z Kossaków Romańska, siostra Wojciecha, której filmowa, melodramatyczna historia bardzo mnie poruszyła i zainspirowała. A jeśli czytelnikom brakuje portretów mężczyzn w moich książkach, zapewniam, że w najnowszej wejdą na scenę.

Pytałam Panią o Pani twórczość, ale może zdradzi nam Pani, którą z powieści Zofii Kossak ceni Pani najbardziej.

Krzyżowcy i cała jej tak zwana epopeja krucjat zasługuje na najwyższe uznanie. *Bez oręża* było bestsellerem w Ameryce, w Hollywood przymierzano się do zekranizowania tej książki. Mówiło się o realnych szansach na Nagrodę Nobla. Nie bez powodu. To znakomita proza, z rozmachem malowana historia starcia się dwóch światów – muzułmańskiego i chrześcijańskiego. Jakże to wszystko aktualne. I jak świetnie napisane…

Nie mogę nie zapytać o najbliższe Pani plany literackie i wydawnicze? Czy pracuje już Pani nad nową książką?

Tak. Roboczy tytuł – Kossakowie. Tango. Po *Białym mazurze* znów tańczę z Kossakami. Teraz przyszła pora na „sprawy sercowe", historie romansowe, romantyczne i melodramatyczne. „Do tanga trzeba dwojga", ale bywały i trójkąty. Nie będzie to, oczywiście, plotkarska opowieść. Z miłości bowiem wyniknęły rzeczy bardzo ważne i poważne. ■

fot. archiwum red.

Anna Fenby Taylor

Babcia

Z ANNĄ FENBY TAYLOR rozmawia Lucyna Sadzikowska

Jaką osobą była Zofia Kossak?

Na pewno była to nadzwyczajna, wyjątkowa osoba, która swoim byciem, tym, jak się obchodziła z ludźmi, powodowała, że osoby znajdujące się w jej towarzystwie też się czuły nadzwyczajnie. Często to analizuję i myślę, że nigdy chyba nie spotkałam podobnej osoby. Porównywalnie czułam się jeszcze jedynie przy prof. Władysławie Bartoszewskim. Babcia miała w sobie coś niezwykłego, harmonię wewnętrzną i zewnętrzną. Jak coś powiedziała, to wszystko miało sens, nie gadała, żeby gadać. Nigdy nie było dookoła babci stresu, mimo że na babci spoczywała ogromnie duża odpowiedzialność, żeby ośmioro wnuków z ich rodzicami nakarmić. Nie mówiąc o nieustannych gościach, którzy odwiedzali babci dom. Charakteryzowała ją nieustanna pogoda ducha. Interesująco opowiadała, miała niezwykły dar opowiadania: czy to historyjek, bajek dla nas – dzieci, czy udzielając odpowiedzi osobie dorosłej. Wiem, że często bywałam w pokoju, żeby posłuchać rozmowy dorosłych. Te dyskusje były bardzo ciekawe. Nawet kiedy padało krótkie pytanie, babcia pięknie odpowiadała. Czasami zastanawiałam się, dlaczego właśnie to mówi. Po prostu człowiek dobrze się czuł w jej obecności i towarzystwie.

A jaką była babcią?

Bardzo kochającą. Było widać, jaką radością my – wnuki – dla niej jesteśmy. I to było coś pięknego. Przez całe 3 lub 4 tygodnie, gdy zjeżdżaliśmy do Górek Wielkich na lato, widoczna była ta jej wielka radość do ostatniego dnia naszego pobytu. Widzieliśmy wyraźny żal i smutek babci spowodowany naszym wyjazdem. To było bardzo odczuwalne. Radość babci była niesamowita, bo dzieci są męczące: chcą jeść, chcą pić, nudzą się. Zwłaszcza że tutaj – w Górkach Wielkich – bywały okropnie deszczowe i zimne lata. Babcia starała się, by nas wszystkich zabawić.

Jakie to były zabawy?

Wycinała znaczki pocztowe z korespondencji, która w ogromnej liczbie do babci przychodziła. Często miała już przygotowaną całą stertę znaczków z kopert. Próbowała zainteresować nas monetami. Graliśmy w różne karty. Oczywiście były też szachy, warcaby. Zresztą w to często grywaliśmy z dziadziem Zygmuntem. Ciocia Marychna, bratowa Zofii Kossak, też zawsze przyjeżdżała tutaj na wakacje. Babcia dużo opowiadała i tym sposobem nas też zabawiała. Zawsze odczuwalny był ten spokój, życie bez stresu. Zawsze też miała dla nas dużo czasu, mimo że tego wolnego czasu nie miała. Bywało często, że kończyła jedną rzecz, miała zabrać się za drugą i furtka zaskrzypiała. I kolejny gość pojawiał się, a tych gości była masa. Pamiętam, że my – dzieci – nie za bardzo lubiliśmy gości, którzy przychodzili w odwiedziny. Dla nas to oznaczało, że babcia zaraz musi zająć się przybyłymi, a nie nami.

Czy miała swoje sposoby, gdy coś zbroiliście?

Miałam wrażenie, że próbowała zwrócić nasze zainteresowania w innym kierunku, żebyśmy się czymś innym zajęli. Odwracała naszą uwagę od rzeczy nieodpowiednich. Nie pamiętam, by kiedykolwiek powiedziała: „nie, nie róbcie tego". Pokazywała nam sposoby, by działać inaczej, lepiej, mądrzej. Uczyła nas. Na pewno nauczyła nas, jak patrzeć na przyrodę, na żywy świat i jak szanować ludzi, zwierzęta, rośliny. Była świetną nauczycielką, która pokazała nam, że mrówki nie są tylko mrówkami. Wskazywała nam różnorodność i podkreślała, że różnorodność jest piękna. Dała nam zrozumieć, że każdy z jej ośmiu wnuków jest inny i to jest normalne. Trzeba być sobą. To na pewno były lekcje, które zostały z nami do końca życia.

Czy babcia przygotowywała swoim wnukom ulubione smakołyki?

Robiła placki. Na pewno bardzo dobrze odnajdywała się w kuchni. Kolacja składała się często z podsmażanych ziemniaków, które zostały z obiadu, i zsiadłego mleka. Wieczorem mleko, które ostało się po kolacji, babcia gotowała i wyrabiała z niego – wkładając pomiędzy dwie cegły – twaróg. Rano przygotowywała śniadanie z tego twarogu i przepysznych pomidorów. Babcia była tą osobą, która zawsze kroiła chleb, rano na śniadanie i też na kolację.

Robiła znak krzyża przed rozkrojeniem chleba?

Tego nie pamiętam, ale na pewno miała wielki szacunek do chleba. Pamiętam, że lubiłam jeździć rano po świeży chleb. Dziadzio miał warszawę i przypominam sobie, że wskakiwałam w dresie, bo spaliśmy pod namiotem, do auta, by jechać po chleb. Nie wiem, dlaczego tak bardzo lubiłam to robić. Podejrzewam, że wtedy czułam, że w tym samochodzie mam babcię tylko dla siebie. Chyba o to chodziło. Wiem, że gdy tylko pojawiła się okazja, by na 10 czy 20 minut wyskoczyć gdzieś z babcią, to korzystałam z takiej możliwości. Czerpałam radość z bycia z nią. Naprawdę człowiek czuł się lepiej w jej obecności. Miała niesamowity dar i myślę, że dlatego tyle ludzi przychodziło do niej.

Dziękuję za rozmowę. ■

fot. archiwum red.

Janina Żagan

„Mądra, dobra pani…”

Z JANINĄ ŻAGAN rozmawia Lucyna Sadzikowska

Otwierając w Centrum Kultury i Sztuki „Dwór Kossaków” w Górkach Wielkich konferencję naukową z okazji 130. rocznicy urodzin Zofii Kossak, powiedziała Pani, że Zofia Kossak jest Pani bardzo bliska. Znała ją Pani osobiście w zasadzie od urodzenia, ponieważ mieszkała Pani niedaleko Górek Wielkich. Kiedy dzisiaj słyszy Pani: Zofia Kossak, to co Pani myśli? Jakie są pierwsze nasuwające się skojarzenia?

Wielka, mądra, dobra pani, kobieta, którą miałam szansę i zaszczyt poznać. Postać, która w znaczący sposób wpłynęła na moje życie. Podczas moich spotkań z panią Zofią, wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką, przedstawiano mi ją jako wielką pisarkę, znaczącą, mądrą i dobrą osobę. Pani Zofia, kiedy spotykała się z kimkolwiek – czy to była mała dziewczynka, rolnik pracujący w polu, czy ktoś na jej poziomie – zawsze była bardzo przyjaźnie nastawiona do ludzi, z każdym rozmawiała i była mocno wspierająca. To się czuło. Pamiętam, że na podstawie tych doświadczeń i obserwacji nabyłam takiego przekonania, że świat jest otwarty. Wspominała, że to nie jest tak, że na wsi żyją tylko ludzie przywiązani do ziemi, do roli, każdy z nas ma drogę otwartą, może realizować swe marzenia nawet w małej miejscowości na prowincji.

Jaka jest spuścizna po Zofii Kossak?

Myślę, że jest ona nadal nieodkryta. Mamy do czynienia z masą informacji niewłaściwych, które w kręgach ludzi badających życie i twórczość Zofii Kossak zupełnie nie istnieją, nie znajdują potwierdzenia, ale w codziennym życiu nadal funkcjonują. Do dziś spotykam się z dziwnymi uwagami, że Zofia Kossak była „a takim Sienkiewiczem w spódnicy”. Natomiast bardzo smutny jest fakt, że wiele osób nie docenia twórczości Zofii Kossak. Twierdzą, że język powieści jest zbyt archaiczny, a tematy są niespójne z obecną rzeczywistością.

Jaka jest Pani ulubiona książka autorstwa Zofii Kossak?

Bardzo lubię *Krzyżowców*, ale to *Kłopoty Kacperka góreckiego skrzata* były moją pierwszą, ulubioną lekturą. Uważam, że w tej książeczce dla dzieci Zofia Kossak pomieściła wiele mądrych treści i wartości, jest też głębokie przesłanie, wręcz o filozoficznym charakterze. Pierwszą książką, która wywarła na mnie ogromne wrażenie, było *Przymierze*. Dostawaliśmy zawsze książki pod choinkę i każdy czytał w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Była to dla mnie lektura wówczas zbyt trudna i zbyt poważna. Po latach, kiedy wróciłam do niej jako dorosła kobieta, zupełnie inaczej książkę odebrałam. Zofia Kossak wykorzystała motywy biblijne i o nich pisała w czasach mocno ateistycznych. Nie zgadnie Pani, co mnie wówczas w tej książce zafascynowało. To była pierwsza moja lektura z wątkami erotycznymi. Było to moje pierwsze przeżycie literackie związane z tym tematem!

Ile miała Pani wtedy lat?

Dziewięć, może dziesięć. Zapamiętałam ten wątek bardzo dokładnie i kiedy, jako osoba dorosła książkę przeczytałam jeszcze raz, by zweryfikować swoje wspomnienie treści powieści. Kto by pomyślał, że w *Przymierzu* taka scena zainteresuje młodego czytelnika. To był wówczas temat tabu i każdy – powiedzmy – pikantniejszy fragment wzbudzał zainteresowanie.

Co będzie dalej z Zofią Kossak i jej dorobkiem pisarskim, jak Pani myśli?

Jako mieszkanka tego regionu powiem, że jeśli powiat zajmie się schedą po Zofii Kossak, przejmie majątek i powoła odpowiednią instytucję kultury bazującą na tym, co jest, i rozwinie muzeum, to się nie martwię. Martwi mnie inna kwestia. Otóż nadal nie ma w kanonie lektur książek Zofii Kossak w odpowiedniej proporcji. Martwi mnie fakt, że nauczyciele nie są przekonani do jej twórczości. Może znajdzie się ktoś taki jak Joanna Jurgała-Jureczka. Ktoś, kto od praktycznej strony, użytkowej i popularnej wydobędzie bogactwo pisarstwa Zofii Kossak. Bardzo dobrze, że powstają rzetelne studia i naukowe artykuły o twórczości autorki *Pożogi*. Brakuje mi jeszcze czegoś, co będzie popularne, modne, wpisujące się w trendy technologiczne współczesnego świata, wygodne i łatwe, w ogólnym dostępie. Inna sprawa, że należy edukować pokolenia, by nikt nie twierdził – jak to miało miejsce podczas obchodów 50. rocznicy śmierci Zofii Kossak – że była wspaniałą… poetką. Boję się ludzi, którzy stawiając Zofię Kossak na piedestale, opierają się tylko na *Dekalogu Polaka*. To mnie martwi. *Dekalog Polaka* był napisany w czasach, kiedy trzeba było pobudzić ludzi do działania, do walki z okupantem, a zawarte są tam hasła, które nie licują z poglądami pisarki, choć wówczas były dobre.

A co się stało z tymi dokumentami, o których Pani wspomniała?

Nie wiem. Najprawdopodobniej przedstawiciele Towarzystwa im. Zofii Kossak mogą coś wiedzieć na ten temat. Cała dokumentacja była u góreckiego proboszcza, księdza Szczepana Wróbla. Ksiądz był człowiekiem całkowicie oddanym sprawie, przez całe lata spotykaliśmy się jako członkowie stowarzyszenia właśnie u niego w mieszkaniu.

Pewnie w tych dokumentach kryje się kilka „perełek…

Pewnie tak i mam nadzieję, że ktoś się tym zainteresuje…

Dziękuję za rozmowę. ■

Janina Żagan jest wicestarostą powiatu cieszyńskiego, która deklaruje, że *zawsze o Zofii Kossak będzie ciepło myśleć i zamierza wspierać inicjatywy, które wiążą się z pisarką, w szczególności z utrwalaniem oraz popularyzowaniem twórczości literackiej autorki Nieznanego kraju.*

Dom „Maria” i willa Nikity Chruszczowa

MARTA FOX

Dom „Maria” (Panewnicka 374 b) ukryty jest wśród starych drzew. Trudno go dostrzec z Panewnickiej, bo zasłaniają go współcześnie budowane domki jednorodzinne, stojące w pierwszym rzędzie przy ulicy. Do „Marii” trzeba dojść dróżką pomiędzy nimi. Co ciekawe, kiedy pytałam przechodniów, nikt nic nie wiedział. Kiedy wreszcie zobaczyłam dach domu i górne kondygnacje, zamurowało mnie ze zdziwienia. Ze świecą bowiem szukać drugiej takiej budowli w naszym mieście.

To dawny zameczek myśliwski książąt pszczyńskich. W 1910 roku, jak wynika ze starej pocztówki, była tam gospoda i winiarnia „Waldfrieden”, zwana potocznie „Domem Marii”. W późniejszych latach dom ten służył jako pensjonat dla emerytowanych urzędników księcia pszczyńskiego.

Budynek wykonany jest na rzucie prostokąta, w części frontowej ma trzykondygnacyjne drewniane arkady i to one właśnie decydują o tym wyjątkowym uroku i nietypowym wyglądzie całości. Dom był wiele razy przebudowywany, ale zachowały się dekoracyjne gzymsy i ryzalit w tylnej części budynku. Za budynkiem płynie rzeka Kłodnica, kiedyś okazała. Był też równie okazały park, o czym świadczą pojedyncze stare drzewa.

Dzisiaj zarządcą budynku jest Komunalny Zakład Gospodarki Mieszkaniowej. W budynku są mieszkania lokatorskie. Do drewnianych arkad przymocowane są sznurki, na których wisi pranie. Arkady i dach upstrzone są też antenami satelitarnymi. Na zaniedbanym podwórku stoją samochody.

Mieszkańcy nie wdają się w pogawędki, próbowałam. Niby wiedzą, że to historyczny obiekt, że kiedyś coś tu było ciekawego, ale skoro nikt o niego nie dba, to znaczy, że nie jest aż taki ważny. Nie ma na nim nawet małej tabliczki o jego przeszłości. Aby dom podlegał ochronie prawnej, musiałby zostać wpisany do rejestru zabytków. Kto o tym miałby zdecydować? Mam dom „Marii” na liście tych piękności, które trzeba pokazać znajomym spoza Śląska, póki jeszcze jest co pokazać.

Dla odwiedzających mnie przyjaciół mam jeszcze jedną zapomnianą perełkę architektoniczną. To obiekt nazywany willą Nikity Chruszczowa, wybudowany z okazji planowanej wizyty polityka w lipcu 1959 roku. Plany tej nowoczesnej rezydencji przygotował architekt August Boroń. Chruszczow miał tutaj spędzić jedną noc. Zmieniono jednak plany po nieudanym zamachu bombowym, jakiego próbowano dokonać na niego i Władysława Gomułkę w Sosnowcu-Zagórzu. Chruszczow nocował gdzie indziej, może w willi przy Stelmacha, gdzie nocował też Jurij Gagarin i wielu gości ze świata.

Willa Chruszczowa stoi w ligockim lesie, w pobliżu akademików, pętli autobusowej, szkoły „Elementarz” i miejskiej biblioteki. Jest to budynek wzniesiony na planie koła, przeszklony, zwieńczony świetlikiem, podzielonym na dwanaście segmentów, z których każdy kiedyś odpowiadał znakowi Zodiaku. Budynek ciągle intryguje swoją formą, tajemniczością jego przeznaczenia i różowym kolorem. Obok stoi jeszcze żelbetowa altanka. Jej forma zainspirowana była koncepcjami meksykańskiego awangardowego architekta, Felixa Candeli Outeriño, twórcy cienkościennych łupinowych konstrukcji z żelbetu o powierzchni zakrzywionej w dwóch płaszczyznach. Do tych samych wzorców odnieśli się projektanci słynnych już kielichów w katowickim dworcu kolejowym.

W przeszłości willa przeznaczona została do użytku partyjnych notabli. Niektórzy pamiętają jeszcze eleganckie przyjęcia, jakie organizował tam Edward Gierek, w latach 60., I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach. Kiedy został I sekretarzem Komitetu Centralnego, willę przekazano Akademii Medycznej. Leczono tutaj dzieci chore na ołowicę, co też było owiane tajemnicą, a potem, aż do lat 90., funkcjonował tam szpital endokrynologiczny dla dzieci. I w tych właśnie latach bywałam w nim, by czytać dzieciom swoje książki. W 1995 roku willę zaczęto przebudowywać, dostosowując do nowych potrzeb klinicznych Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach. Przebudowy jednak nie ukończono.

Willa niszczeje, niewiele tam już można podziwiać, to opuszczony budynek, przysłonięty drzewami i krzewami. Na teren obiektu nie można wejść, ale co nieco da się jeszcze dojrzeć poprzez zastawione siatki i krzewy. Nadzieja w młodym pokoleniu, potrafiącym docenić architektoniczną wartość zapomnianych budowli. Karolina Stoces, architektka z Katowic w pracy dyplomowej „Z żalu zje żaluzje. Studium jednego obiektu” zbadała historię willi Chruszczowa i zaproponowała przywrócenie jej do życia. Czy rzeczywiście mogłaby tam być i herbaciarnia i SPA?

Co ciekawe, budynek w podobnym stylu, przeszklony, na planie koła, choć nie tak urodziwy, powstał niedawno na Muchowcu, w Dolinie Trzech Stawów, przy lotnisku, tuż za głównym parkingiem. Jest to jeden z trzech budynków kompleksu Active Park Muchowiec. Nie byłam w środku, nie wiem, czy w dachu jest świetlik i czy jest tam już taras z kawiarnią na górze. Może i palmy będą, jak w wilii Chruszczowa, wszak palma w Katowicach to znak luksusu i śródziemnomorskiego rozpasania.

Fragment przygotowywanej do druku książki *Katowice nie wierzą łzom*. ■

13 września Marta Fox otrzymała nagrodę prezydenta Katowic w dziedzinie kultury. Laureatka to poetka, powieściopisarka, eseistka, dziennikarka i felietonistka, autorka ponad 40 książek. Współpracuje z wieloma pismami i wydawnictwami i jest rozpoznawalna jako jedna z czołowych postaci kulturalnego i literackiego życia Katowic, gdzie mieszka i pracuje. Jest absolwentką Uniwersytetu Śląskiego. Nagrody w tegorocznej edycji otrzymali także: Alexander Liebreich, który do czerwca 2019 pełnił funkcję pierwszego dyrygenta i dyrektora artystycznego Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, Mona Tusz, artystka z dziedziny street-artu, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, która od 2007 roku tworzy murale, instalacje i obiekty artystyczne w przestrzeni miejskiej, oraz Adam Pomian i Adam Godziek, związani ze Śląskiem twórcy kultury, przedsiębiorcy, właściciele i organizatorzy festiwalu Tauron Nowa Muzyka, który od 2014 roku odbywa się w Katowickiej Strefie Kultury.

fot. Janusz Stobiński:

Uroczystość rozdania nagród prezydenta Katowic w dziedzinie kultury, jedną z laureatek tegorocznej edycji jest Marta Fox.

fot. Janusz Stobiński:

Laureaci nagrody prezydenta Katowic w dziedzinie kultury, oraz prezydent Marcin Krupa.

fot. Arkadiusz Ławrywianiec

fot. Arkadiusz Ławrywianiec

GALERIA ARTYSTYCZNA NA PLACU GRUNWALDZKIM W KATOWICACH

TADEUSZ SIERNY

Mija dokładnie piętnaście lat od dnia, w którym na Placu Grunwaldzkim w Katowicach po raz pierwszy odsłonięto odlane z brązu, ustawione na cokołach o wysokości dwóch metrów popiersia Zbigniewa Cybulskiego i Karola Stryi.

Skwer istniejący w tym miejscu od 1960 roku wyremontowano wraz z jego otoczeniem w roku 2003 (fontanna, pomnik *Rodzina* dłuta Jerzego Kwiatkowskiego, alejki spacerowe, i in.) i uporządkowano według planów znakomitych architektów, znanych z wielu realizacji innych ich projektów na terenie Śląska i całej Polski: Aliny i Andrzeja Grzybowskich.

Od strony zachodniej, plac sąsiaduje ze znajdującym się przy ulicy Sokolskiej Centrum Sztuki Filmowej w dawnym budynku kina Kosmos. Panoramę placu zamykają: widok na historyczny budynek biurowy, wzniesiony w 1950 w stylu konstruktywizmu zaprojektowany przez wybitnego polskiego architekta Janusza Ballenstedta, oraz po przeciwnej stronie Alei W. Korfantego — bryła popularnego *Spodka* zaprojektowanego przez przez architektów Macieja Gintowta i Macieja Krasińskiego (pierwsze prace budowlane rozpoczęły się w 1964, całość obiektu oddano do użytku 9 maja 1971).

W tak szacownym otoczeniu, od 2004 – co roku we wrześniu, dla uświetnienia rocznicy urodzin miasta kolejny cokół wzbogacany jest rzeźbą upamiętniającą ważną dla kultury Katowic i Śląska postać twórcy, artysty, organizatora życia artystycznego i kulturalnego. Należy podkreślić, że jest to wyjątkowa, nie spotykana gdzie indziej forma honorowania dorobku ludzi sztuki.

Zamontowane popiersia niestety padają czasem łupem wandali, taki los spotkał m.in. cygaro Wilhelma Szewczyka, popiersie Jerzego Dudy Gracza i Pawła Stellera. Jednak – co warto podkreślić — szybko, niezwłocznie odbudowano i naprawiono sprofanowane pomniki.

Uchwałą Rady Miasta Katowic z marca 2000 roku *w sprawie kierunków działań miasta Katowice w zakresie kultury i ochrony zabytków* zainicjowano cykl prac, których ostatecznym efektem było powstanie w tym miejscu Galerii Artystycznej. W sierpniu 2006 roku zarządzeniem ówczesnego Prezydenta Miasta Katowice Piotra Uszoka zostały precyzyjnie określone warunki funkcjonowania Galerii.

Ustalono w tym akcie m.in., że w Galerii upamiętnia się wyłącznie osoby nieżyjące, które odegrały ważną dla kultury Katowic i Śląska rolę, postacie twórców, artystów, organizatorów życia artystycznego i kulturalnego. Listę propozycji nominacji personalnych ustala się na podstawie wniosków zgłaszanych przez organizacje reprezentujące środowiska kulturalne oraz mieszkańców Katowic, nominowane postacie poddaje się pod głosowanie za pośrednictwem mediów publicznych, poczty e'mail. Ostateczną decyzję podejmuje Prezydent Miasta, samodzielnie wybierając nominata z grona trzech osób, które otrzymały najwięcej głosów od uczestników głosowania. Na kolumnie upamiętniającej wybraną postać umieszcza się poza nazwiskiem, informacje o zawodzie tej osoby oraz jej dokonaniach artystycznych i twórczych. Niezbędne do realizacji owego projektu środki finansowe każdego roku zaplanowane są w budżecie miasta Katowice.

Galeria stanowi swoisty pomnik wdzięczności dla tych, którzy przyczynili się do rozwoju kultury Katowicach. W 2004 inicjując jej funkcjonowanie ulokowano tam popiersia wspomnianych już wyżej aktora **Zbigniewa Cybulskiego** i znakomitego dyrygenta **Karola Stryi**, w 2005 – grafika **Pawła Stellera**, w 2006 publicysty **Stanisława Ligonia** i pisarza **Wilhelma Szewczyka**, w 2007 umieszczono tu popiersie z mosiądzu malarza **Jerzego Dudy Gracza**, w 2008 znakomitej aktorki **Aleksandry Śląskiej,** w 2009 **Stanisława Hadyny** twórcy Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk", w 2010 – aktora **Bogumiła Kobieli,** w 2011 uhonorowany został pisarz **Alfred Szklarski** twórca cyklu książek o Tomku Wilmowskim, w 2012 w Galerii odsłonięto popiersie **Adolfa Dygacza** folklorysty i naukowca, w 2013 uhonorowano wybitnego kompozytora **Henryka Mikołaja Góreckiego**, roku 2014 w galerii postawiono popiersia **Wojciecha Kilara** światowej sławy kompozytora i malarza **Andrzeja Urbanowicza,** w 2015 muzyka **Jana „Kyksa" Skrzeka**, a w 2016 – **Teofila Ociepki** malarza nieprofesjonalnego. W 2017 odsłonięto popiersie artysty i reżysera **Antoniego Halora**, w 2018 – poświęcono pamięci poety **Tadeusza Kijonki.** W ciągu 14 lat, do roku 2018 upamiętniono w ten sposób dorobek 18 wybitnych postaci katowickiego środowiska twórców (m.in.5 muzyków, 4 aktorów, 4 grafików i malarzy, 3 pisarzy i in.). W roku 2019 kolejnym wyróżnionym został **Bernard Krawczyk**, wybitny aktor scen teatralnych: Katowic, Sosnowca, Gliwic, znakomity aktor filmowy i telewizyjny. Prezydent Marcin Krupa odsłaniając obelisk wraz z Panią Justyną Rodak, córką Bernarda Krawczyka, podkreślał w swoim wystąpieniu, iż pamięć o wybitnych twórcach, ludziach kultury, artystach jest obowiązkiem miasta, upamiętnienie ich dzieł i dorobku – to swoista spłata długu jaki miasto zaciągnęło wobec tych znakomitych twórców.

Nie można przecenić znaczenia społecznego, funkcji dokumentacyjnej, historycznej, edukacyjnej jaką pełni Galeria. Należy z szacunkiem odnieść się nie tylko do idei jej stworzenia, ale przede wszystkim do konsekwentnej kontynuacji jej systematycznej rozbudowy i...ochrony. W działalności kulturalnej istotną rolę – w długiej perspektywie czasowej – odgrywają nie tylko pojedyncze ekspresje artystyczne czy ewenty, ale przede wszystkim długotrwała, wieloletnia, uporczywa promocja i ochrona godnego szacunku: systemu i hierarchii wartości kulturowych oraz artystycznych. Ten proces utrwala i demonstruje katowicka Galeria Artystyczna. ■

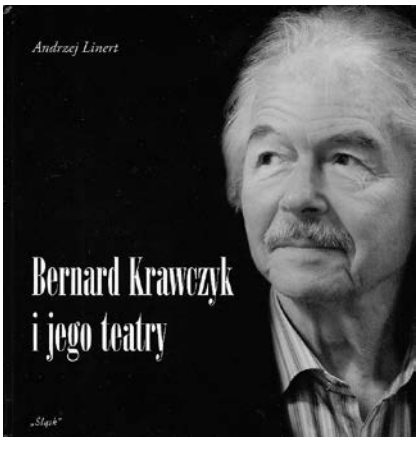

KATOWICKA GALERIA ARTYSTÓW

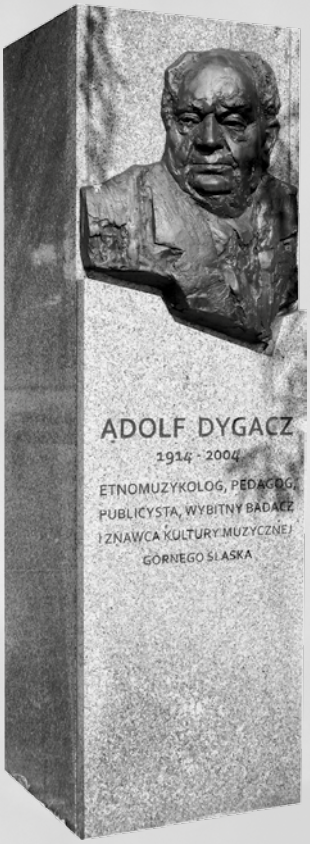

KATOWICKA GALERIA ARTYSTÓW

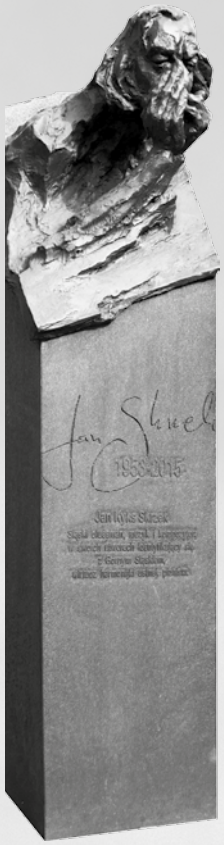

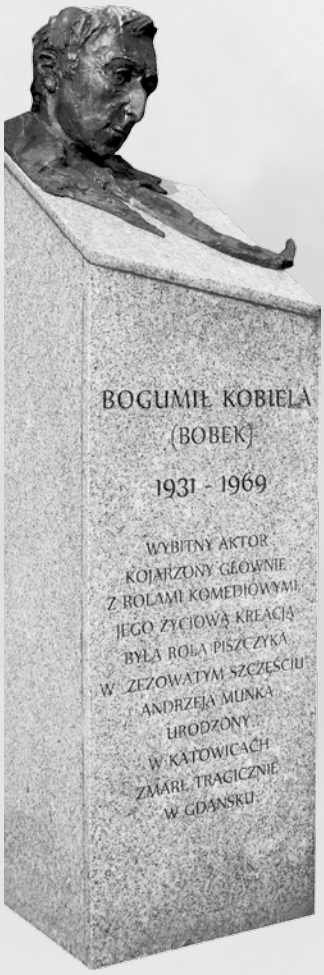

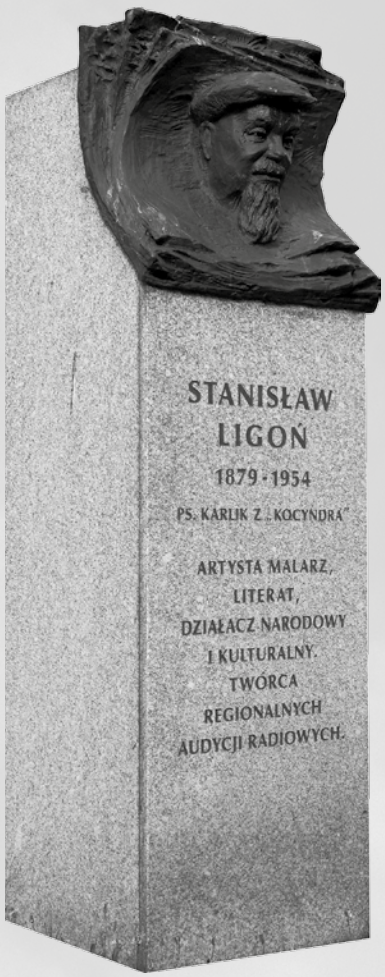

KATOWICKA GALERIA ARTYSTÓW

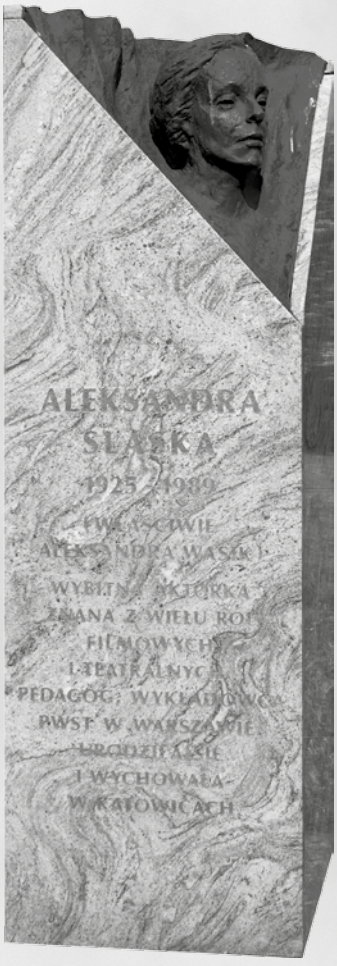

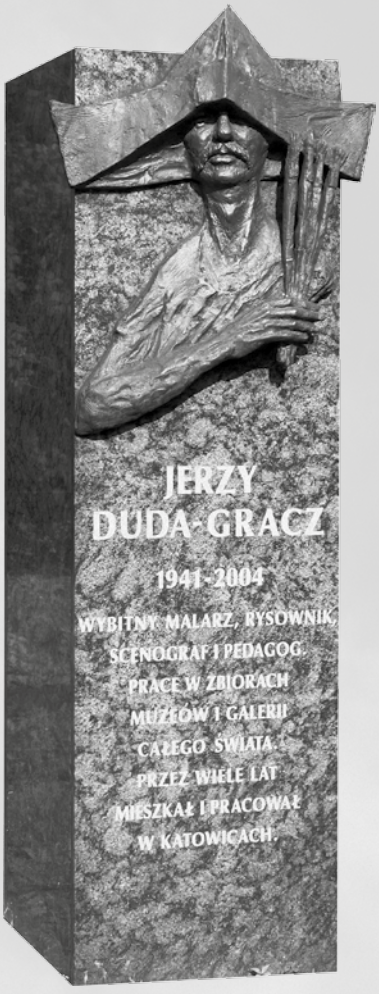

Między nutami

Prof. Andrzej Jasiński honorowym obywatelem Katowic

MAGDALENA DZIADEK

Pierwszy z filmów o profesorze Andrzeju Jasińskim, jaki zrealizowała Violetta Rotter-Kozera w 2006 roku, nosi tytuł *Jasiński i Zimerman.* Jest to tytuł symboliczny: zarówno karierę Profesora, jak i sławę muzyczną Katowic można bowiem podzielić na okres „przed" i „po" Zimermanie. Myślę oczywiście o pamiętnym roku 1975, w którym 18-letni wychowanek Andrzeja Jasińskiego bezapelacyjnie wygrał IX Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. F. Chopina w Warszawie, zgarniając jedyną pierwszą nagrodę i wszystkie nagrody specjalne, a ponadto od pierwszego etapu zapowiadając się na zwycięzcę. „Pierwszy raz wszakże, w całych półwiecznych dziejach Konkursu stało się tak, że kandydat do Grand Prix ujawnił się od samego początku, świetnym talentem wyprzedzając wszystkich konkurentów" – wspominał Jerzy Waldorff w książeczce *Wielka gra* (1985), poświęconej historii warszawskich konkursów. Sensacyjność wydarzenia podnosił fakt, że wygrał skromny student z równie skromnych Katowic. Trzeba bowiem wiedzieć, że w owych czasach polski świat pianistyczny miał swoją stolicę w Warszawie. W tamtejszej PWSM nauczali fortepianu dwaj rywalizujący ze sobą pedagodzy, od których wychodziła bezwzględna większość polskich uczestników konkursów chopinowskich: Jan Ekier i Regina Smendzianka. Oboje byli laureatami Konkursu, oboje specjalizowali się jako wykonawcy w Chopinie, oboje od lat prowadzili wykłady i seminaria poświęcone interpretacji muzyki naszego „czwartego wieszcza". Jasiński tymczasem najczęściej grywał klasyków, a jako pedagog liczył się do młodych – w momencie tryumfu Zimermana uczył w katowickiej PWSM zaledwie od dekady. Ową dysproporcję pozycji – i Jasińskiego, i prowincjonalnych wówczas – jak by nie było – Katowic, sprawnie wykorzystali krytycy muzyczni, którzy uczestniczyli w wojnie podjazdowej przeciwko uczelni warszawskiej: Jerzy Waldorff, czy Marian Wallek-Walewski. Od czasu błyskotliwego wystąpienia Zimermana często serwowali czytelnikom „zatrute strzały" w postaci uwag na temat dziwów artystycznych, które dzieją się w stolicy… węgla kamiennego.

Słusznie powiadał Józef Stompel w laudacji, którą wygłosił podczas uroczystości nadania Andrzejowi Jasińskiemu tytułu doktora *honoris causa* katowickiej uczelni (2006), iż „Krystian Zimerman nie był przypadkowym sukcesem młodego pedagoga; faktem jest, iż talent niezwykle uzdolnionego dziecka spotkał się z drugim talentem – natchnionego pedagoga. I to pięknie zaowocowało". Talent pedagogiczny Jasińskiego uznano dużo wcześniej, czego skutkiem było zatrudnienie w macierzystej uczelni go zaraz po ukończeniu studiów i odbyciu zagranicznego stypendium (1961, było ono nagrodą za zwycięstwo w Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Marii Canals w Barcelonie). Fortepian studiował Jasiński u znanej pianistki i kompozytorki Władysławy Markiewiczówny, i to ona namaściła go oficjalnie na „nauczyciela z Bożej Łaski". Mistrzyni i uczeń nie tylko pracowali ze sobą, lecz się blisko przyjaźnili; Markiewiczówna zadedykowała Jasińskiemu jedną ze swoich ostatnich kompozycji – *Kompendium w 17 utworach* z 1973 roku. Był to rok przełomowy w karierze pianisty – w Katowicach mianowano go kierownikiem Katedry Kompozycji, a w Stuttgarcie zaproszono do prowadzenia klasy fortepianu. Po konkursie chopinowskim z 1975 roku Jasiński zaczął być momentalnie rozchwytywany jako pedagog-chopinista. Mnożyły się prośby o prowadzenia seminariów i warsztatów na całym świecie oraz propozycje udziału w jury prestiżowych konkursów, takich jak Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Van Cliburna, Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. F. Busoniego w Bolzano, Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Królowej Belgijskiej, Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. P. Czajkowskiego w Moskwie, Konkurs im. Marguerite Long i Jacquesa Thibaud w Paryżu, Konkurs Artura Rubinsteina w Tel-Awiwie, i oczywiście konkurs chopinowski w Warszawie – Andrzej Jasiński sprawował funkcję przewodniczącego jury w latach 2000, 2005 i 2010. Źródła podają, że do chwili przejścia na emeryturę (2005) profesor wykształcił w katowickiej uczelni około połowy setki pianistów, w tym czternastu wybitnych, którzy ukończyli studia z wyróżnieniem. Uczniowie przybywali nie tylko ze Śląska, lecz i z innych stron kraju, powiększając sławę i uczelni, i muzycznych Katowic. Są wśród nich Krzysztof Jabłoński, Jerzy Sterczyński, Joanna Domańska, Zbigniew Raubo, Rafał Łuszczewski, Magdalena Lisak, Anna Górecka, Beata Bilińska, Hubert Salwarowski, Piotr Banasik – wszyscy są laureatami czołowych nagród w poważnych konkursach pianistycznych, większość koncertuje na skalę międzynarodową i wykłada w uczelniach.

W roku 2007 miał premierę drugi film Violetty Rotter-Kozery o Andrzeju Jasińskim, zatytułowany *Andrzej Jasiński. Nuty życia.* Poznajemy w nim człowieka światowego, który zawsze chętnie wraca do Katowic, kocha zielone ogrody i szare ulice miasta, czuje się tam dobrze, u siebie. Pozwolę sobie zacytować jeszcze jeden fragment laudacji Prof. Stompla z 2006 roku: „Profesor Jasiński jest ambasadorem wysokiej kultury Śląska w świecie. Całe swe dotychczasowe życie poświęcił temu celowi. W jednym z wywiadów, na pytanie dziennikarza: «Bez czego nie mógłby się Pan Profesor obejść?», Profesor odpowiada tak: «Bez tej naszej szarzyzny. Kiedy wracam z Paryża czy Madrytu, wsiadam do tramwaju i zachwycam się katowickim Osiedlem Tysiąclecia, na którym mieszkam. Oglądam drzewa, kwiatki, cieszą mnie odnowione elewacje»". Katowice odpowiedziały na sympatię swego wybitnego mieszkańca stałą uwagą ze strony władz, wieloma nagrodami i wyróżnieniami związanymi z działalnością artystyczną. Nadanie tytułu honorowego obywatelstwa miasta uwiecznia natomiast wspaniały fakt, że Profesor jest z Katowicami związany „po domowemu", że jest po prostu „nasz". ■

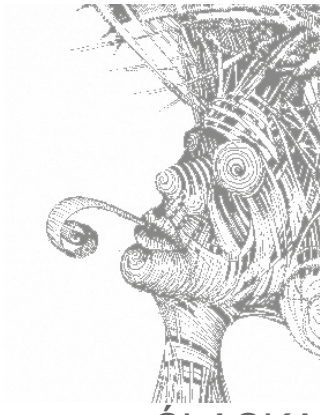

JAN MIODEK

Bóbr i inne śląskie rzeki

Przed miesiącem przypomniałem o „wodnej" etymologii *Śląska,* bo przez *Ślężan//Ślężaków// Ślązaków* wiodącej do nazwy rzecznej *Ślęża//Ślęza* zbudowanej na starym rdzeniu *ślęg//śląg* o znaczeniu „mokry, ciekły, wilgotny" (por. znaną do dziś w gwarach śląskich *ślągwę* – „chlapę, pluchę, deszczową pogodę").

O wypowiedź na temat rzecznej nazwy *Bóbr* poprosili mnie natomiast realizatorzy wrocławskiej telewizji, przygotowujący jeden z programów krajoznawczych. Uczyniłem to z przyjemnością, bo to rzeka dzieciństwa mojej żony, wzrastającej nad nią po wojnie w Bolesławcu, dobrze pamiętającej, że na ten najdłuższy lewobrzeżny dopływ Odry (272 km), płynący przez województwo dolnośląskie i lubuskie, mówiło się długo po 1945 roku *Bober* (rzadziej – również *Bobrawa*) – tak jak częsty jest przecież nazwiskowy wariant *Bober.*

Bóbr to bardzo stara odzwierzęca nazwa rzeczna (por. rzeczownik *wieprz* i nazwy takich rzek, jak *Wieprz, Wieprzec, Wieprzeniec*), obecna już u kronikarza niemieckiego Thietmara w XI wieku w postaci *Pober.* Późniejsze zapisy to *Pober, Bobr* 1217, *Bober* 1245. Tak jak od rzek *Ślęża* czy *Wisła* pochodzą plemienne nazwy *Ślężan* i *Wiślan* – tak z *Bobrem* związani byli *Bobrzanie*. Dopowiedzmy, że hodowla bobrów, wykorzystująca dogodne naturalne warunki przyrodnicze, była znana nie tylko w Polsce, a zwierzęce bobrowiska wręcz sprzyjały nazewnictwu rzecznemu.

Warto też wiedzieć, że etymologicznie z *Bobrem* spokrewniona jest *Biebrza,* dopływ Narwi, bo dzisiejszy wyraz *bóbr* miał swoje prasłowiańskie warianty *bobr – bebr* (oba z tzw. jerem twardym, czyli półsamogłoską, na końcu).

Nawiązują do nich także inne języki słowiańskie (por. np. czeski i rosyjski rzeczownik *bobr*), a niesłowiańskimi ich odpowiednikami są litewski *babras//bebras//bebrus,* łaciński *feber, fiber* czy staro-wysoko-niemiecki *bibar* (dzisiejszy niemiecki *Biber*). Pierwotne zaś znaczenie naszego słowa to „brunatny" (por. staroindyjskie *babhru* „brunatny"), nazwa zwierzęcia pochodzi zatem od ubarwienia jego futra.

Zajmijmy się teraz *Odrą* i jej pozostałymi wrocławskimi dopływami: *Oławą, Widawą* i *Bystrzycą.*

Kiedy uzmysłowimy sobie, że dzisiejsza nasza *woda* to pierwotna *wodra*, spokrewniona zarówno z niemieckim rzeczownikiem *Wasser* czy angielskim *water*, jak i greckim *hydor* oraz *Adriatykiem*, prosta okaże się etymologia starej praindoeuropejskiej nazwy rzecznej *Odra*: to po prostu „woda" – od praindoeuropejskiego pnia *uodr.*

Do tego samego znaczenia sprowadza się etymologia *Oławy*, a także jeszcze jednej śląskiej rzeki na granicy Polski i Czech – prawego dopływy Odry – *Olzy*: obie te nazwy zbudowane są na praindoeuropejskim pniu *ol* „woda".

Równie archaiczny jest rodowód *Widawy,* pochodzącej od praindoeuropejskiego rdzenia *vid//veid* znaczącego tyle, co „teren wilgotny, podmokły", także „skręcać, wić się".

Najprostsza etymologicznie jest *Bystrzyca*, nawiązująca do *bystrego* nurtu rzecznego. Oczywiście, od nazwy rzeki pochodzi nazwa miasta *Bystrzycy* – tak jak do rzeki *Oławy* nawiązuje nazwa dolnośląskiego miasta *Oławy* czy do *Prądnika* – od *prądu* rzeki (dzisiejszego *Prudnika*) – nazwa miasta *Prądnika* (dzisiejszego *Prudnika; u* zamiast pierwotnego *ą* utrwaliło się pod wpływem fonetyki czeskiej).

Trudno w tym miejscu nie dopowiedzieć, że odrzecznymi tworami są nazwy śląskich miast *Nysy* i *Pszczyny.* W pierwszej z nich kryje się praindoeuropejski pierwiastek *neudh//nudh* „wilgoć, spływanie" albo *neid* „płynąć", ewentualnie *nau//neu//nu* „koryto, rynna, rzeka", w drugiej – związanej z dzisiejszą *Pszczynką* – albo prasłowiański rdzeń *plsk* (polskie *pluskać*), albo *blsk* (polskie *błyszczeć*).

Dzisiejsza *Mała Panew* to dawniejsza *Pądew* – od *pąd, pęd, pędzić,* czyli też etymologicznie – jak Bystrzyca — nawiązująca do szybkiego, bystrego nurtu rzeki.

A pograniczne – śląsko-małopolskie – rzeki *Brynica* i *Przemsza*? — Nazwa pierwszej z nich (tak jak i nazwy miejscowej *Brenna*) nawiązuje do prasłowiańskiej formy *brnje* „błoto", drugiej – jest kontynuacją prymarnego brzmienia *Przemża* – od *mżyć, mgła.*

Powiedzmy na koniec, że uderzająca jest prostota tych wszystkich rzecznych nazw: etymologicznie sprowadzalne są one do wody, cieczy, wilgoci, czegoś, co mokre, podmokłe, bagienne. ■

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Niemcy, nazizm, wojna w antyhitlerowskim komizmie śląskim

Trudno podejrzewać aby Górnoślązacy w latach trzydziestych ubiegłego wieku znali rasistowskie teorie III Rzeszy oraz takie pojęcia jak: „Kulturträger, ” „Lebensraum” czy choćby teorie „Kulturboden” czy „Volksboden”? A może jednak? Oto bowiem zgromadzony materiał typu folklorystycznego z Górnego Śląska, a konkretnie dowcipy antynazistowskie czy później antyniemieckie dziś skłaniają do refleksji i chwili zastanowienia nad motywami jakimi kierowali się żołnierze Armii Krajowej skupieni na działaniach w ramach sławnej Akcji N, prowadzonych jako psychologiczną antyniemiecką działalność dywersyjno-propagandową. Śląskie dowcipy antyhitlerowskie akceptował jej szef Tadeusz Żenczykowski, zachwycały folklorystę prof. Juliana Krzyżanowskiego. O tym mówił mi w latach 70. XX wieku były członek Sztabu Głównego AK – podówczas mieszkaniec Katowic — płk dr Józef Słaboszewski. Wiele z nich zostało przeze mnie zapisanych przed ponad 40 laty w stolicy naszego regionu. Moje gromadzenie relacjonowanych dowcipów zaczęło się pod wpływem folklorystki prof. Doroty Simonides. Odwołajmy się do wyimków owej śląskiej – niestety raczej nieznanej – skarbnicy kulturowej. I tak na początku weźmy pod uwagę termin Kulturträger. Oto bowiem właśnie tego pojęcia dotyczy znakomity dowcip: Antek przyjeżdżo w 1938 roku z III Rzeszy do dom i godo do Francka: Wiesz u nos w Niemcach jest richtig wysoko kultura. Bez to jo tu przyjechoł do wos jako kulturtreger. A Francek na to: Ty gupku tyś nie jest żodyn kulturtreger ino hosentreger. A zatem ów Antek nie jest „nosicielem kultury”, a zaledwie użytkownikiem szelek do spodni. Z okresu sprzed wojny pochodzi też inny dowcip.

Hitler zastanawia się jaka jest różnica między słowami „nieszczęśliwy wypadek” i „nieszczęście”. Nikt nie wie. Bierom bez to Slonzoka. Tyn wystraszony godo, że powie, ale żeby go Hitler nie zabił. Bierom go do Reichstagu i łon godo: Jakbyście Panie Furher staneli na balkonie razem z Goeringiem, Goebbelsem i łon by się serwoł, to byłby to nieszczęśliwy wypadek. A jak by się nie serwoł to jest to nieszczęście.

Zwróćmy tylko uwagę, że dowcip ten był znany – oczywiście z innymi bohaterami, od czasów renesansu. No cóż takie są realia wątków wędrownych, tekst ten był znany na dworze florenckich Medyceuszów.

A gdy Niemcy już wkroczyli do Polski to popularne stało się pojęcie rasistowskiej teorii Lebensraum – przestrzeni życiowej dla Niemców, czyli „rasy panów”, czyli wedle regionalnych określeń „diabelskiego nasiynia”. Niemcy chcom mieć Lebensraum bo przeca bydom musieli nowe cmyntorze budować. Ale nie chcom je u siebie budować, znaczy bydom je budować u inszych, znaczy u tych do kerych wlezom.

A kiedy sytuacja zaopatrzeniowa stawała się gorsza krążył dowcip nawiązujący do pustych półek i charakterystycznej dekoracji witryn sklepowych, głównie tych od masorza: Tu kwioteczek, tam kwioteczek a pośrotku Hitlereczek.

Nawiązywano w ten sposób do tego, że w witrynach stawiano obraz Hitlera, a po obu stronach doniczki z kwiatami. Natomiast wraz zaś z postępującymi porażkami Wehrmachtu pytano:

Jako jest różnica między 39 rokiem a 43 rokiem. Prosto. Bo przeca 1939 roku Niemcy nosili kragle z numerem 43, a w 1943 roku koszule z numerem 39.

Bohaterami dowcipów stawali się też, przeciętni Niemcy, ale pojmowani przez pryzmat hitlerowskich dygnitarzy: Jaki jest richtig Niemiec? Taki jak urodzony w Austrii Hitler, chudy jak Göring i godo ino cołko prowda jak Goebels.

Obiektem dowcipu stała się też nazwa niemieckiej partii nazistowskiej. I obojętnie czy ten i inne dowcipy były wytworem lokalnej kultury, czy elementem szerszego zjawiska, czyli owego jak powiadał Kazimierz Żygulski „komizmu negacji” obcych, złych; a w tym przypadku wrogów i morderców. Najważniejsze że, w naszym regionie i w Katowicach krążyły. A zatem nazwę NSDAP tłumaczono następująco: Nasi są daleko ale przyjdą. A czytaną wspak tłumaczono: Pieronie Adolf dej Ślonsk nazod. Opowiadano też mniej agresywne dowcipy: Kiedy Niemcom będzie dobrze? Wiadomo wtedy kiedy galoty, szaket i mantel Goebbelsa będą pasowały na Göringa. ■

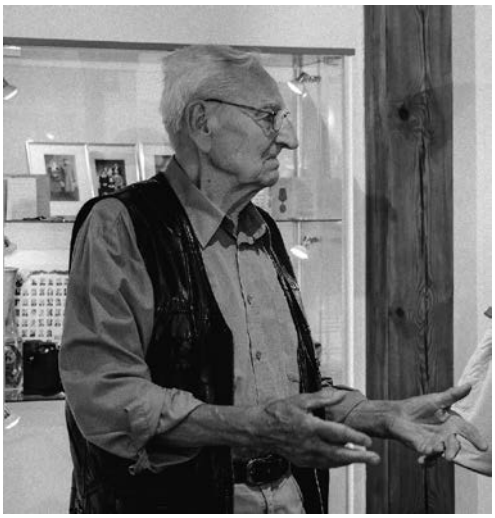

fot. Adam Cygan

Mistrz **Józef Szmidt** w Drawsku Pomorskim

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Gdy na Śląsku słyszymy o Drawsku Pomorskim, w pierwszej chwili przychodzi nam na myśl największy w Europie Unijnej poligon wojskowy. Gdy jednak pada nazwisko Józef Szmidt – następne rzeczowniki w ciągu skojarzeń to: Olimpiada, Rzym, Tokio, trójskok, złoty medal, rekord świata i inne superlatywy sportowe. By rozwikłać tytułową sprzeczność, należy przypomnieć sylwetkę jednego z największych sportowców w historii światowej lekkoatletyki – Józefa Szmidta, by w końcu dojść do wsi Zagozd koło Drawska Pomorskiego, gdzie nasz mistrz... hoduje kozy.

Miechowice 1935

Trudności ortograficzne zaczynają się, gdy chcemy opisać dzień urodzin naszego bohatera (28 marca 1935). Otóż dzisiejsza dzielnica Bytomia – Miechowice – nazywała się wtedy Miechowitz i leżała w niemieckiej części Górnego Śląska, a późniejszy rekordzista świata urodził się tam jako Josef Schmidt. Nazwisko ojca jest oczywiście niemieckie, natomiast o matce – Oldze z d. Niewolik – wiemy niewiele. W każdym razie w domu po polsku się nie mówiło.

Josef zdążył ukończyć cztery klasy niemieckiej szkoły podstawowej, gdy skończyła się wojna i musiał się uczyć nowego języka: polskiego. Od podstaw. Szybko też spolonizowano jego imię i nazwisko na „Józef Szmidt". Temu nazwisku pozostał wierny, choć w roku 1975 wyjechał (oczywiście nielegalnie) do Niemiec i tam przebywał do roku 1992. Zawsze jako Józef Szmidt, bo tym nazwiskiem wszedł do historii jako największy sportowiec śląski wszech czasów. Należy to odnotować, zwłaszcza że w jego biogramach internetowych aż roi się od błędów nazewniczych, których już tu nie wypada wytykać.

Zabrze 1955

Józef Szmidt dość późno, bo dopiero w wieku 20 lat trafił do sportu wyczynowego. Wciągnął go – dla towarzystwa w treningach – starszy o cztery lata brat Edward (do 1945 – Eberhardt), który był utalentowanym sprinterem, reprezentującym Polskę m.in. na Olimpiadzie w Melbourne (1956). Józef, mechanik samochodowy po górniczej zawodówce, zaczyna po pracy ostro ćwiczyć i biegać. Trafia do Górnika Zabrze, następnie odrabia wojsko w CWKS Wrocław (1956) oraz w Śląsku Wrocław (1957), po czym wraca do Górnika. W krajowej kadrze trafia na dobrego trenera – Tadeusza Starzyńskiego, z którym wypracowuje oryginalną metodę trójskoku, zwaną techniką biegową.

Józef Szmidt był znakomitym stumetrowcem, ale z czasem 10,4 mógł wygrywać tylko w słabszych zawodach. Był również świetnym skoczkiem w dal i nawet wynikiem 7,83 ustanowił rekord Polski, ale znów – do światowej czołówki sporo brakowało. Dysponował jednak nadzwyczajnymi atutami: rewelacyjną szybkością i rekordową skocznością. Trener Starzyński szybko zrozumiał, co z tym zrobić w trójskoku: nie starać się o zbyt długie dwa pierwsze skoki, by nie tracić szybkości, i znokautować rywali trzecim skokiem. Do tego dopracowano jeszcze osobliwy, boczny sposób lądowania w piasku. Wyniki nie kazały na siebie długo czekać.

Olsztyn 1960

W roku 2010 Rada Miasta Olsztyna nadała Józefowi Szmidtowi Honorowe Obywatelstwo, choć nie był on nigdy z tym miastem związany. Zadecydowało jedno wydarzenie, o pół wieku wcześniejsze: 17 metrów i 3 centymetry w trójskoku na Stadionie Leśnym w Olsztynie, 5 sierpnia 1960, w czasie XXXVI Mistrzostw Polski w Lekkoatletyce. 17,03 – to był wynik (w owych czasach) niewiarygodny. Lepszy od poprzedniego rekordu świata aż o 33 cm! Poza tym – pękła magiczna bariera 17 metrów.

I z tym wynikiem – jako absolutny faworyt – jechał Szmidt na Olimpiadę do Rzymu. Zdobył tam pewnie złoty medal, choć już nigdy nie zbliżył się do swego olsztyńskiego rekordu. W Rzymie osiągnął 16,81, a cztery lata później (1964) wygrał na Olimpiadzie w Tokio, skacząc 16,85. Poprawił jeszcze i ten wynik o kolejne cztery centymetry na następnej Olimpiadzie (Meksyk 1968), ale to dało zaledwie siódme miejsce. W rozrzedzonym górskim powietrzu Meksyku rekordy padały masowo. Natomiast w Olsztynie nikt później nie pobił już rekordu świata w żadnej dyscyplinie, a słynny Stadion Leśny powoli sam staje się lasem.

Zagozd 1992

Nie ma żadnego podtekstu w tym, że po powrocie do Polski państwo Szmidtowie kupili kilkanaście hektarów gruntu i zajęli się działalnością rolniczą. Józef usłyszał od lekarza, że sportowiec, który przez wiele lat trenował na poziomie wyczynowym, nie może spocząć przed telewizorem. Musi znaleźć sobie codzienne, intensywne zajęcie fizyczne. To pozwoli żyć długo i w miarę zdrowo.

Zadziwia tylko miejsce. Dlaczego akurat... Zagozd? O tym wyborze zadecydowała żona Józefa, pani Łucja, która po wojnie mieszkała w tych okolicach. Państwo Szmidtowie pojechali odwiedzić te miejsca, a ponieważ jest tam po prostu niewyobrażalnie pięknie – postanowili już pozostać. Formalności trwały niedługo. W roku 1992 można było za drobne grosze kupić spory szmat ziemi na popegeerowskich terenach Pomorza Zachodniego.

Drawsko 2019

Józef Szmidt zdobył kilkadziesiąt medali i mnóstwo pomniejszych trofeów w ciągu niemal dwudziestoletniej kariery sportowej. Wszystkie te skarby postanowił podarować miastu Drawsko Pomorskie, które w swoim muzealnym Magazynie Solnym urządziło wystawę stałą, wypełnioną darami naszego trójskoczka. Ekspozycję „Mistrz Józef Szmidt" udostępniono w wakacje (2019), a na otwarciu – uświetnionym obecnością lokalnych władz – pojawił się Mistrz w towarzystwie pani Łucji.

Może to nawet lepiej, że ekspozycja znajduje się w Drawsku, gdzie stanowi wielką lokalną sensację, niż w Zabrzu, gdzie podobnych medali nie brakuje. Na 60-lecie rekordu świata wystawa pewnie zostanie wypożyczona do Olsztyna, ale na 60-lecie rzymskiego złota (6 września 2020) powinna już trafić – choć na chwilę – do Zabrza. Miejmy nadzieję, że ktoś o to zadba.

Pan Józef nie lubi występować przed mikrofonem i nawet w kontaktach prywatnych słynął z... małomówności. Urodził się jako Niemiec, w dziesiątym roku życia zaczął mówić po polsku, a gdy w wieku 40 lat ponownie znalazł się w Niemczech, okazało się, że zapomniał niemieckiego i musiał znów uczyć się tego języka. W wieku lat 57 wrócił do mowy polskiej, ale coś za dużo było tych skoków. Poza tym – lekarz kazał mu używać mocno w młodości eksploatowanych mięśni rąk i nóg. Nic nie mówił o mówieniu. Więc niech już tak zostanie. ■

Czytadło wyczarowane z brulionów

Druga duża powieść Dąbrowskiej

JERZY PASZEK

fot. arch. red.

Henryk Markiewicz swoją recenzję z 5-tomowego wyboru *Dzienników* Marii Dąbrowskiej (oprac. Tadeusz Drewnowski, Warszawa 1988) zatytułował następująco: *Prawdziwe „przygody człowieka myślącego"* („Nowe Książki" 1989, nr 1). Zastanawiam się, pod jakim nagłówkiem mógłby ten profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego reklamować 13 tomów *Dzienników 1914–1965*, opublikowanych pod redakcją Drewnowskiego w roku 2009? Chyba trzeba by było wymyślić coś w rodzaju „całkowite i nieocenzurowane memuary Dąbrowskiej"! I już pewnie obyłoby się bez aluzji do powieści, poświęconej dziejom Polski od Powstania Styczniowego do Powstania Warszawskiego! Mogłaby za to pojawić się refleksja o bogactwie i rozległości pozostawionych przez pisarkę materiałów, notatek, brulionów i maszynopisów.

Wspominany przeze mnie Tadeusz Drewnowski jest autorem monografii *Rzecz russowska. O pisarstwie Marii Dąbrowskiej* (Kraków 1981; mój skrót: RR). Ten zasłużony edytor i badacz twórczości prozaiczki dochodzi do wniosku, iż *Przygody człowieka myślącego* „powinny być wydawane w pięciu wyraźnie wyodrębnionych częściach: I – rozdziały 1–20, czyli to, co za życia Dąbrowska wydrukowała w >Przeglądzie Kulturalnym<; II – rozdziały 21–25 – teksty nieopublikowane w tygodniku, lecz dostosowane przez autorkę do powieści; III – utwory nowelistyczne, przeznaczone do powieści, lecz przez autorkę do niej niedostosowane; IV – obydwie wersje brulionów części powstańczej; wreszcie V – wszystkie notatki do powieści, których pozostało sporo" (RR 392, przypis). Zgadzam się z Drewnowskim, że taka edycja miałaby sens, gdybyśmy *Przygody…* zaliczali do arcydzieł literatury polskiej! Chociaż – jak wynika z moich doświadczeń filologa – nawet *Popiołom* Żeromskiego nie chciano w ubiegłym wieku dodać suplementu w postaci (oprac. przez prof. Zbigniewa Golińskiego) krytycznej wersji 3-tomowych brulionów! Bo wszak *Vade-mecum* Norwida można czytać w formacie studium krytycznego (oprac. Józef Fert, Lublin 2004) i w wersji popularnonaukowej, gdzie brakujące ogniwa cyklu zostały przez wydawcę uzupełnione z pokaźnego zasobu utworów lirycznych poety (C. Norwid: *Dzieła zebrane*. T. I: *Wiersze,* oprac. Juliusz W. Gomulicki, Warszawa 1966, s. 535–686).

Szczerze wątpię, czy propozycja Drewnowskiego zostanie kiedykolwiek zrealizowana, więc trzeba się obecnie kontentować *Przygodami…* w oprac. Ewy Korzeniewskiej, czyli edycją zrekonstruowaną z wymienionych przez Drewnowskiego rozlicznych źródeł, choć też zdającą sprawozdanie z wszystkich działań edytorki, przygotowującej niedopracowany (czyli kilkakrotnie przepisany przez autorkę!) i nieujednolicony (kwestia imion i nazwisk!) tekst do druku w postaci narracji, przeznaczonej dla zwykłych czytelników (M. Dąbrowska: *Przygody człowieka myślącego*. Przedmowa: Anna Kowalska. Komentarz i przygotowanie tekstu z rękopisów: Ewa Korzeniewska. Warszawa 1970, s. 908; mój skrót: PCM). Oczywiście, nie zabraniam nikomu podjęcia się trudów edycji krytycznej *Przygód…*, ale zamierzam delektować się tym, co teraz mamy i znajdujemy w grubym tomie o rozmiarach *Ulissesa* Joyce'a, do którego zresztą nawiązuje się w tej olśniewającej intelektualnie narracji.

Żartem zasugeruję, iż Dąbrowska mogła zamarzyć sobie, że doczekają się jej *Przygody…* publikacji w serii „Biblioteka Narodowa", gdzie oprócz historycznoliterackiego wstępu pojawią się tablice z rodowodami bohaterów powieści, a żywa pagina na każdej stronicy ukazywać będzie czas akcji: obecnie trzeba domyślać się, o jaki rok w danym momencie chodzi, gdyż wydarzenia historyczne bywają pomijane (z wyjątkami, jak zamach stanu Piłsudskiego w 1926 czy zdobycie gmachu Pasty, co bacznie obserwują bohaterowie) i należy wytężyć uwagę, by dostrzec o czym aktualnie się mówi. Przykładowo: wiadomo, kiedy umarł Józef Piłsudski (w maju 1935), więc jeśli Katarzyna Tomyska równocześnie „przekro-

czyła siedemdziesiątkę" (PCM 303; o śmierci marszałka mowa 2 stronice wcześniej), to znaczy, że urodziła się ok. roku 1865, w czasie Powstania Styczniowego lub tuż później! Dzieci Katarzyny (z domu Domont) i Rafała Tomyskich, tak samo jak potomstwo Matyldy Domontówny i dra Mariana Wochelskiego, przychodziły na świat w ostatniej dekadzie XIX wieku: „gdy zaczynał się wiek XX, Wochelscy mieli troje dzieci, którym dano imiona: Ewa, Ludwik i Jan, a Tomyscy dwoje – Józefa i Joannę" (PCM 25–26). Zaiste, tylko tom lub dwa tomy „Biblioteki Narodowej" mogłyby ułatwić orientację w koligacjach rodów Tomyskich i Wochelskich (i setki innych postaci!), a także ujawnić fakty historyczne i chronologię dzieł literackich i malarskich, o których tu mowa lub są cytowane czy parafrazowane (np. wyimek z *Króla-Ducha* „Cień obalony księżycem na trawie" powinien brzmieć: „Cień obalony miesiącem na trawę", PCM 517).

W zasadzie można powiedzieć, iż głównymi bohaterami tej rozległej narracji są trzy postacie: Ewa Radgoska, malarka i eseistka, żona Stefana, dziennikarza i autora powieści *Ludzie jak ludzie*; Joanna Tomyska, panna, polonistka gimnazjalna w Ostrowi Mazowieckiej, Toruniu i Warszawie, kolporterka prasy powstańczej; Józef Tomyski, powieściopisarz, autor *Anioła i hieny*, *Dziwaków* i *Komarów*, redaktor czasopisma powstańczego „Walka trwa". Jak widać, Dąbrowska wyzyskała swoją wiedzę o prądach literackich i artystycznych XX wieku, uzbrajając bohaterów w sporą erudycję i niezawodną pamięć, gdyż nieustannie popisują się przed zdumionymi słuchaczami cytacjami i „ping-pongiem" (nb. Ewa myli słowo pąk z „angielskim" wyrazem „pong"; w istocie jest to australijskie pejoratywne określenie Chińczyka; PCM 236), zaczynanych przez jednego, a kończonych przez drugiego brzmień skrzydlatych słów. Dla zwykłego odbiorcy, którego nie wspomagają przypisy na każdej karcie utworu, jest to więc lektura niełatwa, uciążliwa i nudna! Pamiętam takich ludzi, oddających mi libellę *Muchomory i zimowity*, gdyż wcale nie znali powieści, o których pisałem (*Pałuba*, *Popioły* i *Próchno*). Omawiane tu czytadło nie jest sagą rodzinną i trzeba mieć nieco wiedzy, by się orientować np. w zapasach autorki z cenzurą czasów stalinowskich czy epoki Gomułki!

Nawet zakładając, iż najwyższą wartość mają rozdziały nieopublikowane w tygodniku, czyli m.in. *Skórka od słoniny* (r. 26 – znakomita panna Cechna Żarska, miłośniczka strażaków i granatowej policji), *Święta we mgle* (r. 27 – dziennik Józefa z grudnia 1943), *Głupia historia* (r. 28 – o przygotowywaniu sosu truflowego i 3 pointach: 1. wśród wykształconych ludzi nikt nie zorientował się, że służąca Nastka jest analfabetką, bo roznosi bezbłędnie bibułę!; 2. rozpacz pani Jentysowej po spaleniu – ze strachu przed rewizją – zdjęcia jej zabitego w lesie syna kończy się w chwili odnalezienia kliszy u fotografa w Podkowie Leśnej i odbitki w tomie Brücknera z biblioteki Ewy; 3. wątpliwości, czy trufle nie są szkodliwe: „Byłaby głupia historia, żeby tacy ludzie ocaleli od Niemców, a mieli się potruć grzybami", PCM 581) oraz *Dokonało się* (r. 29 – mający aż 27 segmentów na s. 582–768) – to i tak 25 pozostałych odcinków (z których 20 drukowano w „Przeglądzie Kulturalnym") sprawia, że czytelnik czuje większą empatię, śledząc tragiczne dzieje rodzin Tomyskich i Wochelskich, ich znajomych i przyjaciół, a także przypadkowych warszawiaków, uczestników Powstania.

Dąbrowska istotnie chciała połączyć pisane w latach 50. ubiegłego wieku rozdziały o Powstaniu Warszawskim z blokiem początkowym, stworzonym dekadę później, wywodzącym całą narrację z epoki Powstania Styczniowego. Mamy nawet wzmianki o firmie szewskiej w Warszawie, przy Długiej, „która robiła buty jeszcze powstańcom w 1863 roku" i istnieje na początku I wojny światowej (PCM 128); Domontowie zaś walczyli w powstaniach 1830–1831 i 1863–1864 (PCM 118). Dalsze rozdziały niekiedy celnie poprawiają tekst wcześniejszych odcinków: w rozdziale 2 (*Todro-Hefajsos*), gdzie jeden kowal przezwany był przez Ewę i Józka Vulcanusem, a drugi – Hefajstosem (jest to tytułowy Todro, Teo-dro), młodzi sąsiedzi kuźni Popiołka podziwiają słownictwo Teodora: „Mówi: >**przeokropny** maj<. Albo że ptakom aniołowie gardła stroili" (PCM 38–39; podkr. w całym eseju J.P.). Korekta błędu w zapisie epitetu pojawia się w dalszym ciągu opowieści: „Sierpień był zmienny, **przekropny**, jak mówił kiedyś Todro" (PCM 356). W końcowych partiach utworu pojawią się Popiołkowie (Anastazja Popiołkówna to teraz Nastka Golikowa), a Teodor, powracający z Ameryki, miał pełnić – wedle brulionów – ważną rolę, by w finale powstała klamra narracyjna, nawiązanie do patriotycznego symbolu Gopła z incipitu powieści.

Ewa Radgoska polubiła starochińskie malarstwo, znające „tajemnicę **blasku** w akwareli" (PCM 155; nb. tytuł rozdziału brzmi: *Ewa odkryła blask*): zastosowała „pewien chwyt, za pomocą którego puste miejsca białego papieru dają się wykorzystać, nie tylko jako powietrzność i lekkość właściwa akwareli, ale jako **blask**" (ib.). Zaczęła także używać słowa blask – lub jego brak – w stosunku do ludzi: „To człowiek całkiem bez **blasku**" (PCM 162, o Medardzie Gorzeckim, architekcie, żyjącym „na fartuszku małżonki"; nb. Joasia „poszła na swój garnuszek", PCM 176: można dostrzec narodziny idiomu!). W części końcowej dzieła Dąbrowskiej Ewa epatuje słuchaczy oryginalnymi ocenami: „Ludzie całkiem bez **blasku**" (PCM 558, o Jentysach); „Choćby ta sprawa z Jentysami. Ileż **blasku** było przecież w tych ludziach >bez **blasku**<, skoro mogli tak bardzo jeszcze poszarzeć, zmierzchnąć" (PCM 564, mowa o żałobie Jentysów po śmierci syna); „Nie był już [major Alojzy Stawiski] >całkiem bez **blasku**<, jak zwykła była mawiać o po-

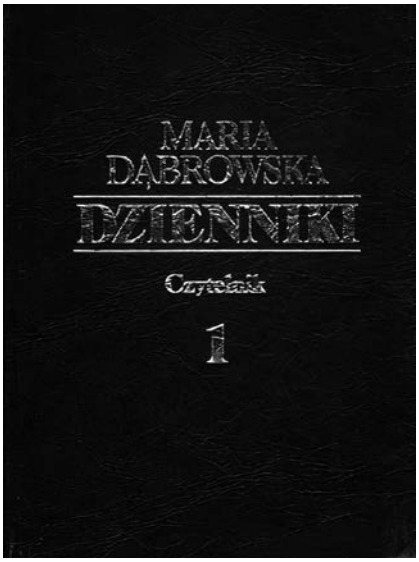

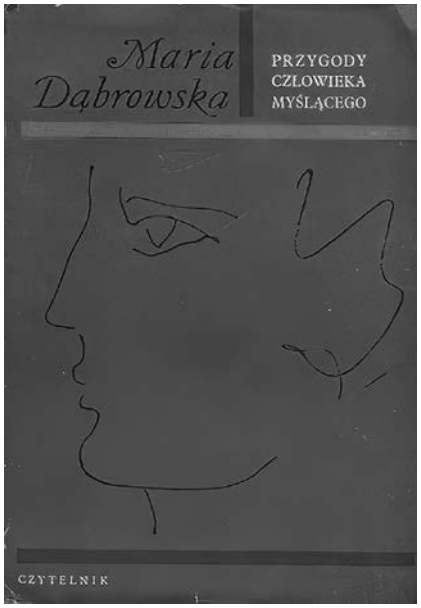

dobnych mu ludziach" (PCM 603). Niewątpliwe dla mnie jest, że wyraz blask jest słowem kluczem całych *Przygód człowieka myślącego* i odnosi się również do naszej ojczyzny:

„Może Polska, inna całkiem, trudna do poznania przez epigonów dawnego czasu, wykaże i w tych okolicznościach [roku 1944] swoją niezbędność dla świata. Zabłyśnie nowym **blaskiem**" (PCM 589–590 – prorokuje pisarz Tomyski, nawiązując do słów malarki Radgoskiej). „Epigonami dawnego czasu" byli ludzie „bez blasku", czyli przede wszystkim bezproduktywni przedstawiciele warstw szlacheckich (endecja), którzy po „wysadzeniu z siodła" nie umieli egzystować w kapitalistycznych warunkach, marząc o życiu „na fartuszku żony", a bojąc się przechodzić do trudniejszej fazy, czyli życia „na swoim garnuszku"!

Zresztą kluczowe słowo powieści może też mieć powiązania z innymi sferami i zjawiskami *Przygód…* Najczęściej będą to opisy krajobrazu: „Rumiane **blaski** popołudnia ustąpiły niebu zasępionemu, a koło Nowego Targu padał już obfity, ukośnie wiatrem gnany śnieg" (PCM 438); „Tomyski rozłożył rękopisy i zagapił się na przepych porannych **blasków** nad granatowym pasmem szczytów" (PCM 445); „Poszli [Joanna i Henryk Pawęta] przed południem za miasto, żeby napatrzeć się okiści, **blaskom** słońca na śniegu, grze świateł w modrych cieniach gęstwiny" (PCM 167). Mogą to być również błyski rakiet, wskazujące miejsca do zaatakowania: „zimny **blask** rozjaśniał całe niebo i trwał chwilę migocąc złowrogo na murach. Ewa i Stacha zastanawiały się, co to za **blask** taki cichy i przerażający" (PCM 642); „Gdy wchodzili [Tomyski i Ewa], **blask** rakiety oświetlił tę część uliczki, a zaraz potem seria z automatu zaterkotała gdzieś blisko" (PCM 755).

Obok takich estetycznych, krajobrazowych, oraz zastraszających, wojennych, efektów Dąbrowska potrafi całą rzecz doprowadzić – wzorując się na stylu Cervantesa – do scen humorystycznych: tak jest z amatorką straży miejskiej, Cechną Żarską (nazwisko nie bez znaczącej etymologii), której „oczy zalśniły istną eksplozją **blasku**, nalana szara twarz spłonęła świetnym rumieńcem" (PCM 501); „przymknęła [Cechna] oczy, jakby ją samą raził ich ekstatyczny teraz **blask**" (PCM 502); „Z wypiekami na szarej twarzy, z eksplozją **blasku** w krągłych oczyskach, zaczęła opowiadać o sobie" (PCM 504). Gdy Żarska wspomina swoich zmarłych rodziców, „łzy ściekły z błyszczących jak elektryczne lampki oczu Cechny" (PCM 505) – czyż to nie jest prześmiewcza i groteskowa hiperbola? Jedynym bowiem prawdziwym ogniem w nowelce jest tląca się na kuchence gazowej skórka od słoniny („ruchliwy **blask**", PCM 537), którą strażacy przyjechali gasić, gdy pechowa dziewczyna (okłamana przez granatowego policjanta) wybrała wolność w lesie!

Zresztą pisarka lubi przeciwstawiać – na początku i na końcu tekstu – niby identyczne czy podobne słowa, obrazy bądź sytuacje. Pierwsza podróż kowala Teodora Popiołka do Warszawy zaczyna się od jego noclegu na Cmentarzu Wolskim (PCM 63). Jakże to był spokojny i przyjazny cmentarz, choć pielgrzym powiada: „To mi tylko niemiłe […], że do dziś, jak sobie wspomnę: Warszawa, **to** zaraz widzę **cmentarz**…" (ib.). W roku 1944 takie określenie jest podsumowaniem katastrofalnych zniszczeń: „Kolonia Staszica, ulica Filtrowa, Wawelska, wszystko spalone, martwe, bez żywego ducha. Czy się to kiedy dźwignie, odbuduje – myśleli [Naścia, Paulina Mruk i Tomyski]. **To cmentarz**! " (PCM 765).

Dwa największe zaskoczenia, jakie mnie spotkały podczas lektury *Przygód…*, to po pierwsze autentyczna notatka z listopada 1917 roku Janka Wochelskiego, czyli w istocie brata pisarki, Bogumiła Szumskiego, szeregowca ułanów I Brygady Strzelców Piłsudskiego: „Życie w Szczypiornie było z początku wprost niemożliwe, **prócz żab i trawy** nic więcej nam do jedzenia nie dawano" (PCM 146 – wersja Janka); „stanęliśmy w Szczypiornie. Życie z początku było wprost niemożliwe, **prócz żab i trawy** nic nam więcej do jedzenia nie dawano" (PCM 799 – wersja Bogumiła, przytaczana w komentarzach Korzeniewskiej). Po tym zdaniu wszelkie kłopoty warszawiaków w 1944 roku (marzenie o mięsie, produkcja bimbru, zły chleb, marne papierosy, kawa zbożowa, herbata z liści itp.) jednak bledną, bo gdzie im tam do drastyczności zapisu z 1917 roku!

Drugie zaskoczenie wiąże się z informacją o uzasadnieniach zabicia złapanych przez gestapo mieszkańców stolicy. Joanna tłumaczy Nastce Golikowej: „Naścia przecież czytała [jest analfabetką!] na tych czerwonych plakatach, jak piszą: >**na usługach Moskwy i Londynu**<. Że niby płatne sługi zabijają, a nie bohaterów" (PCM 571–572). Dąbrowska ani w roku 1952, ani w 1963 nie mogła napisać, co widniało na sowieckich dokumentach (najczęściej: zarzut szpiegostwa na rzecz Niemiec czy Japonii!), uzasadniających śmierć w Katyniu lub wywóz na Syberię; to był jej wyrafinowany szyfr patriotyczny!

Obecnie możemy oczywiście przeczytać opracowanie Normana Daviesa pt. *Powstanie '44* (przekład Elżbiety Tabakowskiej, Kraków 2004, s. 468), gdzie na cytowanej stronicy pojawia się makiaweliczne zdanie z lubelskiej „Rzeczpospolitej": „Kto występuje przeciwko obozowi polskiemu [czyli przeciwko PKWN], ten jest w obozie hitlerowskim". Historyk tłumaczy to tak: „wszyscy członkowie Armii Krajowej, włącznie z tymi, którzy walczyli podczas Powstania, musieli być zwolennikami faszyzmu. Oto piękny przykład dialektyki stosowanej". Ma Davies pewnie o wiele więcej źródeł swoich informacji niż miała kiedyś Dąbrowska, ale pisarka była naocznym świadkiem i posiada bogactwo środków i chwytów artystycznych, które wybuchają na każdej karcie powieści i dają jej blask.

Ograniczę się do trzech przykładów: 1. nikt przed autorką *Przygód…* nie użył zapewne jednoliterowego słowa „**ź**" (mówi dwuletni Maciuś do babci dr Świackiej: „Pamiętasz, jak my się **ź** tobą całowali na śkwelku? "; PCM 423); 2. panna Maniewiczówna opowiada o swym majątku w Bucharze, koło Persji: „Przecież ja brałam zawsze z ojcem udział w polowaniach na **tygrysy**" (PCM 748; dowcip polega na tym, że tygrysy w 1944 roku to były głównie czołgi niemieckie: „Tam tylko z >**tygrysów**< ciągle walą we fronty domów", PCM 628); 3. nie mogę wyliczyć wszystkich neologizmów oraz okazjonalizmów, wynalezionych i zręcznie wykreowanych przez Dąbrowską na potrzeby omawianego utworu, więc ograniczę się jedynie do jej tak zaskakujących przysłówków, jak: kocio (PCM 246: „szedł cicho, prawie **kocio**"); wdowio (251: „Stefan krzątał się żałobnie, **wdowio** i smutno"); srokato (438: „wzgórza zapstrzyły się **srokato**"); mroźnawo (459: „Na północnych stokach było jeszcze **mroźnawo**"; nb. laptop widzi tu kalambur: mroź nawo!); śledczo (300: Ewa „czytała chciwie, tropiąc **śledczo** wszystkie stroniczki" dziennika męża); winowajczo (323: Janek „uśmiechnął się **winowajczo**"); olejnie (357: Ewa „jakoś **olejnie** zobaczyła te Zadry"); pieściwie (762: Joanna „szepnęła **pieściwie**"). Potrafiła też powołać do życia przysłówki w stopniu najwyższym: „Twoja **najsiostrzaniej** siostrzana Ewa-Lalia" (PCM 89 – list do Józefa Tomyskiego).

Ostatnie zdanie powieści zawiera w sobie aż trzy wymowne -- i to w najwyższym stopniu – przysłówki: „Chcę być tam, gdzie będzie **najciężej** – rzekł Tomyski. – A może właśnie to będzie **najpiękniej** – nie **najgorzej**" (PCM 768). Czyż artysta nie bywa ciekawszy od najbardziej zaciekłego w poszukiwaniach, w sięganiu i czerpaniu ze źródeł, historyka? ■

Bielski książę (fragment)

KAROL BAJOROWICZ

po pierwszej ucieczce zaostrzony ma rygor
a jednak spróbuje przez okienko strzelnicze
po linie się spuszcza i przeprawia się łódką
przez rzeki i góry z przewodnikiem ucieka
po drodze w Bawarii dokumenty zdobywa
papiery niezbędne żeby dotrzeć do Drezna
i dalej na pruski Śląsk w Czarkowie nocuje
a potem jak w Pszczynie zabalował do rana
miejscowa policja pruska zbiega schwytała

ma nienaganne maniery choć rozgadany
bez pewnych wątpliwości posiada zalety
także wielkie wady charakteru polskiego

Jan pewien swych racji odwołanie napisał
do władcy pruskiego o ochronę na Śląsku
i nawet otrzymał wkrótce zgodę na pobyt
do czasu zbadania jego sprawy w Berlinie
życzliwą decyzję z ministerstwa wysłano
już krótko na dworze zabiegano o *salvus*
conductus dla Janka sukcesora bielskiego
starania przynoszą rozwiązanie problemu
bo cesarz łaskawie zdeklarował amnestię

darując księciu ucieczkę i resztę z kary
zezwalam by powrócił do mojego kraju
ale liczę że będzie lepiej się prowadził

starania o względy dość majętnej pannicy
z Krakowa przerywa pozwolenie czasowe
na pobyt brak zgody wyleczyła Czarkowa
i zdrowie odzyskał aby wrócić do Bielska
bo właśnie wymyślił że ojczyźnie pomoże
a chociaż to były niebezpieczne działania
na zamek sąsiednich właścicieli zapraszał
odważnych więzami konspiracji połączył
pomimo nadzoru wychowawców i szpicli

uszykuje tu problemy książę Sułkowski
ze swadą umie rozgorączkować umysły
tak że patrioci tracą ufność do cesarza

gdy u Polaków ożyła myśl odzyskania
niepodległości przy boku Bonapartego
Jan Nepomucen przebywał z oficerami
legionistami polskimi armii francuskiej
kiedy zabiegał o swoją bielską sukcesję
był pomawiany o czyny o przekonania
republikańskie zuchwałe postępowanie
sprowokowało reakcję mocy cesarskiej
i buntownika oddalić z Bielska kazano

Jego Majestat podjął decyzję by temu
buntownikowi zezwolić bywać jedynie
w okolicy Moraw i cesarskiego Śląska

Jan wszędzie popierał patriotyczne apele
zachęcał tuziemców do powstania i walki
gdy armia francuska odnosiła zwycięstwa
wzrastała aktywność księcia Jana starania
o względy Luizy baronówny von Larisch
z jej bratem Karolem planowali w Osieku
jak mogą szlachciców z okolicy pozyskać
ponieważ Prusacy z Francuzami przegrali
Dąbrowski z Wybickim napisali z Berlina

wkraczając do Polski Bonaparte się pytał
czy już Polacy są godni stać się narodem
dowiedźmy że wiele oddamy dla ojczyzny

toasty za Polskę w Słupnej kończą wesele
w rejonie trójkąta trzech cesarzy już poza
zasięgiem austriackim sekwestracją objęto
majątki Lariszów i Sułkowskich przepadły
za plany propolskie i szkolenie oddziałów
ścigany Jan wierzył że dowódca francuski
wysłucha i wcieli przygraniczne oddziały
do armii zwycięskiej Napoleon przyłączył
a książę zapłacił ogłoszenia w Warszawie

fot. Maria Korusiewicz

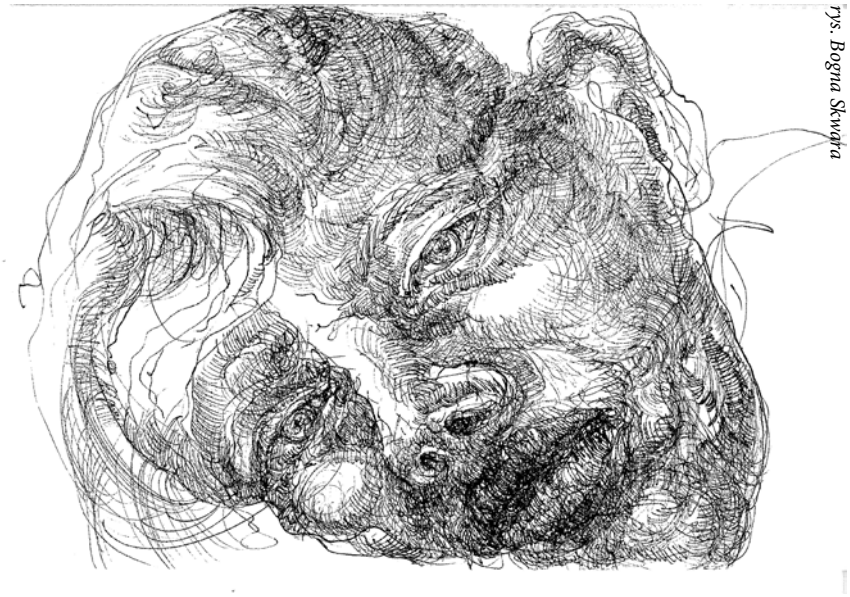

rys. Bogna Skwara

Najlepszy Wojownik nie zostawi tu męstwa
bez nagród kamraci przybywajcie z kopyta
żeby w moim oddziale wykazać patriotyzm

objąwszy dowództwo rezydował w pobliżu
na moście granicznym muzykanci odważni
grywali w Sławkowie patriotyczne kawałki
bo chcieli przyciągać ochotników do walki
lecz pruscy huzarzy Witowskiego ochoczo
rozbili pododdział w Mysłowicach dlatego
z pobliskich wsi chłopi porachunki zaczęli
a potem z aresztu domowego się wymknął
Sułkowski cynicznie obwiniany za zajścia

zgorzały stodoły i kilka domów w mieście
wiatr roznosił pierze po piwnicach rozbili
beczki wina i mieszkańców sponiewierali

w Paryżu wyjaśniał że afery wzniecają
niechętni zdobyczom rewolucji i Polski
pułkownik otrzyma inne ważne zadania
na służbie tajemnej rezydenta wywiadu
w obszarze cesarstwa pozyskani agenci
od kupców zbierali wiadomości istotne
o siłach cesarza przekazywał meldunki
ale niezadługo po rozgrywce wywiadu
przypomni cesarską obietnicę amnestii

wiem że jako zapłatę za me poświęcenie
mogę domagać się czego cesarz nikomu
nie odmówi i dotrzyma swoich obietnic

bo dzięki układom mógł uwolnić agentów
wywiadu zniweczył skryte plany zamachu
na Bonapartego szczere wsparcie nie liczył
nie przyjął awansu za to zyskał zwolnienie
ze służby francuskiej aby cesarz austriacki
zezwolił na powrót wygnańcowi z tułaczki
do kraju po śmierci ojca księcia bielskiego
choć został serdecznie powitany na zamku
boleśnie doświadczy nienawiści prostaków

czy już każdy może mnie obrażać bezkarnie
i dlaczego z ustawy prawo mnie nie chroni
czyż nie mogę się bronić jak książę i ojciec

szydercze donosy miały księcia pognębić
a kiedy urodził się syn Ludwik na wiosnę
popsuła mu radość pod Waterloo porażka
sąd z byle powodów na dwa lata go skaże
bez prawa powrotu bo podwójną grę Jana
archiwum wywiadu francuskiego wydało
i cesarz zamienił swoją łaskę w nienawiść
to ona przez resztę życia ścigać go będzie
i dwornie oświadczy po ostatniej ucieczce

pouczcie Sułkowskiego że przygotowałem
pokoiki twierdzy Theresienstadt do czasu
aż się przekonam o jego trwałej poprawie

książęce godności sąd cesarski odbierze
i prawo opieki nad synami choć księżna
dowiodła że męża kryminalnie sądzono
a potem więziono politycznie albowiem
nie tylko za życia dostał zakaz powrotu
i nawet przed jego inhumacją na aukcji
tutejszym sprzedano broń zegary i futra
ubrania bieliznę pościel srebra i nocnik
i zwłoki zostały w Terezinie na zawsze

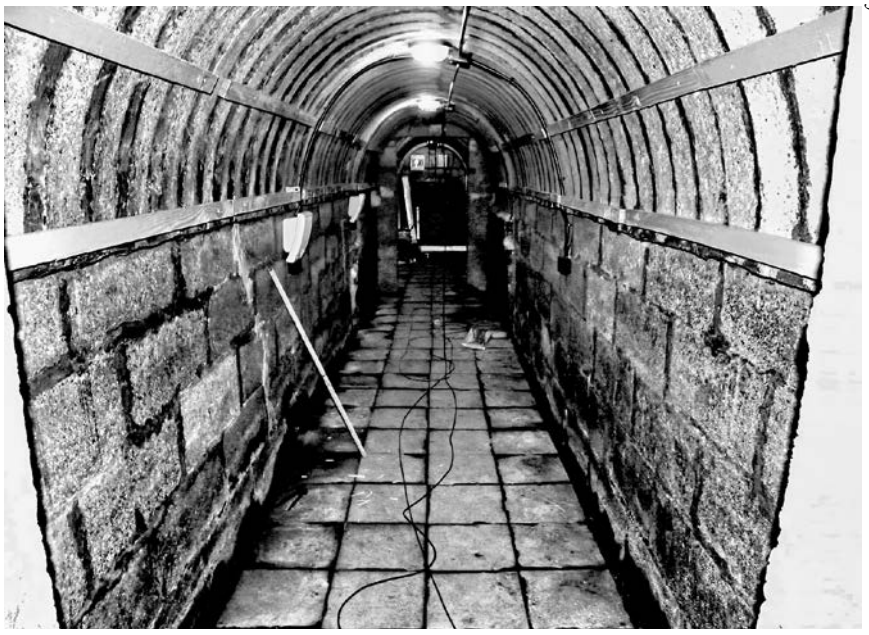

fot. Dariusz Pietrucha

Remont schronu.

Miechowice — ballada o dziurze w ziemi

DARIUSZ PIETRUCHA

Kiedyś zadzwonił do mnie Znajomy. Stwierdził, że przebywając na emeryturze chce coś zrobić. Pamiętam dokładnie jego słowa – chcę coś zrobić dla ludzi. Co prawda później czas pokazał, że było nieco inaczej, a Znajomy tak naprawdę robił to dla siebie, ale to już inna historia. Zaczęło się od tego telefonu i od dziury w ziemi.

Miejsce

Budynek starej szkoły. Ściany jeszcze pamiętały okres I wojny światowej. Cały budynek stał pusty – od kilku lat. Miechowiczanie otaczali ją sentymentem (Miechowice to obecnie dzielnica miasta Bytom, a kiedyś osobna gmina), bo wielu z nich chodziło do tej szkoły. Mieli związane z nią wspomnienia. Jeszcze inni pracowali w niej do samego końca, dopóki twarde reguły ekonomiczne, a także realia finansowe gminy Bytom nie zadecydowały, że szkołę (wówczas Gimnazjum nr 13) trzeba było zamknąć. Jednym z ostatnich pracowników szkoły był nasz znajomy Adam, który miał pewien dokument.

Może nie tyle dokument, co stary plan szkoły i jej najbliższego otoczenia. Na owym planie (rzucie szkoły) wyraźnie było widać podziemną strukturę ulokowaną na szkolnym budynku. Wystarczył krótki rekonesans w terenie. Faktycznie – część szkolnego podwórka była wyraźnie wyniesiona wyżej, niż samo boisko. Plan nie kłamał. Pod ziemią znajdował się schron przeciwlotniczy. Teraz jedynie trzeba było znaleźć do niego wejście i sprawdzić jego stan. Nawet uczniowie tej szkoły nie pamiętali, by coś takiego istniało. Ci starsi coś tam kojarzyli. Można się było domyśleć, że schron został całkowicie zasłonięty ziemią dopiero gdzieś w latach 70-tych czy też 80-tych.

Andrzej, od którego wszystko się zaczęło, znalazł sobie sojusznika w postaci Irka. Ten duet rozpoczął historię miechowickiego schronu.

Dreszcz emocji

Uwierzcie mi – tego nie zapomina się całe życie. To moment, gdy spod ziemi nagle spogląda na Was wejście do korytarza, który przez wiele lat był zasypany. Przeżyłem to już wiele razy, jednakże najbardziej zapamiętam odkrycie podziemi pod pomnikiem powstańczym na Górze św. Anny (2014), jak również odkopanie wejścia i wejście do schronu dowodzenia w Chorzowie (2008). Podobnie było w Miechowicach. Zaczęło się tradycyjnie. Przestudiowanie rzutu obiektu, sondażowe sprawdzenie gruntu i następnie koparka – delikatnie ściągająca kolejne warstwy ziemi. To nerwowy moment, bo nigdy nie wiadomo, co ziemia w sobie kryje, a po drugie można niechcący uszkodzić podziemne instalacje gazowe lub elektryczne.

Najpierw odkopano wejście do drugiej części schronu, która obecnie nie jest odrestaurowana i udostępniona do zwiedzania. Przeszukiwaliśmy miejsce zgodnie z planem. Dwie osoby w ubraniach ochronnych (Andrzej i Tomek) weszły do korytarza, który był zalany sięgająca do pasa wodą. Widziałem, jak szli krok za krokiem, ostrożnie stąpając po posadzce. Tutaj trzeba być czujnym — nigdy nie wiadomo, czy nie ma jakichś studzienek, głębokich otworów czy czegoś jeszcze. Trzeba uważać. Dość szybko okazało się, że korytarz kończy się zawałem. Koparka od góry dotarła do tego miejsca. To nie był koniec schronu – to był uszkodzony korytarz. Dalszej części schronu nie było…

To nie była pocieszająca myśl. Postanowiliśmy spróbować z drugiej strony. Stał tam duży i niezwykle ciężki betonowy stół do ping-ponga. Trzeba było go usunąć. Potem koparka wzięła się do roboty. Faktycznie, wejście było, ale nieco inaczej usytuowane, niż widniało to na planie. Ale co tam, najważniejsze, że było. Andrzej i Irek założyli na siebie ubrania robocze. Korytarz był całkowicie zalany brunatną, całkowicie nieprzejrzystą wodą. Pod nogami były różne przedmioty, które zostały w korytarzu, a później zalała je woda. Głównie śmieci. Stąpać trzeba było bardzo ostrożnie, by nie uszkodzić stroju, a także nie narazić się na urazy. To była najdłuższa część schronu, jednakże całkowicie zalana. Po krótkiej dyskusji moi Koledzy podjęli decyzję. Chcieli remontować ten obiekt. Trzeba było się tylko pozbyć z niego wody.

Nie wszystko jest proste

Pompy powinny zrobić swoje. Zasysały spore ilości wody i wyrzucały ją na zewnątrz. Po czasie jednak zorientowaliśmy się, że woda powraca. Albo inaczej – pojawia się nowa – tym razem całkiem czysta. Aby została wyssana „stara" woda, pompy naprawdę musiały się napracować. Co z tego, gdy po chwili korytarz znowu był zalewany, tym razem świeżą, „nową" wodą. Skąd ona się brała? Ktoś nam wytłumaczył, że w tym miejscu jest dość wysoki poziom wód gruntowych. Okazało się, że już Niemcy podczas budowy tego obiektu musieli mieć z tym problem, gdyż na całej długości korytarza odnaleźliśmy rurę drenażową. Jednakże stary system nie nadawał się już do niczego.

Dobrze, że dwaj Koledzy to emerytowani górnicy. Tam na dole woda i związane z nią uciążliwości są codziennością. Usiedli, pogadali i wymyślili. Potem wzięli się do roboty. Zdjęli uszkodzoną posadzkę obiektu i położyli nowe rury drenażowe. Ale to nie wszystko. Wykonali specjalny rodzaj studzienki (a wła-

ściwie dwa takie miejsca), który zbierał wodę z rur drenażowych. To jeszcze nie wszystko. Aby być całkowicie bezpiecznym, wody należało się ostatecznie pozbyć. Był tylko jeden sposób – podłączyć się do istniejącej nieopodal sieci kanalizacyjnej, gdzie można było „zrzucać" wodę ze schronu. Niemcy wymyślili to samo, tylko ich „zrzut" już nie pracował. Wykonano nowy i teraz wszystko jest w porządku. Co prawda czasami – szczególnie podczas większych ulew – woda pojawia się jeszcze tu i tam, ale to nie to, co kiedyś. Nawet nie ma co porównywać.

Gdyby nie poradzono sobie z „wodnym" problemem, ten schron nigdy nie stałby się tym, czym dzisiaj jest. Widzicie, jak to jest….

fot. Dariusz Pietrucha

Betonowa obudowa wejścia do schronu.

Sowiecki młot

Był styczeń 1945 r. Bardzo mroźny i zabójczy. Armia Czerwona wdarła się na obszar Górnego Śląska, którego Niemcy starali się bezskutecznie bronić. Brakowało do tego sprzętu, a w szczególności ludzi. Do Miechowic, które wtedy nazywały się Mechtal, zbliżały się sowieckie oddziały, których celem było miasto Bytom (wówczas Beuthen O/S). Gnał 118 Korpus Armijny (dowódca gen. mjr Aleksandr Fiedorowicz Naumow) z 21 Armii (dowódca gen. płk Dmitrij Nikołajewicz Gusiew). Tysiące zmarzniętych i rozwścieczonych żołnierzy, którym pozwolono na wszystko. W końcu zbliżali się do Germanii, terytorium znienawidzonego wroga. Wojna miała się niebawem zakończyć. Berlin był już całkiem blisko. Obiecano i zwycięstwo, zemstę i kobiety.

Sowiecka 21 Armia wzmocniona 31 Samodzielnym Korpusem Pancernym i 1 Samodzielnym Korpusem Kawalerii Gwardii miała całkowicie obejść Śląski Okręg Przemysłowy od północy i północnego zachodu i z tego kierunku, zaskakując Niemców, uderzyć na miasto Bytom. Walki o Miechowice rozpoczęły się w dniu 25 stycznia 1945 r. Sowieci uderzyli siłami 309 i 1025 pułków piechoty ze składu sowieckiej 291 Dywizji Piechoty (dowódca gen. mjr Wasilij Kazimierowicz Zajączkowski). Około godz. 15.00-16.00 zajęli pozycje w miechowickim lesie, naprzeciw budynku szkoły, w odległości około 400 m od miechowickiego kościoła Bożego Ciała. Od tego momentu, przez wiele, wiele godzin, Miechowice przechodziły z rąk do rąk. Padali kolejni zabici, płonęły kolejne pojazdy pancerne, a ranni błagali o pomoc. Rosła wzajemna nienawiść.

Ksiądz i jego parafianie

W dniu 25 stycznia Sowieci wymordowali ponad 30-stu mężczyzn z Miechowic. To nie byli żołnierze, a cywile, których złapano w mieszkaniach, w piwnicach czy na podwórkach. Tam ich też zamordowano. Po każdorazowym zdobyciu Miechowic sowieccy żołnierze rozbiegali się po domach zapominając o swoich zadaniach bojowych, a oficerowie nie byli w stanie opanować sytuacji. Żołnierze zaślepieni nienawiścią mordowali, rabowali i gwałcili. W dniu 26 stycznia znowu zginęło ok. 30 cywilów. Największe apogeum tej tragicznej historii to dzień 27 stycznia, gdy wymordowano ponad 200 osób. Dlaczego tak dużo? Podobno tego dnia w Miechowicach zginął sowiecki oficer, co jeszcze bardziej wzmogło ich wrogość. Przez trzy dni piekła ludzi mordowano wszędzie – w ich domach, na podwórkach, w piwnicach i na ulicach. Strzelano do nich, zabijano uderzeniem kolby karabinu, kłuto bagnetami.

Sztab 309 pułku piechoty ulokował się w poniemieckim bunkrze bojowym w pobliskich Stolarzowicach (niem. Stillenfeld). Tam też doprowadzano jeńców i aresztowanych cywilów. To była droga tylko w jedną stronę. Trafił tam pochodzący z Brzezin Śląskich (obecnie dzielnica Piekar Śląskich) Johannes Frenzel (1907-1945), katolicki ksiądz, a na co dzień wikary w parafii w Miechowicach. Sowieccy żołnierze wyciągnęli go z jednej z miechowickich piwnic, gdzie udzielał ostatniej posługi młodemu chłopakowi, którego dosięgły mordercze sowieckie pociski. Księdza zaprowadzono do stolarzowickiego bunkra, gdzie w dniu 26 stycznia 1945 r. został zamordowany. Ofiarami sowieckich żołnierzy były również kobiety i dzieci. Zginęły również osoby, które znalazły się w Miechowicach zupełnie przypadkowo.

Później, po przejściu linii frontu, pochowano ich na cmentarzu oraz w masowym grobie. Bez trumien – owiniętych w koce i w prześcieradła. Przez wiele, wiele lat owe wydarzenia były przemilczane. Nie chciano o tym pamiętać, a w dokumentach zatarto ślady zbrodni…

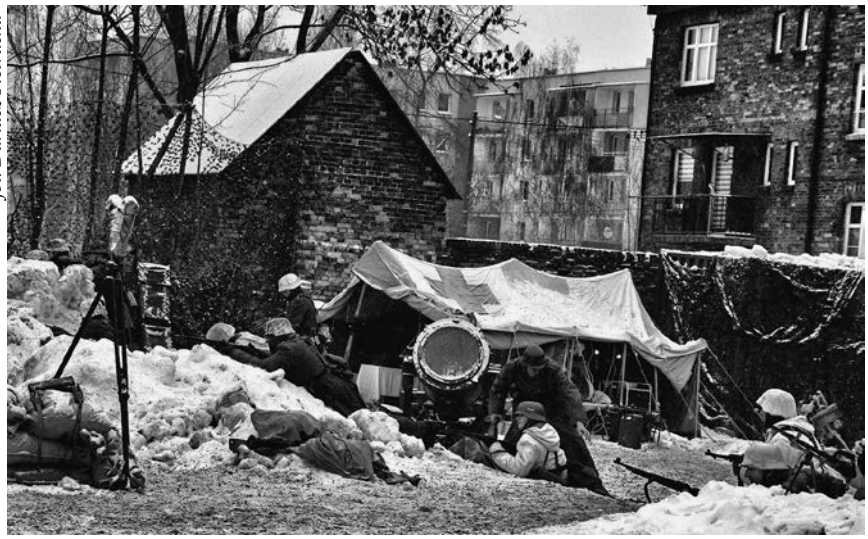

fot. Dariusz Pietrucha

Rekonstrukcja historyczna 2019.

Schron

To typowy niemiecki LSD (Luft-Schutz-Deckunsgraben), czyli szczelina przeciwlotnicza, którą Niemcy wybudowali na krótko przed wybuchem wojny lub w trakcie jej trwania dla dzieciaków z sąsiedniej szkoły. Konstrukcja ceglano-betonowa. Właściwie do budowy sklepienia użyto betonowych prefabrykatów, które pierwotnie miały chyba inne przeznaczenie. Powiem szczerze, wykonanie tego obiektu pozostawia wiele do życzenia. Ale cóż, zgodnie z rozkazem Hitlera trze-

fot. Dariusz Pietrucha

Schron typu Einmann.

ba było je budować, więc budowano. Wszelkimi możliwymi środkami i materiałami.

Po osuszeniu schronu i poradzeniu sobie z napływem wody obiekt został wyczyszczony i przygotowany do ekspozycji. Na tym etapie pomagał również Marek, a później pojawili się Ania i Jurek. Jako ostatni do ekipy dołączył Przemek, emerytowany żołnierz o historycznych zamiłowaniach. Wejście do obiektu udało się zabezpieczyć betonową obudową ufundowaną przez jedną z lokalnych firm. Schron miał być multimedialny. W takim poszliśmy kierunku. Oprócz paneli informacyjnych wypełnionych zdjęciami pojawiły się również obrazy i dźwięki, uzupełniające ekspozycję. Gdy wspominamy te pierwsze chwile, uśmiechamy się. Bo dzisiaj wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Schron został udostępniony do zwiedzania w 2016 r. Do dnia dzisiejszego odwiedziło go blisko 9 tysięcy osób, w tym wielu niezwykle egzotycznych gości. Chyba największym zdziwieniem była wycieczka z Bangladeszu. Schron opowiada historię „miechowickiej tragedii 1945" i jej ofiar. Jest w nim wiele pamiątek związanych z wielowiekową historią Miechowic i Śląska. Ale największym jego atutem jest multimedialne widowisko (tak to chyba należy określić), które uzmysławia każdemu zwiedzającemu tragizm wojny. Nie będę tego szerzej opisywał, bo to po prostu trzeba przeżyć. Przyjechać, wejść do schronu i słuchać. Tyle wystarczy. Obok schronu znajdują się uratowane przez moich Kolegów pozostałości po masowej mogile pomordowanych miechowiczan, ekshumowanych i wywiezionych w inne miejsce. Jest również pojedynczy schron typu „Einmann-bunker" uratowany z terenu nieistniejącej kopalni „Miechowice". Nieopodal stoi również prawdziwy unikat, potężny poniemiecki szlaban forteczny przywieziony z miejscowości Nędza pod Raciborzem. Kompletny, niezwykle ciekawy i naprawdę unikalny.

Rekonstrukcja

To dzieło Irka. Nikt nie ma co do tego wątpliwości. W 2017 r., w styczniu, w kolejną rocznicę tych tragicznych wydarzeń, po raz pierwszy zorganizował inscenizację historyczną przedstawiająca walki o Miechowice w 1945 r. i tragedię ludności cywilnej. Było skromnie, ale ciekawie. Ci, którzy to wiedzieli, na pewno zapamiętali na długie lata. W 2018 r. przyszedł czas na drugą edycję. Tym razem było więcej rekonstruktorów, więcej pomysłów, więcej sprzętu i więcej ludzi. Wojewoda śląski objął całą imprezę swoim patronatem. Inscenizacja rozwijała się z edycji na edycję. W 2019 r. było już naprawdę „bogato". Ogromne zaangażowanie blisko 200 rekonstruktorów i osób obsługujących imprezę, bardzo wielu widzów, dla których został zainstalowany specjalny telebim, spora grupa bardzo znaczących gości – to robiło wrażenie. Oczywiście po zakończeniu trzeciej edycji „Walk o Miechowice 1945" od razu zaczęto planować czwartą edycję. Jestem pewien, że do niej dojdzie i że będzie spektakularna. Zresztą, to już niedługo; styczeń 2020 zbliża się. Sami możecie się przekonać.

Na czym polega fenomen tej inscenizacji? To naprawdę trudno wytłumaczyć. Teren nie jest łatwy. To właściwie dawne boisko szkolne. Fakt, budynek szkoły do dzisiaj nosi na sobie wiele ran z tego okresu. Namacalny świadek tamtych wydarzeń. Miejsca dla publiczności jest naprawdę niewiele. Trudna pora roku. Pomimo tych wszystkich przeciwności inscenizacja się udaje, a widzowie są pod jej ogromnym wrażeniem. Myślę, że po pierwsze to doskonałe zdolności organizacyjne Irka, po drugie poświęcenie rekonstruktorów, a po trzecie dobra aura, która towarzyszy każdej edycji.

ProFort Centrum i Ściana Pamięci

Tego chyba nikt się na początku nie spodziewał. Budynek szkoły, który w dawnych czasach był przyczyną powstania schronu, od wielu lat stał pusty. Gimnazjum, które w nim funkcjonowało, zlikwidowano już dawno temu. No cóż, w Bytomiu takich obiektów nie brakuje. Na szczęście budynek był ogrzewany i dozorowany. Ogólnie cel był prosty. Sprzedać. Kilka przetargów. Bez skutku. Cena leciała coraz niżej w dół. W końcu stała się śmiesznie niska, więc wiadomo było, że chętny się znajdzie. Chodziły słuchy o placówce wychowawczej, o hostelu dla ukraińskich pracowników i wiele innych plotek. Tak czy inaczej mieszkańcy okolicznych domów nie mieli się z czego cieszyć.

Gdy budynek miał być ostatecznie sprzedany, postanowiliśmy walczyć. Dzięki wsparciu życzliwych nam ludzi udało się. W czerwcu 2018 r. przejęliśmy ponad 100-letni budynek dawnej szkoły i przekształciliśmy go w naszą centralę, czyli w ProFort Centrum. Spora część obiektu musiała zostać wynajęta komercyjnie, by pokryć koszty jego utrzymania. Z reszty urządziliśmy różnego typu sale wystawowe, prezentujące historię tego miejsca i nie tylko. Wszystko z myślą o młodym pokoleniu, które potrzebuje takich miejsc, by poznać historię własnej ziemi.

W 2018 r. na ścianie ProFort Centrum, która w styczniu 1945 r. patrzyła swoimi oknami w stronę nadchodzących od strony stolarzowickiego lasu Sowietów, ulokowaliśmy Ścianę Pamięci. Cóż to takiego? Naszym założeniem było, że kolejnymi tablicami będziemy tam upamiętniać osoby, które były związane z Bytomiem czy też Śląskiem, a w naszej historii z różnych przyczyn zostały zapomniane. Przypadkowo lub celowo. Oczywiście mamy zamiar uzupełniać tablice etapami. W 2018 r. umieściliśmy tam dwóch Trägerów, ojca i syna, związanych z Bytomiem, których losy splotły się z tajną niemiecką bazą na Peenemünde i straszliwymi rakietami V-2. Umieściliśmy tam również księdza Huberta Misiudę, mieszkańca Tarnowskich Gór, bohaterskiego spadochroniarza Sosabowskiego, który w 1944 r. zginął pod Arnhem. W 2020 r. chcielibyśmy tam umieścić księdza Johannesa Frenzla i tablice upamiętniającą blisko 400 ofiar styczniowej masakry. Mam nadzieję, że się uda.

Wiecie, co w tym wszystkim jest najcenniejsze? Stworzenie niewielkiej społeczności osób związanych z tym miejscem. Fakt, związanych różnie, bo jednych zarobkowo, innych emocjonalnie, a jeszcze na te dwa sposoby. Ta społeczność funkcjonuje. Tworzy charakter tego miejsca, który jest niecodzienny. To wie każdy, kto miał okazję nas tam odwiedzić. To jest największy skarb ProFort Centrum.

A wszystko zaczęło się od zawilgotniałej dziury w ziemi… ■

Dariusz Pietrucha – historyk z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Śląskiego, wieloletni nauczyciel historii, od urodzenia związany ze Śląskiem, miłośnik i badacz historii regionu, autor wielu książek i artykułów, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

fot. Dariusz Pietrucha

Rekonstrukcja historyczna 2019.

fot. Dariusz Pietrucha

Szlaban forteczny.

fot. Julia Montewska

Śląskie tajemnice cz. 20

Pałac, w którym bywał Goethe

JULIA MONTEWSKA

fot. Julia Montewska

Jeśli szukalibyśmy pałaców, jakie mistrzowie pióra opisują w swych baśniach, śmiało można powiedzieć, że pałac w Bagieńcu jest pierwowzorem którejś z bajkowych opowieści. Wybudowano go na granitowej skale otoczonej fosą, i początkowo była to wieża mieszkalna wzniesiona przez rodzinę von Rohnau, jednak w późniejszym okresie wraz ze zmieniającymi się właścicielami zmieniało się także i oblicze obiektu. I tak renesansowa wieża stała się barokową rezydencją by na początku XIX wieku przybrać charakter neorenesansowy. Dziś utopiona w starym drzewostanie, połączona z drogą kamiennym mostem jest niedostępna. To własność prywatna, którą można oglądać jedynie z daleka. Od wielu lat pozostaje zamknięta, widać i ona nie ma szczęścia do właścicieli.

Jednak jak to w bajkach bywa, szczęścia tego najwyraźniej nie miała od samego początku, nawet hrabiowie von Zedlitz zamieszkiwali w nim okresowo, ponoć powodem tego były problemy z ogrzewaniem i okresowym brakiem wody pitnej. Jednak nie było to widać aż tak wielką przeszkodą, ponieważ pałac stale był upiększany. Wyjątkowość tego miejsca docenił Johann Wolfgang Goethe, który odwiedził Bagieniec w 1790 roku, dla upamiętnienia wizyty wielkiego romantyka w Bagieńcu, co roku w czerwcu organizowane są tutaj Dni Goethego. Nie zabrakło w nim też innych wielkich ludzi tamtej epoki; Gotthold Lessing – niemiecki estetyk, dramaturg, pisarz i poeta, również był gościem pałacu w Bagieńcu.

Pałac to budowla trójkondygnacyjna wzniesiona na planie prostokąta nakryta dachem czterospadowym z wieżyczką, na której umieszczono zegar, jego wskazówki zatrzymały się w monecie, gdy rezydencja zaczęła popadać w ruinę. Ostatnim przedwojennym właścicielem był Carl August von Zedlitz-Leipe. Pałac po zakończeniu działań wojennych został obrabowany i zaczął popadać w ruinę. Pomimo to nieuchwytne piękno i charakter budowli przyciągały nadal możnych naszego świata, choć żaden z nich nie zagrzał tu na długo miejsca. Zmieniali się też bogaci właściciele, wśród których znalazł się Florian Laude — brat Niki Laudy; słynnego kierowcy Formuły I.

Dziś zza wysokich drzew rosnących na wyspie widać niewiele, nawet obiektyw aparatu gubi się w gęstym drzewostanie. Dostrzec można drewniane rusztowanie, które okala obiekt i w promieniach słońca dach, pokryty łupkiem. Być może to początek nowego życia pałacu — a może inwestycja, która wiele innych, jej podobnych, nie dojdzie do skutku i obiekt ponownie popadnie w ruinę.

W Bagieńcu czas płynie wolniej, spacerując wzdłuż fosy okalającej pałac czuć wszędobylską melancholię, jednak nieco dalej na obrzeżach wsi jest miejsce mniej romantyczne, zapomniane i przepełnione smutkiem. To stara ewangelicka nekropolia porośnięta bluszczem i okolona metalowym płotem. W centralnej części kaplica z greckimi symbolami alfy i omegi, do której prowadzi lipowa aleja. Wewnątrz na ścianie, na której prawdopodobnie znajdował się ołtarz widnieją już dziś nieczytelne polichromie. Wybite oczodoły okien zakończone ostrołukami świadczą o tym, że coś w tym miejscu skończyło się bezpowrotnie.

Nekropolia jest niewielka, większość przewróconych płyt nagrobnych tonie w morzu wszechobecnego bluszczu. Nawet ogrodzone miejsce pochówku rodziny von Zedlitz wchłonięte zostało przez wydawać by się mogło niekończące się pędy tej rośliny. Nie wiadomo, kogo z tego rodu pochowano w grobowcu. Wejścia do podziemnej krypty strzeże metalowe wypukłe wieko, które pozostaje otwarte, a do niszy grobowej można wejść. Prowadzą do niej dość ciasne strome schody. Niestety wnętrze zostało splądrowane dawno temu, pozostał smutek i echo po ludziach, których szczątki tu spoczęły. Być może to tu znalazł kres swojej ziemskiej wędrówki baron Hans von Zedlitz, który był właścicielem folwarku w Bagieńcu, nie jest to jednak potwierdzona informacja, a raczej obiekt spekulacji i domniemywań. Ludzka pamięć pamięć także i w tym wypadku bywa ulotna i krucha; szybko gaśnie nie podsycana przez kolejne pokolenia. ■

fot. Julia Montewska

Julia Montewska — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków Dolnego Śląska „Vestigium", regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca".

Plecionka – opowieść o Załężu

GINTER PIERONCZYK

(…) Prace – prowadzone od roku 1880 przy głębieniu szybów pilotażowych Walter i Recke kopalni Kleofas – napotykały na coraz większe trudności. Przy schodzeniu w głąb zawodnionego gruntu napór wody stawał się coraz większy, zmuszając budowniczych do zmiany technologii drążenia szybów. Obudowę drewnianą zastąpiono szczelną obudową stalową, utworzoną z metalowych pierścieni zwanych tubingami. Elementy tubingów składano na dnie szybu, a następnie za pomocą potężnych pras wciskano je w zawodniony górotwór. W celu utrzymania odpowiedniego ciśnienia za tubingami trzeba było okresowo wstrzymywać drążenie i spuszczać wodę do szybu. Dopływ wody był tak duży, że do jej odpompowania trzeba było sprowadzić nowoczesne i bardzo wydajne pompy. Spuszczanie wody do szybu powodowało obniżanie się poziomu wód gruntowych i wysychanie okolicznych studni. W ramach rekompensaty kopalnia wybudowała sieć rurociągów, którymi zaopatrywała okoliczne gospodarstwa w wodę pitną, pozyskaną bezpośrednio z szybu Walter.

Wody było tak dużo, że po wybudowaniu przepompowni za przejazdem kolejowym (przy dzisiejszej ul. Goeppert-Mayer) od 1888 roku zaopatrywano w nią całe Katowice. W roku 1886, po sześciu latach od rozpoczęcia głębienia kopalni Kleofas, z poziomu 162 m na powierzchnię wyjechał pierwszy węgiel. Po wydrążeniu szybu Frankenberg (od 1895) kopalnia Kleofas wydobywała ponad 400.000 ton węgla rocznie przy zatrudnieniu około 1.500 pracowników.

Budowa załęskiego kościoła

Po uruchomieniu kopalni Kleofas palącym problemem stała się budowa załęskiego kościoła, gdyż coraz więcej wiernych zamiast do właściwego, odległego o 4 km kościoła parafialnego w Bogucicach, uczęszczało na nabożeństwa do nowo wybudowanych, bliższych kościołów w Katowicach, Dębie czy Wielkich Hajdukach.

W tej sprawie zarząd kościelny parafii bogucickiej, obradując 1 grudnia 1895 pod przewodnictwem ks. proboszcza Ludwiga Skowronka, podjął uchwałę następującej treści.

Już przed 45 laty odbyły się pertraktacje za zgodą śp. Księcia Biskupa dr Henryka Fōrstera w przedmiocie budowy kościoła w Załężu, a to między ówczesnym proboszczem Leopoldem Markiewką, a ówczesnym właścicielem dóbr załęskich Georges'em. Pertraktacje wówczas nie doprowadziły do żadnego wyniku.

W obecnej chwili jednak budowa kościoła w Załężu stała się nieodzowną koniecznością. Wieś, zbudowana zwarcie po obu stronach ulicy względnie szosy prowadzącej z Katowic do Świętochłowic liczy razem z Hałdą Załęską już teraz 9.000 katolików. Do tego dochodzi, że w następnych latach – w związku z rozbudową kopalni Kleofas – znowu liczyć się należy ze wzrostem zatrudnienia, które wyniesie dalszych kilka tysięcy mieszkańców (...)

W grudniu ks. Ludwig Skowronek powyższą uchwałę dostarczył do kurii książęco-biskupiej we Wrocławiu wraz z informacją, że już rok wcześniej, za stosunkowo niską cenę 25.000 marek, zakupił parcelę wielkości 13 morgów (3,3 ha) z przeznaczeniem pod budowę kościoła, plebanii i cmentarza. W księgach parafialnych zapisano również, że fundatorami gruntów pod budowę kościoła byli: Stanisław i Maria Chwałek, Franciszek Kołodziej, Józef Langer, Jan Skrzypczyk, Marianna Bernacka i Agnieszka Wilczek. W uzasadnieniu ks. Ludwig Skowronek nie krył, że zdania załężan są w tej sprawie podzielone. Jedni życzą sobie przydzielenia parafii załęskiej do parafii w Dębie, inni zaś chcą Załęże podzielić na dwie części. Część znajdującą się bliżej Katowic przydzielić do parafii katowickiej, a drugą do parafii Dębskiej. Jednak najrozsądniejsi i najbardziej ofiarni mieszkańcy głosują za własną parafią.

27 grudnia 1895 wrocławski kardynał Kopp zaakceptował propozycje ks. Ludwiga Skowronka i przyrzekł rozpoczęte dzieło popierać w każdy możliwy sposób, jednak decydujący głos w sprawie budowy świątyni zostawił mieszkańcom Załęża. Dla rozstrzygnięcia tej kwestii postanowiono zwołać zebranie załęskich katolików na 19 stycznia 1896.

W wyznaczonym terminie na zebranie przybyło 452 mieszkańców Załęża. Prowadzącą zebranie została miejscowa restauratorka, natomiast na przewodniczącego wybrano ks. proboszcza Ludwiga Skowronka, który na protokolanta wyznaczył kierownika miejscowej szkoły, pana Benczka. Nad prawidłowym przebiegiem zebrania czuwali: naczelnik okręgowego urzędu – Jeansch, naczelnik gminy Załęże – Józef Wolny, chałupnik Pardygoła, kowal Albin Jelonek, „właściciel realności" – Błażej Wolny, wycużnik Mamlas, chałupnik Jacek Sapa, starszy górnik Mikołaj Wieczorek, kolejny ,,właściciel realności" – Józef Papoń, robotnik Florian Pasiurek, mistrz rzeźniczy Kałuża, kupiec Jan Stanisławski, poborca gminny Kopp, budowniczy Stanisław Piwowarczyk oraz piekarz Jochimski. Jak widać, rada była bardzo demokratyczna. W wyniku głosowania propozycję budowy kościoła poparło 430 załężan, przeciw było 22.

Katastrofa w kopalni Kleofas

W nocy z 3 na 4 marca 1896 roku niebo nad kopalnią Kleofas rozświetliła łuna pożaru, wzbudzając grozę w sercach załężan. Na wpół ubrani ludzie pośpiesznie

fot. arch. red.

Gliwicka 200. Pierwsze załęskie domy sypialne (Schlafhause). Stan obecny.

wybiegali z domów i kierowali się w stronę łuny, którą widać było nad kopalnią.

Mimo ofiarności licznych zastępów ratowniczych, przybyłych z pomocą z okolicznych kopalń, życie w pożarze straciło ponad 100 górników, niektórzy mówili, że 104, a jeszcze inni, że 120. Nikt nie był w stanie dokładnie policzyć ofiar, ponieważ oprócz stałych pracowników w kopalni dorywczo zatrudniano górników pozostających poza ewidencją. Po dniówce wypłacano ich z tak zwanej „westy" czyli dawano im pieniądze „z kieszeni kamizelki" do ręki, bez jakiegokolwiek pokwitowania.

Tłum przed kopalnią gęstniał z każdą chwilą, kobiety lamentowały, a co bardziej krewcy zamierzali pójść na kopalnię, aby osobiście wymierzyć karę tym, którzy dopuścili do powstania tej tragedii. Lamenty ucichły dopiero w niedzielę siódmego marca, kiedy na kopalnię przybył proboszcz katowickiej parafii mariackiej ks. dziekan dr Victor Schmidt, aby wspólnie z zebranymi pomodlić się nad trumnami przed wyprowadzeniem ich na cmentarz. Po zakończeniu modłów uformowały się trzy główne kolumny żałobników, pierwsza z 13 trumnami udała się w kierunku Królewskiej Huty, druga z 42 trumnami udała się na cmentarz do Dębu, a trzecia z 40 trumnami podążyła na cmentarz do Bogucic. Kolumnę zdążającą do Bogucic prowadził ks. Ludwig Skowronek, zaś Generalny Dyrektor firmy *Georg von Giesche's Erben*, Radca Górniczy Fryderyk Bernhardi, podążał z kolumną kierującą się na cmentarz w Dębie. Przez całą drogę padał rzęsisty deszcz.

W czasie kiedy ludzie zebrani na cmentarzu w Bogucicach w skupieniu słuchali pocieszających słów ks. Ludwiga Skowronka, ten w pewnym momencie kazał im podnieść prawą rękę i powtarzać za nim następujące słowa:

Dla uczczenia drogiej pamięci naszych kochanych współbraci świętej pamięci, co poginęli dnia trzeciego marca roku bieżącego na kopalni Kleofas – więcej jeszcze: dla przebłagania gniewu boskiego – obiecujemy Panu Bogu Najwyższemu stawić kościół w Załężu i na ten cel ofiary według naszej możliwości przynosić, aby ów kościół służył Panu Bogu na chwałę, nam i drogim zmarłym naszym na korzyść zbawienną. Amen.

To właśnie dzięki tym słowom nasz kościół pod wezwaniem św. Józefa określany jest mianem kościoła wotywnego, Bogu uroczyście ślubowanego. W tym samym czasie ludzie zebrani na cmentarzu w Dębie w cichym bólu żegnali swoich bliskich.

Przyczyny pożaru

Dochodzenie w sprawie ustalenia przyczyn katastrofy przyniosło następujące ustalenia. 3 marca na zmianie nocnej pięciu pracowników oddziału maszynowego otrzymało polecenie zlikwidowania nieszczelności rurociągu parowego w szybie Frankenberg (Fortuna I) na poziomie 162 m. Szyb Frankenberg zgłębiony był wyłącznie pomiędzy 120 a 460 m głębokości; od 120 m z powierzchnią łączył go jedynie otwór pilotażowy. Jeden z tych pracowników, Karol Kott, przesłany został do obsługi pompy odwadniającej, zainstalowanej we wnęce na podszybiu szybu Frankenberg. Kott, idąc do swego stanowiska pracy, ukradł pojemnik z olejem (naftą?), którym postanowił zasilić swoją lampę. Podczas przelewania oleju do lampy Kott przy okazji oblał lampę i drewniany podest, na którym znajdował się stos desek.

Zapalona lampa wyślizgnęła mu się z rąk i, upadając, podpaliła rozlany olej, od którego błyskawicznie zajęły się deski nagromadzone na pomoście. Ogień rozprzestrzeniał się tak szybko, że Kott nie potrafił go ugasić. O pożarze powiadomił kolegów pracujących w szybie przy uszczelnianiu rurociągu i razem z nimi wycofał się z poziomu 162 m na poziom 125 m. W tym czasie powietrze szybem Frankenberg schodziło w dół na poziom 444 m. Z poziomu 125 m uciekający przedostali się przecinką na poziom 175 m, skąd szybem Walter wyjechali na powierzchnię, zostawiając za sobą otwarte tamy wentylacyjne. Dopiero po wyjeździe na powierzchnię zgłosili dyspozytorowi kopalni o pożarze.

Tymczasem na skutek otwartych tam wentylacyjnych – na poziomie 125 m nastąpiło odwrócenie prądu powietrza i dymy pożarowe szybem Frankenberg kierowały się w kierunku wyrobisk przodkowych, w których pracowali górnicy. O godzinie 24.00 o tym, że odwrócił się prąd powietrza, meldowali pracownicy zatrudnieni w sąsiednim szybie Recke. Okazało się, że od gorących gazów pożarowych zapaliła się drewniana obudowa szybu Frankenberg. Początkowo dymy wędrowały szybem Frankenberg w dół, jednak nie doszły do pola wydobywczego przy szybie Recke, ponieważ coraz wyższa temperatura palącej się obudowy szybu spowodowała ponowne odwrócenie się prądu powietrza i gorące dymy pożarowe poszły tą samą przecinką, którą poprzednio ewakuowali się uciekinierzy. Po spaleniu otwartych tam wentylacyjnych gorące dymy skierowały się do szybu wdechowego Walter, gdzie zimny prąd powietrza porwał je w dół i zaczął rozprowadzać w dwóch kierunkach.

Wtedy to po raz pierwszy gazy i dymy pożarowe dostały się do przodków wydobywczych. Nie trwało to jednak długo, bo powtórzyła się sytuacja z szybu Frankenberg. W szybie Walter zapaliła się drewniana obudowa, podgrzewając powietrze do tego stopnia, że nastąpiła rewersja (odwrócenie się prądu powietrza). W związku z tym zaczadzenie wyrobisk w pokładzie „Kleofas" trwało od 20 do 40 minut, po czym odwrócone powietrze „zabrało" dymy szybem Walter na poziom 86 m oraz do wschodniej części pola wschodniego II. Wkrótce szybem Walter zaczęły wydobywać się potężne kłęby dymu i gazów pożarowych wraz z płomieniami, co już widzieli załężanie, którzy jako pierwsi dobiegli na kopalnię.

Pamięć

Tablice z nazwiskami ofiar tragedii do końca istnienia kopalni Kleofas (2004) znajdowały się na ścianie „starej" cechowni, po czym przeniesione zostały do załęskiego kościoła. Tam umieszczono je obok ołtarza ufundowanego w 1900 roku przez górników Kleofasa. Obraz św. Barbary, który znajdował się w „nowej" cechowni powędrował do kościoła na osiedlu Witosa, a kolejny obraz św. Barbary z kopalnianej stacji ratownictwa górniczego przekazano do Muzeum Śląskiego w Katowicach. W ten sposób potomni będą mogli jeszcze długo podziwiać pozostałości kopalni Kleofas, które – niczym organy po przeszczepie – otrzymały w tych miejscach nowe życie.

W sierpniu 1896 parafia w Bogucicach otrzymała dekret erygujący nową parafię w Załężu, z dniem jego publicznego ogłoszenia na 1 października. Dlatego ten dzień należy traktować jako oficjalną datę powstania załęskiej parafii. Wcześniej (24 sierpnia) ks. Ludwig Skowronek, pozostając nadal proboszczem w Bogucicach, od dnia 17 września 1896 roku został mianowany przez biskupa kuratusem nowej parafii. Mianowanie otrzymał tak wcześnie, aby można było poczynić wszelkie niezbędne przygotowania, dotyczące między innymi prowadzenia od 1 października 1896 roku osobnych ksiąg metrykalnych.

Ludwik Musioł tak opisał ten etap.

Na zewnątrz przeto niewiele się zmieniło przez formalne utworzenie Parafii Załęskiej. Parafianie z Załęża nadal chodzili na nabożeństwa do Bogucic i w tamtejszym kościele załatwiali kościelne obrzędy, a także swoich umarłych nadal chowali na Cmentarzu Boguckim. Ale takie ustanowienie parafii – choć jeszcze kościoła nie było – znakomicie wpłynęło na ofiarność ludu, który teraz widział i wiedział, że już tylko od niego zależało, aby kościół rychło stanął. ■

Plecionka to tytuł piątej książki Przyjaciela Załęża – Gintera Pierończyka. Publikowane fragmenty pochodzą z rozdziału „Głębinowa kopalnia Kleofas (Cons. Cleophas Grube) spółki Georg von Giesche's Erben przyczynia się do rozwoju Załęża". Książka ukaże się niebawem staraniem Klubu Twórców Górnośląskich KARASOL.

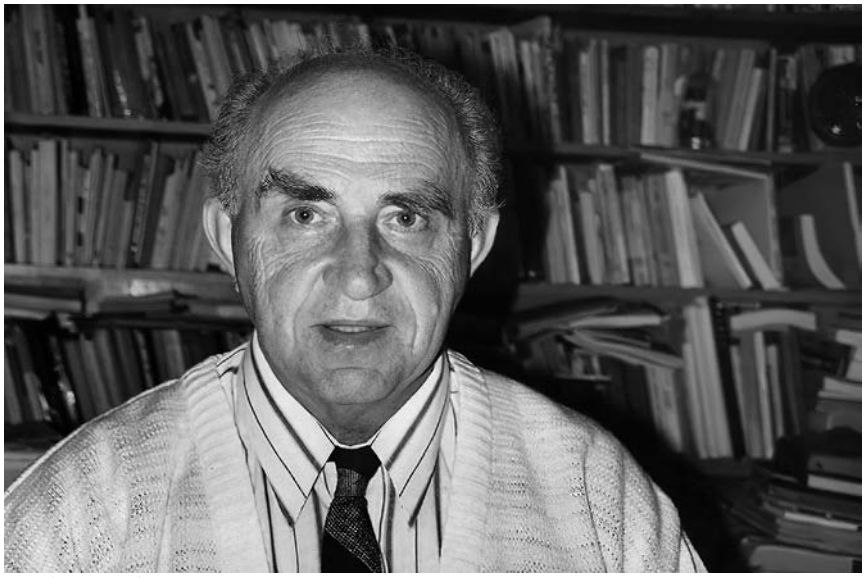

Z archiwum rodzinnego

Śląsk utracony

O poezji Floriana Śmiei

KATARZYNA NIESPOREK

Centrum – peryferie

Florian Śmieja – wskazywał Marian Kisiel – to twórca o „powieściowym niemal życiorysie". Jest on „splotem wielu radości i traum", w którym czas – jednocześnie – „zakorzenia w miejscu rodzinnym i wykorzenia", w którym wielojęzyczność „harmonijnie współistnieje i z sobą walczy", i w którym wreszcie szczęście zostaje zarazem odnalezione i utracone. Historia (druga wojna światowa) zaprowadziła poetę przez Niemcy, Belgię, Anglię, Szkocję do Kanady. Swoją poezję zaczął tworzyć już na obczyźnie (zadebiutował w 1953 roku w Londynie tomem *Czuwanie u drzwi*). Będące głosem z oddali, zza oceanu wiersze są – jak pisał Zbigniew Andres – zakorzenione „w realiach polskich, szczególnie w konkretach społecznych, obyczajowych, kulturowych jego stron rodzinnych". Autor *Późnych notacji* chętnie bowiem przywołuje w utworach swoje miejsce urodzenia (Zabrze-Kończyce), jak również inne miejscowości, takie jak: Opole, Wrocław czy Katowice. Ich obrazy wraz ze szczegółami topograficznymi nie tylko zapadły w pamięci twórcy, ale wywołują w nim uczucia nostalgii. „Śmieja – pisał Andres – sięga do okresu własnego dzieciństwa, także bardzo wczesnego. Wyławia różne fakty, szczegóły, te, które potrafiła zarejestrować niezawodna, wyczulona i świeża, bo bez jakichkolwiek obciążeń, pamięć dziecięca. Wiersz zagęszcza się faktami, nieraz strzępami faktów wzbogaconymi wytworami wyobraźni, a więc obrazami «rzeczywistymi i możliwymi»".

Florian Śmieja jest poetą nienoszącym w sobie kompleksu prowincji (mógłby on być spowodowany doświadczoną biedą, górniczym czy robotniczym charakterem regionu, z którego się wywodzi). Przeciwnie: Śląsk staje się „tam", zatem tym, co – jak definiował Eugeniusz Czaplejewicz – „będzie zawsze stałe i nieruchome, a także – ściśle określone, konkretne, niezastępowalne". „Czarny kraj" to dla poety główny punkt odniesienia. Na emigracji region ten stanowi centrum. Wokół Śląska „obracają się wszystkie możliwe Tu" – miejsca „przypadkowe, ruchome (ruchliwe) i zmienne". W odniesieniu do tak rozumianego centrum stają się one peryferiami – przestrzeniami, w których dzieciństwo, historia, polskość czy uzewnętrzniająca swoją odmienność śląska kultura, nigdy prawdziwie się nie uobecnią. Śmieja, przemawiając z perspektywy peryferii, przeciwstawia swojskość obcości, prostotę chaosowi, tęsknotę nowoczesności, wiejskość miejskości. Odczuwany „tu" brak powoduje nieustanne nakierowanie uwagi poety na „tam"/centrum.

Świat – region

W wierszach autora *Czuwania u drzwi* ważne są zarówno Śląsk, jak i miejsca, w których bywał czy mieszkał. Poeta, stawiając w centrum konkretny region, jako emigrant nie może negować wartości innych przestrzeni. Te bowiem były dla niego otwarte, przyjmowały go i dawały mu schronienie, zastępowały ojczyznę, stawały się – posługując się terminologią Małgorzaty Czermińskiej – „miejscami przesuniętymi", w których osoba z zewnątrz osiedla się na dłużej, nie zapominając jednak o przestrzeni jedynej, utraconej. W wierszu *Przesłanie* Śmieja napisał: „Świat może być ojczyzną/i nieraz nią bywa/lecz matka jest jedna/i święta ziemia/która cię zrodziła./Dla innych Śląsk to szansa/ziemia obiecana/szczebel do sławy/ja go utraciłem/dlatego się smucę". Dwie główne myśli zawarte w tym utworze odnoszą się do świata i regionu. Autor *Wśród swoich*, pisząc o pierwszym, nie podaje konkretnych miejsc, które miałyby się na niego składać. „Światem" zostają określone przez Śmieję przestrzenie niebędące Śląskiem. Można związać się z nimi bardziej lub mniej, zadomowić się w nich bądź je odrzucić i szukać innych, odpowiedniejszych. Inaczej jest z ziemią macierzną. Mieści się ona w konkretnym regionie, z którym człowiek – chcąc, nie chcąc – zostaje związany przez urodzenie. Poeta podkreśla nierozerwalność, siłę tych więzi. Poucza, że ziemię, która wydała na świat człowieka, należy sakralizować, darzyć szacunkiem, jak matkę. Bożena Szałasta-Rogowska zanotowała: „ […] w *Przesłaniu* oczywista jednostkowość matki, zostaje opatrzona znakiem dodatnim i przetransponowana na «świętą ziemię», czyli na prywatną, małą ojczyznę – nazwany w wierszu wprost Śląsk. […] Kiedy mowa o ziemi śląskiej, ambiwalentny i skomplikowany stosunek do polskości ustępuje miejsca całkowitemu, usankcjonowanemu rodzinną tradycją i takąż lojalnością, synowskiemu wręcz przywiązaniu….". Śmieja eksponuje w wierszu wartość swojego regionu. Nie jest on ważny tylko dla niego. Śląsk to przede wszystkim miejsce, w którym przybywający tutaj ludzie, ze względu na jego industrialny charakter, wydobywczy przemysł, upatrują w nim swojej przyszłości. Staje się on celem dla poszukujących lepszego bytu, pracy w kopalni, nowego domu, drugiej ojczyzny – zatem wszystkim tym, co Śmieja miał nadzieję odnaleźć później w Kanadzie.

Czarny Śląsk

Autor *Bezroku* w swojej poezji przedstawia obrazy „czarnego Śląska" oraz Śląska Opolskiego. Pierwszy obejmuje miejsce urodzenia poety – Zabrze-Kończyce oraz pobliskie Katowice, drugi strony pochodzenia jego dziadków, w których także spędzał swoje dzieciństwo – Siołkowice, ale także Opole i okolice. O ile te przywodzą na myśl arkadię, o tyle inaczej zostaje opisana czarna „ziemia macierzna" Śmiei. Autor *Powikłanych ścieżek*, pomimo sakralizacji w *Przesłaniu* „ziemi-matki", docenieniu jej wartości i wyrażenia emigracyjnej tęsknoty za nią, w rzeczywistości jej nie idealizuje. Przeciwnie:

wie, że „czarna kraina", w której przyszło mu się urodzić, jest pełna mankamentów. Poeta przedstawia ją szczegółowo w utworze *Mój Śląsk*: „Chodniki wzdęte od konwulsji ziemi/spękane mury, czarne ogrodzenia/twarze jak niebo, szare, nieme oczy/las rachityczny, zakurzone trawy./Gdy literaci piszą, że Śląsk śpiewa/mają na myśli szopienickie pola/trujące chmury, umarły krajobraz/łoskot żelastwa stępiający uszy/hałdy wyplutych niestrawności szybów/syczący płomień, co źrenicę rani/osmali brew, dusi we wnętrzu, bury/dym zwiastujący potęgę na niebie/a raka w piersiach i pylicę płucną". W wierszu tym został zawarty wyczerpujący opis „czarnego Śląska". „Krajobraz to – pisał Zbigniew Andres – osobliwy, kreowany obraz świata przypomina inferno". Przestrzeń „ja" lirycznego z powodu prac prowadzonych w kopalni znajduje się w nieustannym ruchu. Ziemia zostaje opisana biologicznie – drży i trzęsie się jak ciało. Ruchy, które wykonuje są „konwulsyjne", energiczne do tego stopnia, że odczuwalne są na powierzchni. We wnętrzu ziemi toczy się bowiem osobne życie. Z powodu wydobywczego przemysłu przestrzeń pęka, stopniowo się rozpada. Więcej: w śląskich warunkach nie może rozwinąć się przyroda. Ta, która jest, pozostaje raczej mizerna i wątła, jej zieleń jest przykrywana osadzającą się na niej czernią. Naturę zatruwa dym wydobywający się z kominów kopalń i hałd. Te usypane z resztek, „kamieni pustych i ziem płonnych", żarzą się, czasem palą, cuchną siarką. Nie są – jak u Aleksandra Nawareckiego – „wzgórzami wiekuistymi", ale – jak pisze poeta – „wyplutymi niestrawnościami", zatem tym, czego ciało (ziemia) nie przyswaja, co jest przez nie (nią) wydalane na powierzchnię. To wszystko zanieczyszcza powietrze Śląska, sprawia, że chmury są trujące, a pejzaż przedstawia się jako umarły – posępny, ciemny, ponury, szary. Nie ma w nim ciszy. Śpiewa on „łoskotem żelastwa". To dźwięk pracującej kopalni – uciążliwy dla otoczenia, niepozwalający człowiekowi odpocząć. Poeta przez te opisy eksponuje przede wszystkim przemysłowy charakter Śląska. Przysłaniający go dym, wydobywające się z coraz wyższych zwałów płomienie ognia nie są jednak przez niektórych wartościowane tylko pejoratywnie. Uobecnianie się ich w tej przestrzeni świadczy o rozwoju regionu, o jego żywotności, o tym, że wre w nim praca: dym – mówi podmiot – „zwiastuje potęgę na niebie". Dochodzenie do niej odbywa się jednak kosztem zdrowia i życia nie tylko górników, ale także każdego mieszkającego tutaj człowieka.

Od krajobrazowych szczegółów Śmieja przechodzi do opisu świata podziemnego Śląska, realiów pracy górników w kopalni. Włożony przez nich trud w rozwój „czarnej krainy" jest słabo doceniany przez ich przełożonych: „To wami się zachłystują od święta/jak wódką na wernisażu, wy trwacie/bo taki jest wasz hart, czy po prostu życie./Więc już nie nudźcie, panowie odświętni/co przyjeżdżacie w barbórkowych gości/cyk i do domu. Tutejsze braterstwo/w podziemiu się święci, w otwartych piecach/na klęczkach, w wodzie, w tajonych nieszczęściach/w wybuchach zdolnych z nagła zerwać wszelkie/misterne przędze małych kalkulacji". Poeta wymienia w tym fragmencie cechy charakteru pracujących. Kopalnia jest traktowana przez nich nie tylko jako miejsce zarobku, utrzymania rodziny, ale także przestrzeń świętości. Są oni świadomi zarówno jej wartości, jak i panującego w niej niebezpieczeństwa. To dzięki pracy górników wzrasta potęga Śląska jako przemysłowego regionu, zostaje wytworzona charakterystyczna dla tego krajobrazu przestrzeń. Poeta zwraca uwagę na wspólnotę, jaką tworzy górnicza brać. W kopalni, podczas wykonywanej w niej pracy, zostają zawiązane więzi. W tej wspólnocie górnicy odnajdują swoją siłę, pokonują słabości. Będąc jej członkami, są zdolni – jak mówi podmiot – „zerwać wszelkie/misterne przędze małych kalkulacji". Unieść się zatem ponad rozważanie i analizowanie zysków i strat ich pracy. „Misja", którą wypełniają jako górnicy staje się ważniejsza. Ale też – wskazuje poeta – ten wysiłek nie do końca jest doceniany. Śmieja zestawia ich w wierszu z „panami odświętnymi" i „barbórkowymi gośćmi", którzy spełniając tylko reprezentacyjne role, czerpią korzyści i zyski z pracy górników, doceniając ich trudy i wysiłki jedynie „od święta". Nierówność społeczna, wykorzystywanie ciężkiej pracy górników, nieuczciwa zapłata za nią to problemy dotykające człowieka regionu, z którego wywodzi się autor *Niepamiętania*. Ale pomimo tych wszystkich mankamentów krajobrazowych i społecznych poeta określa tę ziemię w tytule wiersza jako „mój Śląsk". Zaimek dzierżawczy „mój" świadczy o zakorzenieniu twórcy w regionie, podtrzymywaniu więzi, utożsamieniu, bliskości z nim, jak również „o tym – przytaczając słowa Andresa – że losy regionu i egzystencja mieszkających tam, ciężko pracujących ludzi nie są mu obojętne". Odległość geograficzna, która dzieli poetę od Śląska, nie ma tutaj żadnego znaczenia.

Język i historia

Śmieja, mieszkając w Kanadzie, stale podkreśla swoją przynależność do „ziemi macierznej". Ważny okazuje się dla niego nie tylko krajobraz regionu, z którego się wywodzi, ale także jego kultura i historia. Poeta stara się przenieść jej elementy z centrum („tam") na peryferie („tu"). W sposób szczególny docenia etnolekt, którym posługiwał się w swoim rodzinnym domu. W utworze *Gwara śląska* napisał: „Nie dałem sobie nigdy wydrzeć gwary/choć się sprzysięgli na nią poloniści/i wyszydzają zza Przemszy cwaniacy/co się zlecieli do nas jak na gody./W niej przechowuję mój Śląsk nieskażony/jego cierpliwych i znękanych ludzi/tę złotonośną komorę gazową./odwiedzaną przez barbórkowych gości/o której pletli poeci, że śpiewa./Nadal śni mi się wyrąbany chodnik/na kule podłych zbirów wychodzący/przed osamotnioną kopalnią „Wujek"/ukrzyżowane robotnicze kaski/kwiaty od ludzi, którzy nie tak dawno/odprowadzali trumnę Korfantego/także ofiarę małej nienawiści". Autor *Późnych notacji*, nie ulegając naciskom otoczenia, aby zrezygnować z gwary, heroicznie staje w jej obronie. Poeta podchodzi do niej emocjonalnie. Zapomnienie rodzinnego języka oznaczałoby dla niego wykorzenienie, wyrzeczenie się miejsca urodzenia, swojej „małej ojczyzny". Przekazywany z pokolenia na pokolenie stanowi wartość najwyższą. Śmieja sakralizuje gwarę, bo określa jego tożsamość, zaświadcza o pochodzeniu: „Gwara jest żywą krwią Ślązaka,/bez niej byłby lichym przybłędą,/preryjnym chwastem bez korzeni/przez wiatr pędzonym w różne strony./Wiatyk to w drogę za ocean/komunia ziomków i glejt pewny,/to znak godnego pierworództwa/przekazywany w testamencie,/najdroższe wiano i majątek,/natchniona pieśniczka matuchny/i starzyka bery i bojki". Język ten wskrzesza również w pamięci poety przestrzeń, historię i ludzi. Z jednej strony kojarzy się z ciepłem rodzinnego domu, przywodzącym na myśl „natchnioną pieśniczkę matuchny" czy bajki i zabawne śląskie opowieści dziadka (jak w wierszu *Gwara nasza*); z drugiej pozwala Śmiei wiarygodnie opowiedzieć historię ziemi-matki, mówić o składających się na nią, a pozostawiających traumę wydarzeniach, takich jak: masakra górników strajkujących w kopalni „Wujek" w Katowicach czy śmierć przywódcy Górnego Śląska, Wojciecha Korfantego (jak w wierszu *Gwara śląska*). Określenie Śląska przymiotnikiem „nieskażony" nie odnosi się natomiast do opisu czarnego krajobrazu, ale raczej do sposobu myślenia poety o regionie dzieciństwa, w którym jako mały chłopiec spędził swoje radosne chwile życia. To dla niego przestrzeń niewinna, którą potem doświadczyła historia. Przez nią mieszka-

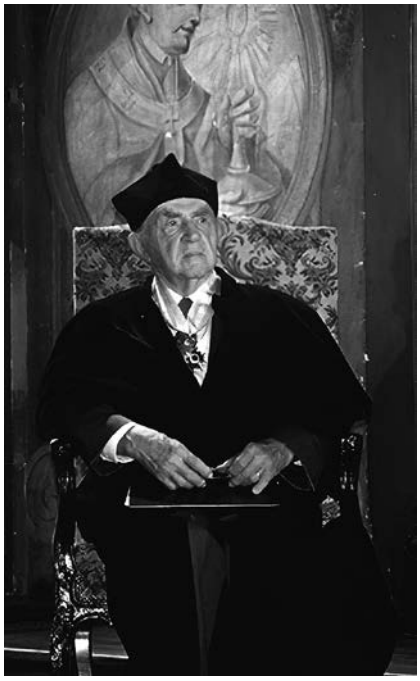

Prof. Florian Śmieja doktorem honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego (arch.).

jący tutaj ludzie – jak wspomina podmiot – są „znękani", ale też „cierpliwi" w znoszeniu wszelkich niedogodności i cierpień. Na „nieskażonym Śląsku" poeta zamiast kominów kopalni widzi „komory gazowe". Ich przywołanie w utworze przypomina o biografii Śmiei, świadomie przeżywającego wojnę. Wydobywa się z nich trujący człowieka i środowisko dym. Co interesujące – mówi ironicznie poeta – jest on „złotonośny" – nikomu nie szkodzi, bo przecież przynosi ekonomiczne zyski wspomnianym już „barbórkowym panom".

Śmieja, pisząc swoje wiersze na emigracji, jego peryferiach śląskości, „przemyca" do nich słowa w etnolekcie. „[…] gwara śląska – pisała Bożena Szałasta-Rogowska – staje się synonimem najintymniejszego, pierwszego języka". Pojawiające się w lirykach Śmiei wyrażenia, takie jak: „bezrok"; „łoński rok"; „latoś"; „wynokwiać"; „po ćmoku", synek, czy – cytując wyliczenia Szałasty-Rogowskiej – „najprzód"; „syncy", „sachsy", „chodź drabko, zaś przychodzi wiewiórka" oswajają i ocieplają kanadyjską przestrzeń, która nigdy nie zastąpi twórcy rodzinnego domu i pierwszej ojczyzny.

Kopalnia i cmentarz

W krajobrazie czarnego Śląska Śmiei znajdują się miejsca szczególne. Są to przestrzenie naznaczone śmiercią górników i jego najbliższych. Pierwszą z nich jest kopalnia. Autor *Bezroku* do opisania jej infernalności wykorzystuje doświadczenie innych: „Przyjaciel plastyk zjechał do kopalni/potem się zamknął w studio na dwa spusty/zaludnia płótno zjawami z zaświatów/a Paweł Wróbel w mizernej izdebce/piórkiem kolibra pstrzy apokalipsę/pocętkowaną widmami bez twarzy". W wierszu *Śląski śpiew* zostaje przywołana postać Pawła Wróbla – górnika, ale także szopienickiego artysty prymitywisty, który na swoich obrazach przedstawia obrazy Śląska ginącego. „Widma bez twarzy" pojawiające się na jego dziełach to odzwierciedlenie wyobraźni, której źródłem jest kopalnia „Wieczorek" w Katowicach. Z jednej strony zjawy te przypominają poruszających się w podziemiach górników. Ich twarze zostają wchłonięte przez ciemność. Sprawia ona, że widać tylko rys ich sylwetki, rozświetlonej przez światło karbidówki albo lampy-czołówki. Z drugiej strony – postaci określone jako „zjawy z zaświatów" to wędrujące we wnętrzu kopalni duchy tragicznie zmarłych tu górników. Przypominają, że przestrzeń ta jest naznaczona śmiercią. Obecność tych, którzy oddali w niej życie za pracę jest odczuwana przez wszystkich tu przybywających i zjeżdżających „na dół".

Apokalipsa, którą w *Śląskim śpiewie* „piórkiem kolibra pstrzy" na swoim płótnie Paweł Wróbel, staje się rzeczywistością w przywoływanej już kopalni „Wujek" w Katowicach. Jej obraz powraca do Śmiei w marzeniu sennym, niepokoi go i nęka tak, jakby poeta był bezpośrednim uczestnikiem mających tam miejsce tragicznych wydarzeń: „Nadal śni mi się wyrąbany chodnik/na kule podłych zbirów wychodzący/przed osamotnioną kopalnią «Wujek»/ukrzyżowane robotnicze kaski […] " (*Gwara śląska*), „Stałem przed krwawo zdobywanym «Wujkiem»/widziałem krzyż, sztandar pracy od państwa/i sześć trofeów, kolorowych kasków/skalpów egzekwowanych w bratobójczej/walce: nie przyćmi ich już żadne czako/galowe, choćby pióropusza szukać/u rajskich ptaków. Wyrąbany chodnik/na lufy wyszedł i morderczy ogień./Tak śpiewa Śląsk, panowie poeci, lecz/raz się wyczerpią pokłady nadziei/od lat nad rozum eksploatowane" (*Śląski śpiew*). „Wyrąbany chodnik" – intertekstualne nawiązanie do tytułu powieści Gustawa Morcinka – to jedyne co zostało po górnikach, którzy zginęli podczas pacyfikacji. Przypominają o nich także znaki pamięci znajdujące się przed budynkiem kopalni. Śmieja zwraca uwagę na krzyż – symbol niezawinionego cierpienia i męczeństwa za innych, „sztandar pracy od państwa" – symbol trudu, ojczyzny oraz „kolorowe kaski" – symbole poległych górników. Synonimem tych ostatnich poeta, odwołując się do historii swojego aktualnego miejsca zamieszkania, czyni „skalpy" – „skórę z włosami ściągniętą z czaszki zabitego wroga, będącą trofeum wojennym Indian". Porównanie to podkreśla brutalność tamtejszych zdarzeń oraz odzwierciedla okrucieństwo, jakie zostało zastosowanie przez władzę wobec niewinnych górników. Autor *Późnych notacji* kontrastowo zestawia z nimi jeden z najbardziej charakterystycznych elementów stroju galowego – czako górnicze. Jego dostojność i odświętność tracą znaczenie wobec naznaczonych krwią i śmiercią robotniczych kasków górników-bohaterów.

Ale historia nie okazała się łaskawa nie tylko dla górników kopalni „Wujek". Inni cierpiący, oddający życie za Śląsk i pracę, spoczywają choćby na cmentarzu w Zabrzu-Kończycach. Tym razem nie w podziemiach kopalni, ale „w brzózkach się snują widma niewyraźne" (*Duchów obcowanie*) tych, którzy odeszli: „Jest takie miejsce na skraju mej wioski/gdzie już na zawsze ludzi nic nie dzieli./Tam leżą razem górnicy pobici/ich sztygar, strażnik pośród przemytników/Rudolf, co się powiesił w dzień swojego ślubu,/obok rodziców z dziećmi i wnukami,/pomordowani przez wojnę, przez jednych i drugich,/śnięci w kwiecie wieku obok patriarchów./W granicie czarnym błyszczą złote głoski:/życie ujęte w kilka krótkich wierszy/nad ciałem rozsypanym w lichą garstkę pyłu" (*Cmentarz*). Usytuowanie cmentarza nie w centrum, ale na uboczu miasteczka rodzinnego Śmiei nie oddala myśli człowieka o śmierci i zmarłych, ale sprawia, że staje się on raczej – jak pisał Michel Foucault – osobną, wydzieloną przestrzenią, w której „każda rodzina posiada swoją ponurą siedzibę". Autor *Bezroku* wskazuje na wyjątkowość cmentarza. Podkreśla: „Jest **takie** miejsce". Zaimek wskazujący użyty w tym zdaniu, nakierowuje wzrok i myśli odbiorcy na konkretną i jedyną przestrzeń. Tylko tutaj może dojść bowiem do spotkania, „duchów obcowania" i pojednania przywoływanych w poprzednich wierszach „barbórkowych gości", sztygarów i podległych im prostych górników-robotników; oszustów i pilnujących ich sprawiedliwości strażników; popełniającego samobójstwo małżonka z jego rodziną czy sędziwych i mądrych z młodymi, dopiero tej mądrości się uczącymi. Poeta podkreśla w wierszu ich jedność i równość. Wobec śmierci wszyscy znaczą i są warci tyle samo.

Ale cmentarz w Kończycach jest też wyjątkowy z innych powodów. Usytuowany jest bowiem na ziemi rodzimej poety, „u stóp czarnej wody". Tylko tutaj, w Zabrzu Śmiei, „zachodzi słońce w umarłej kotlinie" oraz spoczywają rodzina i przyjaciele. W te rodzinne strony, do tej przestrzeni innej niż wszystkie pozostałe, poeta chce wró-

cić po swojej śmierci: „Mnie już nie będzie na twoim pogrzebie/ale ja także odejdę samotnie/bo ty będziesz wędrować gdzieś daleko/z przygodnymi towarzyszami drogi./Zostaw więc dyspozycje, by choć prochy/moje wróciły do rodzinnych Kończyc/i odpoczęły przy mogile matki" (*Ostatnia wola*).

Śląsk Opolski

Zniszczonemu przemysłem krajobrazowi „czarnej krainy" zostają przeciwstawione w wierszach Śmiei wspomnienia pejzażu Śląska Opolskiego. Autor *Późnych notacji* w sposób szczególny afirmuje miejsca, w których spędzał lata swojego dzieciństwa. Pisze na ich cześć utrzymane w tonacji litanijno-inwokacyjnej utwory pochwalne. Widziane oczami poety przestrzenie śląskich miast i wsi są uwznioślane patetycznymi frazami. Pozdrawiając je i wysławiając, jak w wierszach *Inwokacja* i *Gaudeamus*, Śmieja tworzy katalog miejsc najbliższych. Zostają w nim wymienione: Opole, Kamień Śląski, Góra Świętej Anny, Gogolin, Dobrzeń, Siołkowice, Łubniany, Rozmierz, Lubienie, Chróścice, Czarnowąsy, Dobrodzień, Malnia. Poeta, mając w pamięci historię, obawiając się zawłaszczenia tych przestrzeni przez obce narody, stale powtarza i wymawia ich polskie nazwy, wzywając: „nućmy ich wdzięczne imiona". Wszystkie one składają się na „arkadię dzieciństwa". Poeta czuje się wobec nich zobowiązany. W *Inwokacji* zwraca się do nich tak, jakby chciał zapewnić je o swoim szacunku do nich: „was noszę z sobą jak szkaplerz/programowaną busolę/na tętno małej ojczyzny/jej ludzi od wieków tamtejszych/cierpliwych i utrudzonych./Ziemio krzyży przydrożnych/Bocianów, ładu i wiary". Miejscem szczególnym wymienionym w katalogu Śmiei są Stare Siołkowice, wieś położona w województwie opolskim. Poeta nazwał ją „swojskim matecznikiem". W pamięci odtwarza każdy składający się na nią szczegół: „Nie pożałujesz: wystarczy groblą/pójść w górę rzeki. W miarę jak wioska/maleje, odezwie się kukułka/zakrzykną bażanty a zające/w trawie nastawiają pilnie radar./Chowając się w wysokim rzepaku/sarna głowę podnosi opary./Napatrzysz się powagi bociana/kroczącego dostojnie po łąkach./Rozpoznasz tę ziemię przemienionych/kołodziejów, o której poeta/śnił, pełną kumkania i gry świerszczy/skowronkami dzwoniącą oazę/obrzeżoną cichym nurtem Odry./By ten swojski matecznik już jutro/ogarnął całe królestwo trzeba/prawego jedynie gospodarza". Wiersz ten przypomina wyimek z przewodnika turystycznego. Poeta wskazuje na część Siołkowic, w której znacznie zmienia się krajobraz miejsca. Śmieja zachęca tych, którzy tutaj przybywają do jej odwiedzenia, więcej: zapewnia, że przestrzeń ta jest wyjątkowa. Taką czyni ją przede wszystkim bujnie rozwijająca się natura. To miejsce, które dźwięczy, stanowiące schronienie dla zwierząt. Szczególnym znakiem polskości i śląskości Śmieja czyni bociany. Poeta nazywa je „dumnymi autochtonami", którzy „z zagranicy powracają w terminie". Twórca podkreśla ich przynależność do ziemi, której są niezwykle wierni. Kolory: biały, czerwony (Polska) i czarny (Śląsk) przypominają im o ojczyźnie, ale też zaświadczają o niej w miejscach zimowania. Oddziałują także na wyobraźnię Śmiei-dziecka, który „chude bociany" kreśli niezdarnie „na podniesionym blacie długiej ławy" w sadzie (*Ziemie utracone*). Siołkowice przypominają rezerwat przyrody – określone zostają przez autora *Bezroku* „oazą" – zatem miejscem zacisznym, obfitującym w faunę i florę. Ale jest to też miejscowość pól uprawnych, o czym przypominają twórcy oglądane na emigracji fotografie. Śmieja dopiero na nich zauważa, że jego arkadia ma także swoje mankamenty i nie wszystko jest w niej idealne. W Siołkowicach bowiem „sterczą kikuty nieczynnych wiatraków". Są one elementami, które na stałe wpisały się w krajobraz wsi. W „mateczniku" autora *Późnych notacji* już dawno przestały jednak spełniać swoje funkcje. Wraz z ustaniem ich pracy w Siołkowicach coś uległo zmianie. Tkwieniem w miejscu i bezczynnością rażą wzrok tych, którzy na nie spoglądają. Nieczynne wiatraki przypominają bowiem o upływającym czasie, śmierci – o tym, że nic, nawet w sielskiej przestrzeni, nie może trwać wiecznie.

Krajobraz Śląska Opolskiego znany autorowi *Przezorności czasu* z dzieciństwa przekształca się wraz ze zmieniającymi się w tych okolicach ludźmi, przybywającymi tutaj z zewnątrz i osiedlającymi się. Mają oni inne cele i priorytety. Okolice Opola przestają powoli być terenami wiejskimi i przyrodniczo atrakcyjnymi. Znikają „drogi spokojne", „pola chlebowe", „łąki kwieciste", zmienia się „las nad Odrą", którymi podążali – jak pisze Śmieja w *Opolskich drogach* – oracze i żeńcy „na przemian/wśród ziela i trzmieli". Pola obecnie stoją odłogiem – nie uprawia się na nich już roli, nie sieje i nie zbiera zboża. Przyroda coraz bardziej jest zdegradowana, zwierzęta przestały czuć się w tej przestrzeni bezpiecznie. Ludzie, którzy tu przyjeżdżają się osiedlać nie wiedzą jak postępować z naturą. Śląsk to dla nich ziemia nieoswojona i nieznana. Obcych Śmieja kontrastuje z „prawymi gospodarzami" czy – jak nazywa ich w przywołanych *Opolskich drogach* – „pańszczyźnianymi kmieciami", „co żyli bez herbów/i bez imion marli", którzy stwarzali tę ziemię od podstaw i przekazywali ją z pokolenia na pokolenie swoim synom. Ich prostota, oddanie i ciężka praca pozwalały zrozumieć im „matecznik" poety. Nie pojmują go natomiast przybysze. Nie rozumieją przede wszystkim mowy Ślązaków, ich mentalności i odczuwania świata.

Śląsk w Kanadzie

Poeta, zachwycając się pięknem krajobrazu kanadyjskiej prowincji, przenosi Śląsk myślami do Ameryki, próbując pogodzić ze sobą dwie ojczyzny: „Nocą jezioro Huron szumi najwymowniej./Posądzam je o czary: podejrzewam/że wlewa się do niego Odra/umorusana Czarnawka, siołkowicka Brynica/których wody obmywały moje dzieciństwo/a teraz razem kołyszą mnie i zwodzą/łudząc, że wszystko jest jak trzeba. (*Jezioro w nocy*). W utworze tym kanadyjska przestrzeń spotyka się ze śląską. Poeta docenia piękno wód Huronu, które szczególnie nocną porą przez swą posępność staje się jeziorem tajemniczym i niezwykłym. Śmieja, spoglądając na nie, wyobraża sobie, że wpadają do niego ujścia śląskich rzek jego dzieciństwa. Przywołuje przepływającą przez Opole Odrę, zabrzańską Czerniawkę oraz Brynicę z Siołkowic. Ich wody mieszają się z wodami Huronu, tworząc jedno. Janusz Pasterski zanotował: „Jeśli w dramacie Wyspiańskiego «Skamander połyska, wiślaną świetląc się falą», to w utworach Śmiei jezioro Huron także się «polonizuje». […] Odczucie arkadii przegrywa więc z pamięcią, a gest scalania tej ostatniej z nowym miejscem nie oznacza harmonijnego współistnienia, lecz kojarzy się raczej z potrzebą przerzucania mostów pomiędzy różnymi obszarami. Paradoksalnie droga do adaptacji w Kanadzie prowadzi poetę przez Polskę, i nie tyle przez moc przyrody, ile przez siłę pamięci". Wyobraźnia, podpowiadając poecie wprawiający go w zachwyt obraz jeziora, chce przekonać twórcę, że Kanada jest jego miejscem na ziemi, że „tam" można także odnaleźć „tu", że peryferie stają się czasami centrum. Śmieja nie dowierza jednak obrazowi, na który spogląda, wie, że jest on tylko wymyślonym, nieistniejącym w rzeczywistości wytworem.

Śląsk utracony?

W wierszach autora *Późnych notacji* Śląsk staje się miejscem utraconym nie tylko dlatego, że tak potoczył się życiorys poety – „zrządzenie losu, co bosego malca/ze śląskiej nadgranicznej prowincji wiódł/w labirynty niespodziewane". Regionu, który „synek z Kończyc" wiernie nosi w swojej pamięci bowiem już nie ma. Teraz wszystko „tam" jest inne. Czy uda uratować się dawną wartość i śląskość „ziemi-matki", centrum twórcy? Śmieja-emigrant nie wie. Właśnie o to pyta w swoich wierszach. ■

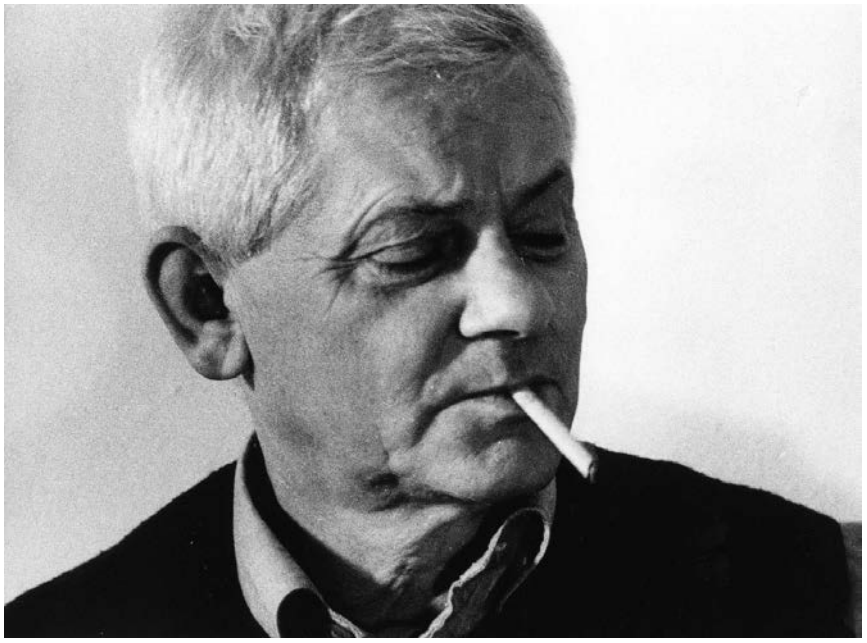

fot. arch. red.

O „ę” i „ą” u Herberta

Dowcipy i ek(w)iwoki księcia poetów

JERZY PASZEK

Jeśli arcyksiążę Austrii, późniejszy cesarz Fryderyk III, wymyślił sobie monogram A. E. I. O. U. (Austriae est imperare orbi universo; w wolnym tłumaczeniu: Austria, europejskie imperium, ozdoba Uniwersum), to naszemu księciu – decyzją studentów w 1961 roku – chcę zadedykować inny, też złożony z pięciu samogłosek, tytuł! Mówi on o olbrzymiej roli liter i gier nimi w formowaniu liryki Zbigniewa Herberta, a w tym i samogłosek nosowych, tych jakże polskich dźwięków. Wiadomo, iż współcześnie mamy tylko dwa wyrazy, zaczynające się na literę „ę”, a mianowicie „ę-ą” (definicja kogoś pedantycznego lub snobującego się) oraz „ęsi” (czyli dziecięce zawiadomienie o potrzebie naturalnej), pozostałość – dzięki wierszom Boya i Tuwima – po „ęsiać, ęsianiu i ęsiu” (słówkach z leksykonu Jana Karłowicza z początku XX stulecia). Będę starał się nie dojść do poziomu „ę-ą” (choć ździebko pedanterii nikomu nie zaszkodzi!), ani nie upaść w zupełne zdziecinnienie, sygnalizowane okrzykiem – nb. znanym bardzo dobrze skrablistom! – „ęsi”. Nadmienię, iż w *Ulissesie*, gdzie dużo miejsca poświęcono defekacji i mikcji, Joyce informuje o tym, iż poeta irlandzki, George William Russell (pseudonim A.E.), przypomina Dedalusowi o funcie, który mu pożyczył, a Stefan od 5 miesięcy ociąga się ze zwrotem długu, mówiąc dowcipnie: A. E. I. O. U., czyli [mój drogi] A.E., I. (aj = ja) O. (owe [ou] – kasę) U. (you, tobie [oddam])! Sam Herbert zaś zaszyfrował w „Zeszytach Literackich” (1991, nr 33) literkami *H. E. O.* swą prozę, będącą apokryficzną aluzją do wiersza *Orfeusz, Eurydyka, Hermes* Rainera Marii Rilkego, zwanego zresztą przezeń poufale „towarzyszem Ryłką”.

Nie jest łatwo napisać coś nowego, gdy ma się przed sobą trzy pary potężnych tomów bibliograficznych, biograficznych i poetyckich: Pawła Kądzieli *Twórczość Zbigniewa Herberta. Monografię bibliograficzną* (Warszawa 2009, s. 710 + 250), Andrzeja Franaszka *Herberta. Biografię* (Kraków 2018, s. 896 + 992), Zbigniewa Herberta *Wiersze zebrane* (oprac. Ryszard Krynicki, Kraków 2008, s. 800; skrót: WZ) oraz *Wiersze rozproszone (Rekonesans)* (oprac. R. Krynicki, Kraków 2010, s. 494; skrót: WR; nb. *Rekonesans 2* z roku 2018 miał już 574 stronice). Dzięki tym publikacjom można swobodnie rozkoszować się nie tylko samymi tekstami poety, ale i mnóstwem głosów i glos (podpowiadanych przez bibliografię), a dotyczących dorobku naszego, spokrewnionego z Pierydami, arystokraty.

Aby zgodnie z zapowiedzią nagłówka wyjść od „ę” i „ą”, zacznę od zacytowania fragmentu *Brewiarza prywatnego* (WZ, 761): „Panie,//wiem że dni moje są policzone/zostało ich niewiele/tyle żebym jeszcze zdążył zebrać piasek/którym **przykryję** twarz” (podkr. w całym eseju – J.P.). Tak było w rękopisie. W wersji wydrukowanej *Brewiarz* ma nieco inny tekst: „piasek/którym **przykryją** mi twarz” (WZ, 640). Jest to zmiana niewielka, pedantyczna (niekoniecznie dla kogoś, określanego słówkiem „ę-ą”!), lecz konieczna, jeśli chcemy mówić o realiach eschatologicznych.

Ostatnie wersy *Tkaniny*, utworu kończącego *Epilog burzy*, błędnie były na ogół drukowane: „by wreszcie przenieść na brzeg niedaleki/czółno i wątek osnowy i całun”. Już Jacek Łukasiewicz w swojej monografii (*Herbert*, Wrocław 2001, s. 234) cytuje poprawną wersję (z „Zeszytów Literackich” 2000, nr 70): „czółno i wątek **osnowę** i całun”. Zapisywanie wiersza bez przecinków daje tu dwuznaczność, bo ktoś widzący frazę **wątek osnowy**, nie pomyśli nawet o składniowym chiazmie, łączącym czółno i całun (dwa zewnętrzne rzeczowniki, mogące być symbolami pogrzebowymi), a także **wątek** i **osnowę** (dwa wewnętrzne rzeczowniki równorzędne, a nie z dominującym „wątkiem” nad „osnową”). Czyli mamy tu podwójne więzy: 1. „czółno i wątek” oraz „osnowę i całun”; 2. czółno i całun, wątek i osnowę. Chiazm to syntaksa o wzorze ABBA, gdzie A odnosi się do symboliki pogrzebowej, a B – do związanego z tytułem przędzenia. Krynicki oczywiście wybiera wersję „Zeszytów Literackich” (WZ, 701). Nie bierze pod uwagę natomiast tego wariantu Danuta Opacka-Walasek w erudycyjnej analizie *Tkaniny* (*Tkanka życia, tkanina poezji*, w zb. *Tkanina. Studia. Szkice. Interpretacje*, red. Anna Węgrzyniak i Tomasz Stępień, Katowice 2003, s. 338), co prowadzi do wyodrębnienia w ostatnim wersie utworu trzech przedmiotów („czółno i wątek osnowy i całun”) zamiast czterech (czółno, wątek, osnowa, całun).

Herbert pisze o „szczekaniu konia” (WZ, 334) i „szczekaniu kluczy”: „i tak trwamy/spiskowcy//wśród odgłosów wróżebnych/i odgłosów trywialnych//dostojnego milczenia/upartego szczekania kluczy” (WZ, 544). Czy chwilowe zdrzemnięcie się edy-

tora nie jest powodem niedopuszczenia innego dźwięku, jakże naturalnego „**szczękania** kluczy”? W tym samym wierszu *Msza za uwięzionych*, z dedykacją dla Adama Michnika (redaktora nazwanego tu „mistagogiem”, czyli mystagogiem), pojawia się też błędnie zapisany termin religijny „szare numinozum”, chociaż Rudolf Otto, twórca pojęcia, pisał o „numinosum”. Literkę „ę” pominięto w wierszu *Wiosna* (WR, 299); pojawiają się tu linijki „aby trwał miedzy nami/miłosny turniej bosych stóp” zamiast „trwał **między** nami”! Z literą „ą” bywa mniej kłopotu! Pan Cogito wspomina szkolne lata, konkursy kaligrafii, a w tym i swą panią od polskiego: „ (w paszporcie/Bombowa) ” (WZ, 690). Znany jest lingwista Stanisław Bąba, więc edytor tomu (WZ, 769) sądzi, iż nauczycielka mogła się nazywać **Bąbowa** (co pod okupacją rosyjską lub niemiecką dawało „Bombowa”; inną fantazję fonetyczną wnosi nazwisko Izydory **Dąmbskiej**, filozofki, której poeta zadedykował *Potęgę smaku*).

Gdy już jestem przy opozycji ą/om, to mogę wspomnieć, iż Polakom mieszają się formy „proszę Pani” i „proszę Panią”, a także identyczne w wymowie wyrazy „plotą” (czasownik i rzeczownik) oraz „plotom” (tylko rzeczownik). W *Wierszach zebranych* doszło – moim zdaniem – do poplątania sufiksu -em z końcówką -om: „lepiej niż suchym **palcem** księży/deszczom co z chmury piasku cieką/**oddać** swój pomnik akademii” (*Do moich kości*, WZ, 295). Poprawiłbym ten niezręczny i niezgodny z gramatyką wers na: „lepiej niż suchym **palcom** księży”, by mógł sensownie łączyć się z czasownikiem **oddać**.

Dyskutując o literówkach (choć niekiedy znajdą się zwolennicy błędnych zapisów, którzy nie baczą na pomyłki dyslektyczne poety, co widać na fotokopiach jego rękopisów: na okładce WZ mamy „Mistrzowi, Konstantemu Ildefostowi” lub „Ildefosfowi”; w wierszu o Mandelsztamie widnieje i w podobiźnie manuskryptu, i w druku – WR, 293 i 458 – „nienażratyj” zamiast „nienażartyj”), mogę wyliczyć jeszcze kilka innych niedopatrzeń edytora: w liryku *O dwu nogach Pana Cogito* (WZ, 368) mowa o „nogach/lewej którą przyrównać można do Sancho Pansa/i prawej/przypominającej błędnego rycerza”. Pansa jest wyrazem odmiennym, stąd końcówka wersu powinna brzmieć: „do Sancho **Pansy**” i to niezależnie od tego, jak napisało się Herbertowi (pomyślmy, iż gdyby dożył on nowego tłumaczenia *Don Kichota*, to nie mógłby nie odmienić Brzuchacza!). Jest w tomie WZ (606, 756) utwór pt. *Do Piotra Vujičića*, czyli do serbskiego tłumacza Petara Vujičicia (1924–1993), bo po polsku nie wyobrażam sobie zapisu po literze „ć” litery „a” z pominięciem „i”; zob. podobny problem ortograficzny: Joyce, o Joysie (a nie: Joyce’ie).

W tak pomnikowym przedsięwzięciu edytorskim, jakim są tomy WZ i WR, razi mnie mylenie „że” z „ze” (np. WR, 264: „ze torujemy”; WZ, 694: „jakby przeczuwały/ze stracą”); utrwalanie starej pisowni „zwolna” zamiast „**z wolna**” (WR, 260: „tak że zwolna zamieniał się w przedmiot”); edytor nie wprowadza konsekwentnie pisowni łącznej epitetów z partykułą „nie”, np. „z gardła ptaka dobywał się głos nie ornitologiczny” (WR, 270), „nie zapłacone rachunki/nie zwrócone długi” (WZ, 694). Takie drobiazgi i „łapanie pcheł” (terminologia badacza i poety Edwarda Balcerzana) komuś mogą nie przeszkadzać w lekturze, ale tenże czytelnik nie wie o tym (bo brak objaśnień), iż w wierszu o Mandelsztamie istotniejszym problemem (od literówki) jest uleganie legendzie „głodomora” Osipa: czy istotnie poeta „tańczył ku uciesze urków” [złodziei] (WR, 293)? Prawda mogła wyglądać inaczej: jeden ze świadków śmierci Mandelsztama opowiada, iż nieszczęsny autor *Ody do Stalina* miał

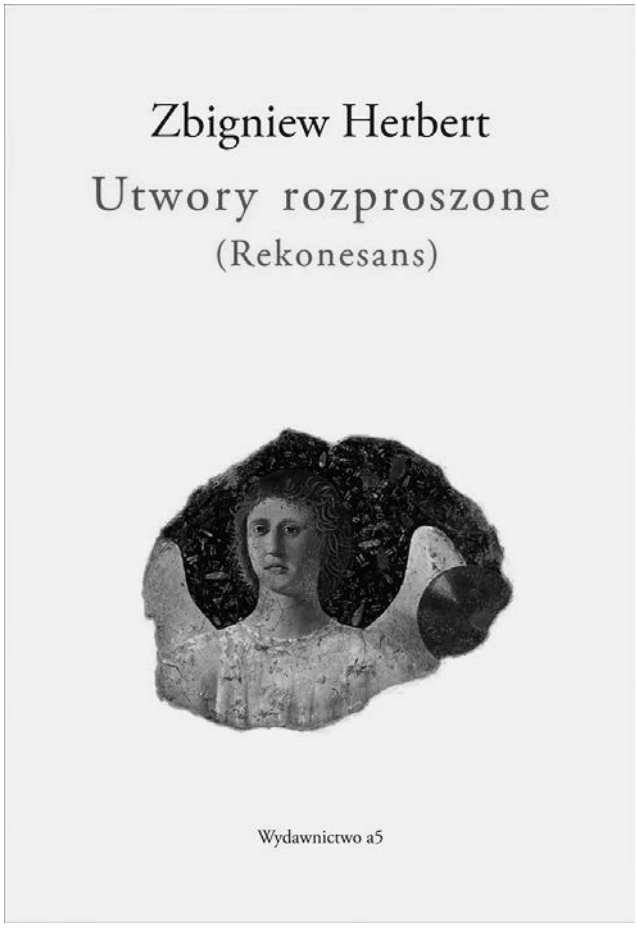

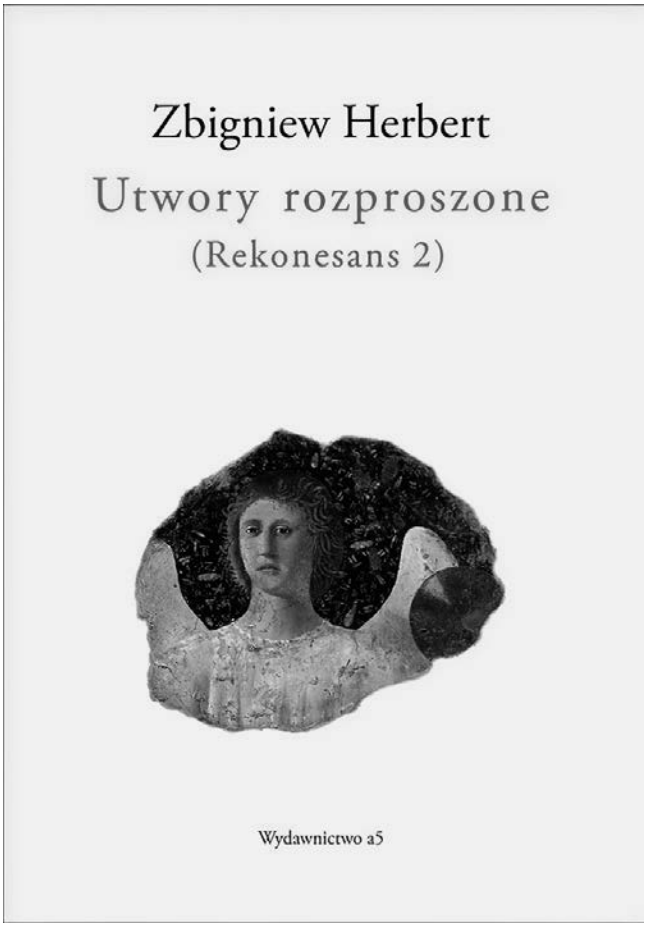

pieniądze w obozie pod Władywostokiem, ale obawiał się, że kucharze chcą go otruć, więc kupował bułki, rozdzielał kolegom niedoli, patrząc, czy nie są zatrute (zob. *Wspomnienia* Nadieżdy Mandelsztam).

Obcując intymnie z Herbertem, nie wiadomo, kiedy mu zaufać, a kiedy podejrzewać go o zmyślenia i zamydlanie czytelnikowi oczu! Znakomitym – i częstokroć omawianym – przykładem jest utwór o Władysławie Chodasiewiczu (1886–1939), poecie rosyjskim o polskich korzeniach. Wiele szczegółów biografii bohatera można odczytywać jako aluzje do zawirowań biografii Czesława Miłosza (który zresztą w liście z 30. IV 1991 do Jerzego Giedroycia żalił się: „Paszkwil jest obrzydliwy […] ", zob. Franaszek, op. cit., t. 2, s. 689), ale informacja: „wreszcie umarł Chodasiewicz w jakimś Oregonie" (WZ, 618) nie dotyczy ani rosyjskiego akmeisty, ani polskiego noblisty, lecz – co nie jest niemożliwe! – samego Herberta, na którego cześć w tymże Oregonie wydawano czasopismo „Mr. Cogito", redagowane przez Roberta A. Daviesa i Johna M. Gogola (zob. Łukasiewicz, op. cit., s. 141). Herbert uwielbia takie nieoczekiwane zbiegi wydarzeń, jak Gogol (nb. Nikołaj Gogol też miał w rodowodzie Polaków!) w Oregonie: w wierszu o śmierci literatów (*Ostatnie słowa*) z premedytacją zapomina o Hrabalu, który wypadł z okna w szpitalu, a przywołuje Holuba (czyli Gołębia), innego czeskiego pisarza, żyjącego zresztą tylko o kilka dni krócej niż Herbert! Bo to ładnie wygląda: wyleciał z okna gołąb, a trupa nie odnaleziono! W wersji mitologicznej bądź hagiograficznej brzmi to następująco (WR, 297): „budzi podziw/poeta Miroslav **Holub**/który karmiąc **gołębie/**z okna VI piętra/runął w dół//gazety/podały/że nie odnaleziono ciała//ale to przecież/normalne".

Największym i najsłynniejszym dowcipem, jaki sprawił Herbert hermeneutycznie (czyli filologicznie i fenomenologicznie) uzbrojonym polonistom, jest jego poemat o kuszeniu Spinozy. Cała historia, jeśli nie wręcz staropolska „historyja", wzięła się z książki Kazimierza Brandysa pt. *Rynek. Wspomnienia z teraźniejszości* (Warszawa 1968). Autor przytacza tu amerykańską anegdotę: „Spinoza znużony ludzką gadaniną zapragnął dosięgnąć Boga. W domu, szlifując na poddaszu soczewki, nagle przekroczył granicę nieznanego i stanął przed Panem. Mówił długo, zadając Mu pytania dotyczące natury ludzkiej, znaczenia moralności, przyczyny pierwszej i przyczyny ostatecznej. Mówiąc czuł, jak rozszerza się jego umysł i dusza. Gdy przerwał, zwrócił się doń Pan Bóg. – No dobrze, wszystko to bardzo ładnie, ale może teraz pogadamy o sprawach naprawdę ważnych? " (cytuję za: R. Nycz: *„Niepewna jasność" tekstu i „wierność" interpretacji. Wokół wiersza Zbigniewa Herberta „Pan Cogito opowiada o kuszeniu Spinozy"*, „Teksty Drugie" 2000, nr 3, s. 136). Dowcip amerykański polega na tym, iż pointa tkwi w ostatnim zdaniu; dowcip Herberta zasadza się na iście sadystycznej prolongacie anegdoty. Polak podaje listę boskich porad i poleceń: „kup nowy dom/wybacz weneckim lustrom/że powtarzają powierzchnię//wybacz kwiatom we włosach/pijackiej piosence//dbaj o dochody/jak twój kolega Kartezjusz […] widzisz Baruch/mówimy o Rzeczach Wielkich" (WZ, 420–421).

Ryszard Nycz omawia sześć wcześniejszych interpretacji tego poematu, w których część przyznaje rację Janowi Błońskiemu, że Pan Cogito nie jest filozofem, a „kiedy Bóg objawił się Spinozie, to nie jako intellectus archetypus, ale jako przyjaciel prostaczków" (J. Błoński: *Romans z tekstem*, Kraków 1981, s. 83), a niektórzy, czerpiąc argument z końcowych linijek utworu: Spinoza „słyszy skrzypienie schodów/kroki schodzące w dół" (WZ, 421) – popierają osąd Andrzeja Kaliszewskiego, że to szatan udaje głos boski; Nycz przekonuje, iż mówi Bóg, ale jednocześnie Spinoza nie może się uwolnić od myśli o diable; Małgorzata Mikołajczak w eseju *„Wierność ziemi". Inspiracje nietzscheańskie w poezji Zbigniewa Herberta* („Teksty Drugie" 2006, nr 3, s. 167) stwierdza, iż Bóg wybiera (w zgodzie z ideą Fryderyka Nietzschego) perspektywę ziemską, stąd schodzi na dół. Jeden z tekstów Herberta ma przecie motto z *Zaratustry*, ale z błędem (WR, 133): „Oto wejrzyjcie pokorę waszego ostatniego człowieka" (powinno być: „wejrzyjcie na pokorę").

Stanisław Barańczak w monografii *Uciekinier z Utopii. O poezji Zbigniewa Herberta* (Wrocław 1994, s. 135) trafnie zauważa: „jest rzeczą niepojętą, do jakiego stopnia częstość dokonywanych przez Herberta operacji i gier czysto językowych uchodzi uwagi naszej krytyki". Aby coś tu dorzucić, czyli ukochany przez poetę „kamyk" do jego ogródka, to podsunę następcom pomysł genezy paralelizmu: „myślę o tobie **Rovigo Rovigo**" (WZ, 632). Albo trzeba dostrzec asonans do Pana **Cogito**, albo anagram **Rovigo** = polskie **rogowi** lub **ogrowi** (myślę, że wiadomo, jakiemu ROGOWI [bądź OGROWI = ludożercy] należy się przyjrzeć, gdy alonż brzmi WROGOWI!). Mogę dodać, iż Brwinów zamieniał Herbert na **Brwino** (Franaszek, op. cit., t. 1, s. 383), by przypomniało mu włoskie Urbino lub Portofino!

Jakie pointy wybijają się z moich dociekań, dygresji czy nawet dywagacji? Najpierw taka, że trzeba uważniej przypatrzeć się każdej czcionce, by „ż" nie mylić z literą „z"! Poprawny ciąg liter też jest ważny, bo dyslektyk, liczący ilość znaków, może „się" pomylić z „ęsi" (a to tylko anagram!). I wierzyć w zdanie tekstologów, iż wypowiedź poetycka posiada swoje retoryczne (chiazmy i zeugmy), syntaktyczne oraz rytmiczne (by nie rzec muzyczne) struktury, które poprzez trafne i celne emendacje da się często przywrócić nawet do utworów pisanych w szpitalnej sali, czyli w pobliżu całunów! Jak to ujął prof. Marek Piechota (w niedrukowanym jeszcze eseju o pożytkach filologii): „Nieszczęście wielu objaśniaczy tekstów, olśniewających czytelników odpowiedzią na pytanie: >Co poeta chciał powiedzieć? <, polega na tym, że całun interpretacyjny otula niewłaściwe truchło, wersję wiersza, który niby umarł młodo, podczas gdy w istocie zastygł w formę krystaliczną w wieku dojrzałym, męskim, doskonalszym".

* * *

Już po napisaniu tego eseju znalazłem w swojej „przepastnej" (jak mawiają niektórzy koledzy) bibliotece książeczkę wydaną w Sandomierzu w roku 2003 pt. *Poezja nowa i najnowsza. Sytuacje. Interpretacje* (red. Jan Hajduk i Andrzej Niewiadomski), w której dr Rafał Szczerbakiewicz w studium *Gdzie jest sztuka? Herbert wobec banału przedmiotów w lirykach ostatnich* świadomie wybiera dla *Tkaniny* wersję „Zeszytów Literackich" (na s. 25) i kończy swój tekst (s. 26) zdaniami: „Przenoszenie na drugi brzeg **zarazem czółna i wątku, osnowy i całunu** jest zaledwie intencją, dążeniem do przezwyciężenia zasadniczej opozycji materialności i niematerialności, nicości. Tkanina życia musi być uzupełniona projektem tkaniny śmierci. Urzeczowienie, wypełnienie toposu śmierci kreatywnym ruchem tkackiej metafory wydaje się w tym ostatnim wierszu [Herberta] przeciwstawieniem odejmowania bycia i rzeczy w kończącym się życiu". Jak widać, walka o „ę" we frazie „osnowę i całun" znalazła już w 2003 roku kolejnego zwolennika! ■

Stygmatyzowana cielesność

KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

Przestępstwa seksualne, dokonywane w czasie okupacji niemieckiej, stanowią szczególny rodzaj zbrodni ze względu na społeczny brak przyzwolenia na relacjonowanie doświadczeń ofiar gwałtów i przymusowej prostytucji. Pozostają więc nieopowiedziane, niezarejestrowane (znamienna okazuje się postawa Wilhelma Brassego, proszącego Joannę Ostrowską o wyłączenie dyktafonu) i wyrugowane ze spektrum tematów okołowojennych. Ich ujawnienie w książce Ostrowskiej stanowi *novum* na miarę przyswojenia relacji Mirona Białoszewskiego z powstania warszawskiego w czasach, gdy dominowała pamięć o kombatantach i konspiratorach, a więc grupach uprzywilejowanych w dyskursie pamięciowym o II wojnie światowej i *Czarnej flagi* Zofii Krzyżanowskiej – autorki, która została aresztowana jako robotnica, jednak wraz z koleżanką zbiegła z robót przymusowych na terenie Trzeciej Rzeszy. W obozie nie miała protekcji organizacji podziemnej, lecz była zwykłym *häftlingiem*. Jej sytuacja była diametralnie inna niż współwięźniarek o uprzywilejowanej pozycji w hierarchii obozu. Narracje te pozwalają na przyjęcie innej perspektywy badawczej i odbrązowienie uczestników ostatniej wojny (zarówno cywilów, jak i więźniów obozów koncentracyjnych).

Wciąż konieczne jest wyjaśnianie zwolennikom tezy o dobrowolnej rekrutacji kobiet do domów publicznych i puffów, że wyselekcjonowanym kandydatkom stawiane było ultimatum: albo nierząd, albo wywózka na roboty do Niemiec. Strach przed nieznanym, a także zapalczywością i brutalnością *bauera* (Ostrowska opisuje historię Marii Szykulskiej, która została skierowana do pracy w gospodarstwie Hermanna Franka, który kilkukrotnie ją zgwałcił, w wyniku czego zaszła w ciążę) decydowały o przystaniu na warunki okupanta i zasileniu domu publicznego w jednej z niemieckich stref wpływów. Ich sytuacja (podobnie jak homoseksualistów) wymyka się próbom kategoryzacji uniwersum więźniarskiego według klarownych reguł, pozwalających odróżnić dobro od zła ze względu na fakt, że osadzeni odreagowywali w burdelach przemoc fizyczną i psychiczną zadawaną im przez SS-manów.

W przypadku kobiet wyselekcjonowanych do pracy w obozowym puffie nie można używać słów takich, jak: decyzyjność, cwaniactwo, interes lub zysk, za którymi kryłby się pragmatyzm połączony z nadzieją na lepszą jakość życia. Jak relacjonuje Ostrowska, to zarzuty, które w świecie koncentracyjnym rozmijały się ze stanem faktycznym. Wystarczy dodać, że „w przypadku »obsady« burdeli dla robotników mówi się o »zapotrzebowaniu«, »częściowym pokryciu«, »sposobach przewożenia« – zupełnie jak przy transakcjach handlowych" (s. 127).

Obowiązki, których konsekwencjami były m.in. brutalne pobicia, ryzyko zarażenia chorobą weneryczną, a także brak wiary w możliwość normalizacji życia i podjęcia przez naznaczoną więźniarkę/prostytutkę decyzji o zaprzestaniu nierządu po wojnie, stanowiły społeczny stygmat. Jeśli pokusić się o dokonanie bilansu ich pracy, jego wynik przeczy zasadności wykorzystywania „języka korzyści" do opisywania wojennych i dalszych losów przymusowych pracownic seksualnych, ze względu na nieodwracalne zmiany w psychice i wyglądzie byłych więźniarek, a także w zachowaniu (polegającym na wyborze postawy introwertycznej w kontaktach z innymi ludźmi w obawie przed demaskacją). Odkrywanie aspektu seksualności więźniarek i więźniów wiąże się z koniecznością poznania zasad funkcjonowania domów publicznych i ustaleniem motywacji odwiedzających je mężczyzn. Wiadomo przecież, że niektóre pracownice darzone były szczególną atencją i mogły liczyć na hojne prezenty. Zatem oprócz bólu i poniżenia pojawiają się dodatkowe elementy w postaci zależności międzyludzkich, które determinowały sieć określonych zachowań wobec preferowanych kobiet. Znamienne jest wypieranie przez więźniów politycznych faktu, że także przedstawiciele ich grupy korzystali z usług seksualnych pracownic. Wolą powielać i konstruować narrację heroiczną, według której „odwiedzanie puffu uważano zatem za pewien rodzaj zdrady społeczności więźniów politycznych" (s. 172).

W najnowszej publikacji Ostrowskiej najważniejszą rolę odgrywają szczegóły i umiejętność poszukiwania informacji o byłych pracownicach domów publicznych. Niestety personalia i los większości z nich pozostają nieznane, mimo że czas wojny sprzyjał wpisom do rejestrów, list proskrypcyjnych, list deportacyjnych. Niemożliwa jest pełna rekonstrukcja życiorysów niektórych przymusowych prostytutek, a zasoby archiwalne pozostają utajnione (ze względu na dobro ich rodzin i ochronę przed potencjalnymi szykanami): „Przez wiele lat spędzonych w archiwum nie dopuszczano mnie do istniejących oryginałów. Przez czysty przypadek na kilku listach nie zasłonięto jednak nazwisk. W ten sposób udało się wskazać datę pierwszego badania przyszłej »pracownicy« puffu. Stało się to 18 września 1943. Kolejna badania przeprowadzono 22, 25, 27 września 1943. Z dnia 4 października 1943 pochodzi pierwsza lista kobiet z puffu w Stammlager Auschwitz przebadanych na występowanie GO (rzeżączka) " (s. 188). Dla okupanta były towarem, dla współwięźniów zdrajczyniami; do dziś trudno wyjść poza zarysowaną tu alternatywę i zobaczyć w nich wykorzystane i upokorzone kobiety, które nie miały wyboru. Ostrowska stara się przywrócić im ludzkie oblicza, a także zakwestionować ugruntowane i powielane tezy o więźniarkach przynależących do komand seksualnie wykorzystywanych. Ich milczenie wynika ze wstydu i braku zeznań, natomiast ich słyszalność w przestrzeni publicznej mogłaby zmienić dotychczasowy sposób narratywizacji doświadczenia ostatniej wojny.

Książka Ostrowskiej jest kolejną, po publikacjach Aleksandry Ubertowskiej, Maren Röger i Barbary Czarneckiej, próbą unieważnienia anatemy nałożonej na kobiecych świadków historii, którzy ze względu na brak uznania ze strony mężczyzn seksualnej przemocy jako zbrodni, ukrywali przeszłość, ponieważ werbunek do domu publicznego lub obozowego puffu nie licował z apologią działalności konspiracyjnej. Istnienie domów publicznych rozpalało po wojnie zarówno zmysł moralny kombatantów, jak również wyobraźnię pisarzy (*casus* Kątzetnika), którzy redukowali je do pornograficznej narracji o przeszłości podszytej fantazją.

Przemilczane Ostrowskiej to jedna z tych książek, które charakteryzuje rzetelna kwerenda w zasobach archiwalnych i dbałość o zdobycie wszystkich możliwych informacji niezbędnych do zrekonstruowania mikrobiografii bohaterek drugiego planu, często skazanych zaocznie na nieistnienie z powodu uprzedzeń i wykonywania przed wojną niechlubnego zawodu. ■

Joanna Ostrowska: *Przemilczane. Seksualna praca przymusowa w czasie II wojny światowej*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018, s. 462.

fot. Klaus Franke

O sztuce pisarskiej Serbołużyczanina Jurija Brězana

GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK

Twórczość najwybitniejszego autora łużyckiego drugiej połowy dwudziestego wieku Jurija Brězana (1916–2006) znana jest dzisiaj niewielkiej grupie czytelników mimo, iż wiele jego książek zostało przełożonych na kilka języków świata i że za życia pisarza cieszyły się one zainteresowaniem licznej rzeszy odbiorców. W wydanej z okazji stulecia urodzin pisarza publikacji niemieckojęzycznego slawisty Dietricha Scholze pt. *Jurij Brězan. Leben und Werk*, odnajdujemy odpowiedź na pytanie, co leżało u źródeł pisarskich sukcesów Brězana, i jakie okoliczności spowodowały, że po jego śmierci najważniejsze utwory napisane w dwóch językach, serbołużyckim i niemieckim, zostały zapomniane. Warto w tym miejscu przypomnieć, iż fenomen dwujęzyczności charakteryzujący prozę serbołużyckiego twórcy, począwszy od lat jego debiutu i kończąc na ostatnich latach jego życia, otworzył nowy etap w recepcji literatury Serbołużyczan; literatura ta po raz pierwszy znalazła się w kręgu uwagi niemieckojęzycznej krytyki i jako literatura słowiańskiej mniejszości stała się częścią krajobrazu literatury niemieckiej. Z drugiej strony książki, które Brězan pisał w języku łużyckim, w tym również utwory dla dzieci, pełniły niebagatelną rolę w pielęgnowaniu języka i umacnianiu tożsamości lokalnej społeczności. Zdając sobie sprawę, iż liczba mieszkańców łużyckich wiosek systematycznie zmniejszała się w następstwie uprzemysłowienia i procesów migracyjnych w regionie, pisarz starał się dokumentować nie tylko historię i bogate warstwy kultury ludowej małego narodu, ale i jego współczesne przemiany.

Autor monografii, sygnalizując te kwestie, podkreśla, że powieści Brězana ukazujące się w wysokich nakładach w wydawnictwach wschodnioniemieckich, zachęcały niemieckiego odbiorcę do odkrywania nieznanej przeszłości Łużyczan. W nowej rzeczywistosci politycznej po 1989 roku zainteresowanie prozą łużyckiego autora wyraźnie osłabło. Mimo, że w 1995 roku ukazała się druga część jego powieści o Krabacie[1] i że ostatnią swoją książkę pisarz ukończył krótko przed śmiercią w 2006 roku, jego apele o zachowanie praw serbołużyckiej mniejszości do pielęgnowania własnego języka i kultury w zjednoczonym państwie niemieckim nie znalazły nie tylko szerszego poparcia, ale i zrozumienia ze strony serbołużyckich instytucji. Większość Serbołużyczan – na początku nowego stulecia stanowili jedynie 0.07 procenta mieszkańców Niemiec — zdaniem badacza D. Scholzego, uważała Brězana za przedstawiciela „starego politycznego porządku" i nie ufała jego słowom.

Urodzony w katolickiej części Górnych Łużyc, w wiosce Worklecy (niem. Räckelwitz[2]), w rodzinie chłopskiej pisarz -ojciec pracował przez wielelat w kamieniołomie — przez całe swoje życie wspierał Łużyczan w ich dążeniu do zachowania własnego języka, kultury i tradycji. Po drugiej wojnie światowej, kiedy Łużyce stały się częścią Niemieckiej Republiki Demokratycznej (dzisiaj tzw.nowe landy w Niemczech), reprezentował Łużyczan w państwowych organizacjach kulturalnych i literackich, nie ukrywając nigdy swojej łużyckiej tożsamości. Dzieje najmniejszego w Europie narodu, który zachował przez ponad dwa tysiąclecia swój język, przekazując kolejnym generacjom wiedzę o miejscach pamięci, postaciach i historycznych wydarzeniach i który od wieków tworzył własną literaturę, były dla Brězana źródłem jego pisarskich inspiracji. Jego twórczość począwszy od początków lat pięćdziesiątych 20 w. i kończąc na ostatnich latach jego życia przypadających na nowe stulecie, opisywała nie tylko życie codzienne Łużyczan, ich dramatyczne dzieje, przywiązanie do małej ojczyzny, i przeobrażenia krajobrazu, ale odkrywała także zapomniane pokłady serbołużyckiej kultury, legendy, podania i baśnie. Sięgając dzisiaj do książek tego niezwykle utalentowanego epika, warto przypomnieć, o czym pisze także autor monografii, iż Brězan, pozbawiony z uwagi na swoje słowiańskie korzenie możliwości zdawania matury w budziszyńskim gimnazjum, przystąpił do egzaminu dojrzałości w 1938 w toruńskim gimnazjum, gdzie nawiązał pierwsze przyjacielskie więzi z Polakami. Po 1945 roku utrzymywał kontakty ze środowiskiem pol-

skich literatów, w tym również ze środowiskiem katowickim, skupionym wokół dwutygodnika „Poglądy". Przełożone na język polski powieści Jurija Brězana, np. *Na miedzy rośnie zboże,* trylogia o Feliksie Hanuschu, *Wycieczka do Krakowa*, *Czarny młyn* czy *Krabat* stały się okazją do spotkań z polskimi czytelnikami, tłumaczami, pisarzami, slawistami i z germanistami. Pisarz uczestniczył także w organizowanych przez wydawnictwo „Śląsk"i Muzeum Śląskie dniach książki serbołużyckiej i odwiedzał Polskę kilkakrotnie.

W opublikowanej w 2016 roku w wydawnictwie Domowina-Verlag monografii życia i twórczości Jurija Brězana wątki polskie pojawiają się wprawdzie na marginesie głównych rozważań badacza, slawisty i Serbołużyczanina Dietricha Scholze, wprowadzają jednak do biografii pisarza nowe i nieznane akcenty. Tytuł książki *Jurij Brězan. Leben und Werk* (Jurij Brězan. Życie i dzieło), wydanej w języku niemieckim, z okazji stulecia urodzin pisarza, może sugerować, że autor, podejmując próbę całościowej analizy i oceny literackich dokonań Brězana, adresuje ją do czytelnika niemieckiego. Tak jednak nie jest. Licząca 295 stron, bogato ilustrowana publikacja napisana została z myślą nie tylko o przedstawieniu najważniejszych faktów z życia serbołużyckiego twórcy i charakterystyce głównych nurtów w jego literackiej działalności. D. Scholze szkicując portret artysty, przywołuje ogromną ilość uporządkowanych w czasie i udokumentowanych źródłowo informacji o życiu literackim budziszyńskiego środowiska artystycznego, o inicjatywach kulturalnych serbołużyckich stowarzyszeń i instutucji, o polityce kulturalnej wschodnioniemieckiego państwa wobec serbołużyckiej mniejszości. Zrekonstruowany przez badacza i poddany krytycznej refleksji obraz jest wielowymiarowy i wypełnia w badaniach o kierunkach rozwoju kultury i literatury Serbołużyczan po 1945 roku widoczną od wielu lat lukę. Publikacja Scholzego uświadamia poza tym odbiorcy, z jakimi wyzwaniami musiał się zmagać Brězan, żyjąc i tworząc w państwie bądź co bądź represyjnym, w którym nie tylko cenzura, ale i zobowiązania wynikające z przynależności do struktur partyjnych w NRD ograniczały swobodę jego pisania i wypowiedzi. Jako Serbołużyczanin upominający się o prawo swojego narodu do własnego języka i tożsamości, zmuszony był do zawierania kompromisów. Kwestiom tym badacz poświęca wiele uwagi, wyjaśniając ważne dla zrozumienia miejsca pisarza w ówczesnej rzeczywistości dylematy, w oparciu o cytowane źródła. Spojrzenie Scholzego na wielość aspektów w literackiej działalności i społecznej aktywności pisarza i na całość jego pisarskiego dorobku z perspektywy ponad trzynastu lat, które minęły od jego śmierci pozwala dzisiejszemu odbiorcy zainteresowanemu losami mniejszości łużyckiej w Niemczech i ich literaturą poznać powikłane, tragiczne losy Brězana i zajrzeć za kulisy jego zmagań z tworzywem językowym i z artystyczną formą.

Układ książki jest przejrzysty, można w niej bowiem wyróżnić część poświęconą okresowi młodości Brězana, (np. matura w Toruniu po relegacji z gimnazjum budziszyńskiego, aresztowanie przez Gestapo, wojna, niewola, praca w brygadach Młodzieży Serbskiej) i jego młodzieńczym tekstom (wiersze, dramaty, proza), część rekonstruującą literacką drogę pisarza do sukcesu i zawierającą prezentację jego twórczości, powstałej w latach pięćdziesiątych i w następnych dekadach 20 w., oraz część zaznajamiającą ze słabo rozpoznanym przez krytykę dorobkiem artystycznym łuzyckiego autora z lat po przełomie politycznym w 1989 roku i zjednoczeniu Niemiec. Ilość utworów powstałych w ostatnim okresie życia pisarza jest imponująca. Licząc ponad siedemdziesiąt lat kończy drugą część powieści o Krabacie, — publikuje ją najpierw w języku łużyckim, a w rok później w języku niemieckim-udowadniając, że jest nie tylko wybitnym epikiem, ale i uważnym obserwatorem przemian w niemieckiej rzeczywistości, skutków gospodarki wolnorynkowej i niszczenia naturalnego środowiska, w tym wiosek łużyckich. Krytyczny obraz współczesności, zagrażającej tożsamości Serbołużyczan pojawia się również w innych, nie przełożonych niestety na język polski, książkach, w powieści *Ludzie z Salow* (1997), w noweli *Zaproszenie* (2003), także w wydanej w dwóch tomach autobiografii *Mój kawałek czasu* i *Bez paszportu i cła*. Ostatnia książka Brězana *Stary człowiek i ciasna dal* ukazała się dwa miesiące po śmierci pisarza w 2006 roku.

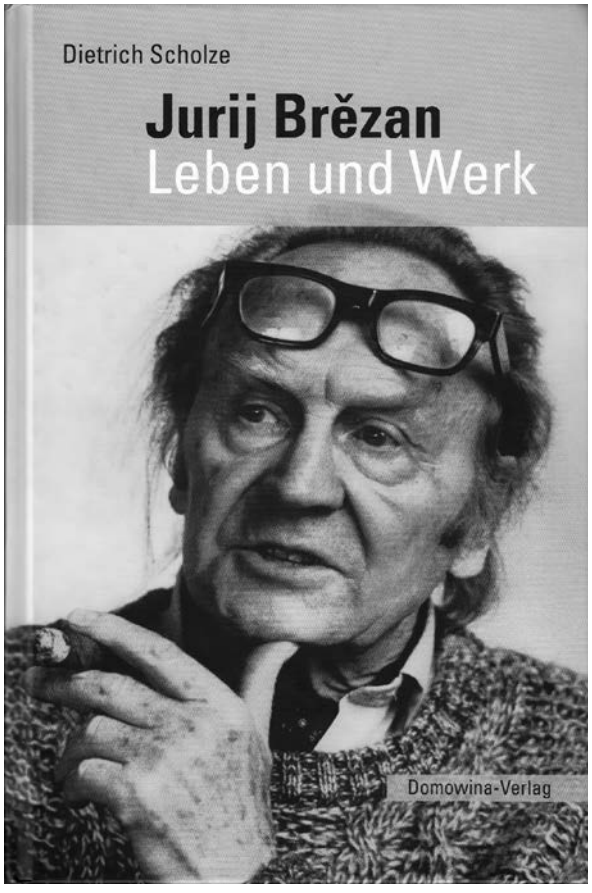

Monografia Scholzego zachęca czytelnika do uważnej lektury prozy Jurija Brězana. Analizy tekstów obudowane są rozdziałami biograficznymi, w których badacz przywołuje także nieznane fakty z ostatnich lat życia pisarza, pisząc o śmierci jego bliskich, ukochanej żony i utalentowanego artystycznie syna Simona.

Jest to pierwsza publikacja[3], która zaznajamia z biografią serbołużyckiego pisarza i z jego zróżnicowaną gatunkowo twórczością. Jej szczególnym walorem poznawczym jest przedstawienie społeczno-kulturalnych i politycznych wydarzeń czasu, rozgrywających się w Niemieckiej Republice Demokratycznej, na Łużycach i po zjednoczeniu Niemiec, wydarzeń towarzyszących literackiej drodze Jurija Brězana, jego życiowym wyborom, sukcesom i porażkom. ■

1 Pierwsza część powieści pt.*Krabat* (tytuł oryginału: *Krabat oder die Verwandlung der Welt*) ukazała się w 1976 roku. Pisarz nawiązał w niej do starego, siedemnastowiecznego łużyckiego podania. Sytuując wielowątkową fabułę w różnych epokach i przestrzeniach (np. w przestrzeniach mityczno-fantastycznych, w przeszłości, we współczesnym świecie), zerwał świadomie z obowiązującą w ówczesnej powieści enerdowskiej zasadą realistycznego pisarstwa. Technika montażu scalająca różne formy opowieści, np. anegdotę, baśń czy legendę i zrywająca z chronologią opisu, pozwalała pisarzowi na swobodną grę z fabularnym czasem.

2 Wioska Worklecy, odnotowana w starych kronikach w 1280 r., była wcześniej osadą słowiańską. Jeszcze pod koniec 20. wieku trzy czwarte jej mieszkańców stanowili Łużyczanie. Ojciec J.Brězana, którego historię życia pisarz opisał w powieści pt. *Bild des Vaters* (1982), pracował przez wiele lat w okolicznych kamieniołomach.

3 Twórczość J. Brězana była kilkakrotnie przedmiotem studiów, przyczynków i rozpraw naukowych w języku niemieckim, rzadziej w języku polskim. Wśród nich warto odnotować wydaną w Sztokholmie w 2006 roku książkę Ewy Teodorowicz-Hellman pt. *W drodze do Krabata. Monografia twórczości Jurija Brězana do roku 1975* oraz rozprawę doktorską śląskiej germanistki Moniki Blidy pt. *Die realen und imaginären Welten im Spätwerk des sorbischen Schriftstellers Jurij Brězan*, opublikowaną w Katowicach w 2013 roku. Monografię D. Scholzego warto przełożyć na język polski.

Dietrich Scholze: *Jurij Brězan Leben und Werk* Domowina Verlag GmbH, Bautzen 2016 , s.295

Opowieść o dzielnych Ślązaczkach

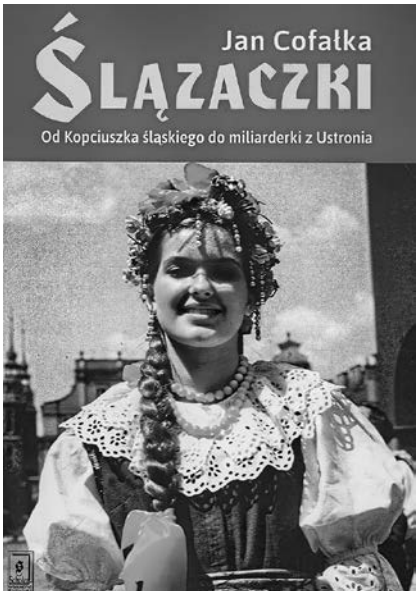

KSIĄŻKI

JAN MIODEK

Jan Cofałka, syn ziemi śląskiej, urodzony w roku 1940 w Rybnej (dziś części Tarnowskich Gór), niestrudzony eksplorator swego ojczystego regionu i losów jego mieszkańców, do imponującej serii składającej się z tomów: *Ślązacy w Warszawie* (2008), *Księga Ślązaków* (2009), *Ślązacy i Kresowiacy* (2011), *Ślązacy w świecie* (2015) i *Legendy sportu śląskiego* (2017) dołożył książkę *Ślązaczki. Od kopciuszka śląskiego do miliarderki z Ustronia,* przygotowaną przez to samo Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR z Warszawy.

Jak poprzednie pozycje i to dokonanie Jana Cofałki imponuje bogactwem zawartego w niej materiału dokumentacyjnego, wartką, potoczystą narracją, wciągającą czytelnika, wreszcie – co najważniejsze — umiejętnością niezwykle atrakcyjnego sfabularyzowania losów bohaterów. Są nimi tym razem dzielne i niezwykłe Ślązaczki: tytułowy śląski kopciuszek, czyli Joanna Gryzik – jedna z najbogatszych kobiet Europy w XIX wieku, Zofia z Poliwodów Hajdukowa — działaczka Związku Polskiej Młodzieży Katolickiej i Związku Polaków w Niemczech, po roku 1945 działaczka społeczna i kulturalna w Opolu, wielka aktorka Aleksandra Śląska — niezapomniana serialowa królowa Bona, Lidia Grychtołówna – wybitna pianistka i pedagog, światowego formatu śpiewaczka Krystyna Szostek-Radkowa, znakomita folklorystka i długoletnia parlamentarzystka prof. Dorota Simonides, królowe telewizji – matka i córka, czyli Krystyna Loska i Grażyna Torbicka, dyktatorka mody w PRL – Barbara Hoff, niezapomniana posłanka i minister Barbara Blida, wybitne dziennikarki radiowe i senatorki – Krystyna Bochenek i Maria Pańczyk-Pozdziej, niezwykła edytorka Sonia Draga i tytułowa miliarderka z Ustronia Teresa Mokrysz. Opowieść o nich zwieńczona jest listą pięćdziesięciu wybranych przez Autora znanych kobiet urodzonych na Śląsku – z wyłączeniem wcześniej w książce opisanych; znalazły się na niej, między innymi, Elżbieta Bieńkowska, Agata Buzek, Anna Dereszowska, Urszula Dudziak, Anna Dziewit-Meller, Marta Fox, Urszula Glensk, Bożena Hager-Małecka, Anna Janko, Otylia Jędrzejczak, Aleksandra Klich, Maria Koterbska, Irena Lipowicz, Magdalena Piekorz, Renata Przemyk, Beata Rybotycka, Karin Stanek, Grażyna Szewczyk, Daria Woszek, Anna Wyszkoni i Ewa Ziętek.

Trudno się nie zgodzić ze słowami prof. Michała Lisa z okładki książki, że „ukazane przez Jana Cofałkę sylwetki kobiet nieprzeciętnych ujawniają, że – osiągając sukcesy na wybranych polach – można swoim życiem przełamywać stereotypy dotyczące płci. Odbywa się to niestety nieraz dużym kosztem. To ważny głos w debacie o społeczeństwie żyjącym nad Wisłą i Odrą. Jest on potwierdzeniem realizacji marzeń pokoleń ludzi tej Ziemi".

O trudzie dochodzenia do życiowych spełnień trzeba mówić szczególnie w odniesieniu do bohaterek z roczników przedwojennych, których nie ominęła jakże częsta wtedy bieda, a potem okrucieństwa wojny i znów niełatwe pod wieloma względami – głównie materialnymi i ideologicznymi — powojenne lata.

Spośród wszystkich postaci książki los związał mnie najsilniej z prof. Dorotą Simonides – przez powinowactwa polonistycznych instytutów Wrocławia i Opola oraz wspólne jurorowanie w konkursie gwarowym „Po naszymu, czyli po śląsku" oraz z red. Marią Pańczyk-Pozdziej, która ten konkurs wymyśliła i oddaje mu serce i duszę, a ponadto jest moją krajanką z Tarnowskich Gór (nasze rodzinne domy były oddalone od siebie o 150–200 metrów, więc mam w pamięci i w oczach Marysię jako dosłownie paroletnią dziewczynkę!).

Na tej samej „Pańczykowej" ulicy Sienkiewicza stał i stoi do dziś dom legendarnego lekarza tarnogórskiego Bronisława Hagera, z którego wyszła prof. Bożena Hager-Małecka (teściowa mego kolegi od pierwszej klasy do matury), a Sienkiewicza przecina ulica Styczyńskiego, którą doskonale zna Elżbieta Bieńkowska, bo przyjeżdżała tam do swojej babci – dobrej znajomej mojej Mamy jeszcze z czasów przedwojennych. Wreszcie – wymieniona na liście pięćdziesięciu Urszula Glensk jako dziewczynka żegnała kwiatami swego odchodzącego na emeryturę dyrektora szkoły, a mojego Tatę, by w kilkanaście lat później stać się moją studentką we Wrocławiu, a potem młodszą koleżanką instytutową i profesorką Uniwersytetu Wrocławskiego. Mam też w oczach i w pamięci Wilhelma Szewczyka, kiedy przyjechał do Wrocławia na obronę doktoratu swej córki Grażyny – dziś wybitnej germanistki, profesorki. Najcieplej wspominam także spotkanie z czytelnikami i telewidzami, jakie odbyłem w Katowicach przed 10 laty, a prowadzone przez Martę Fox, urodzoną w Siemianowicach Śląskich, też przywołaną na liście pięćdziesięciu.

Mógłbym te wspomnienia ciągnąć bez końca, ale też jestem pewien, że każdy, kto się czuje emocjonalnie związany ze Śląskiem, będzie przeżywał dzięki Janowi Cofałce i jego książce nie tylko chwile niezwykłych wzruszeń. Dokonanie to jest również repetytorium wiedzy historycznej i kulturowej o naszym regionie. ■

Jan Cofałka: *Ślązaczki. Od Kopciuszka śląskiego do miliarderki z Ustronia.* Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2019, 371 s.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jakub Pacześniak. *Dno oka*. Wydawca: Biblioteka „Toposu", Sopot 2019.

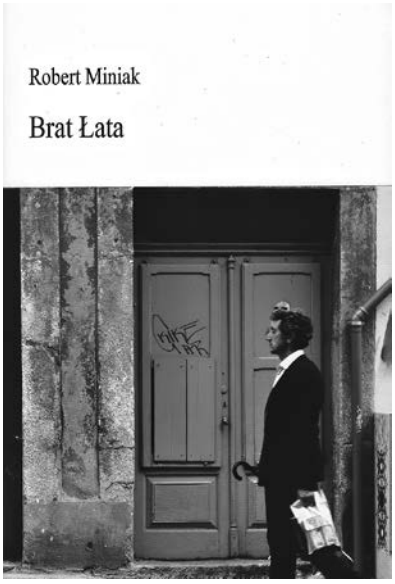

***Robert Miniak*. Brat Lata. Wydawca: Biblioteka „Toposu", Sopot 2019.**

Guliwer. Czasopismo książce dla dzieci. Wydawca: „Śląsk" Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2018

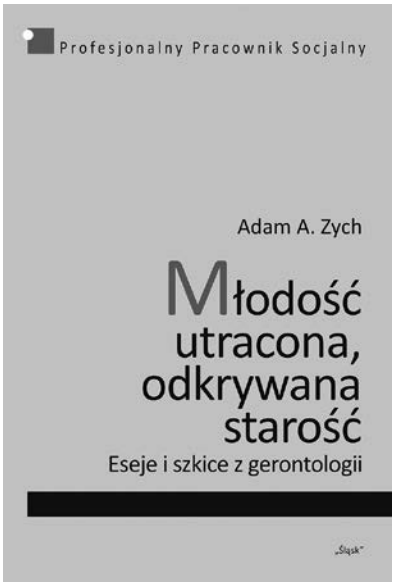

Adam A. Zych. *Młodość utracona, odkrywana starość. Eseje i szkice z gerontologii*. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk", Katowice 2019

Michał Palica. *Rybnik przeszły, mniej znany*. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk", Katowice 2019.

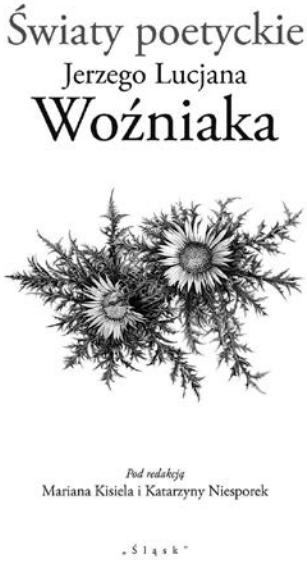

***Światy poetyckie Jerzego Lucjana Woźniaka* pod redakcją Mariana Kisiela i Katarzyny Niesporek. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk", Katowice 2019.**

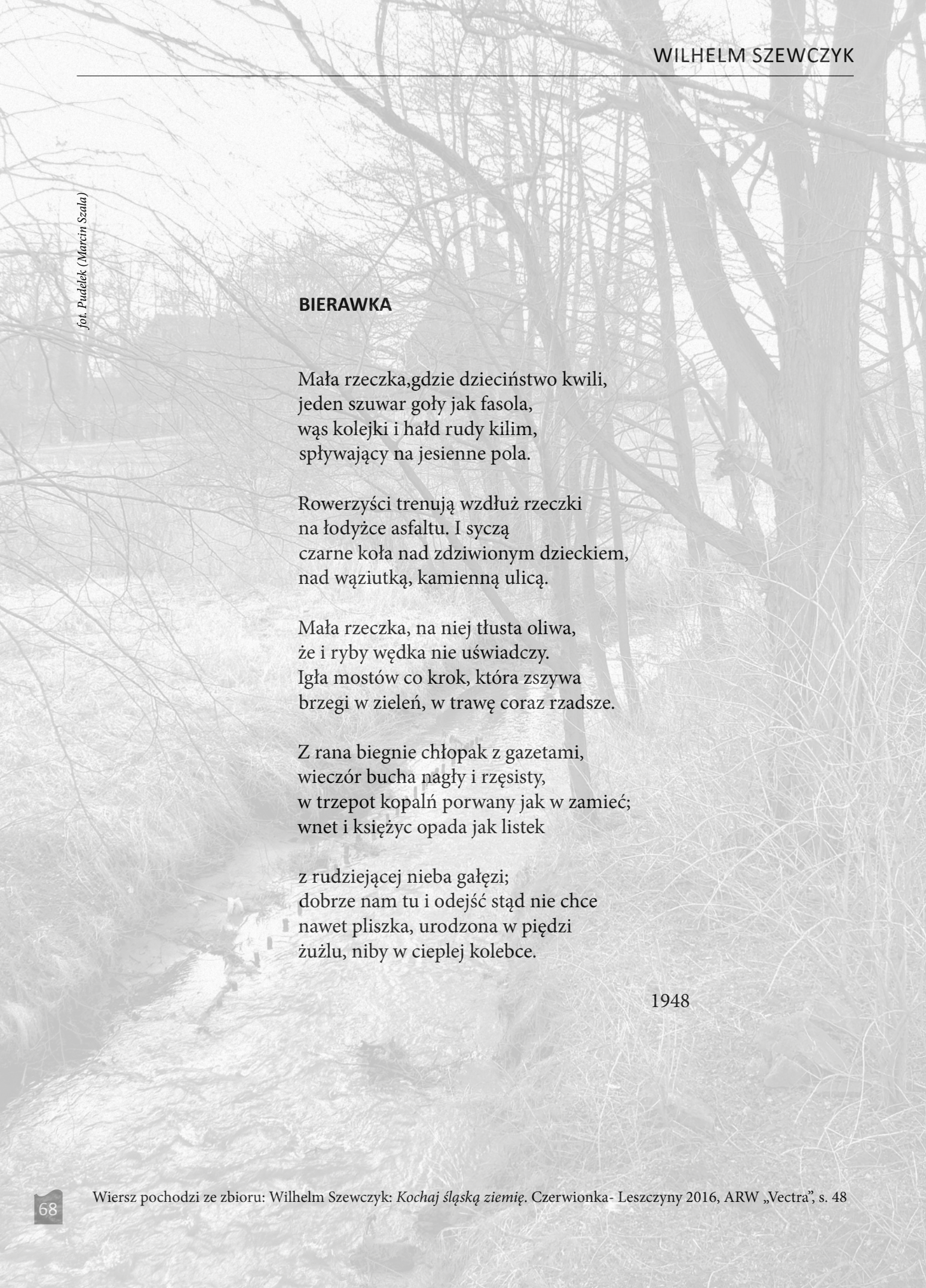

fot. Pudelek (Marcin Szala)

BIERAWKA

Mała rzeczka,gdzie dzieciństwo kwili,
jeden szuwar goły jak fasola,
wąs kolejki i hałd rudy kilim,
spływający na jesienne pola.

Rowerzyści trenują wzdłuż rzeczki
na łodyżce asfaltu. I syczą
czarne koła nad zdziwionym dzieckiem,
nad wąziutką, kamienną ulicą.

Mała rzeczka, na niej tłusta oliwa,
że i ryby wędka nie uświadczy.
Igła mostów co krok, która zszywa
brzegi w zieleń, w trawę coraz rzadsze.

Z rana biegnie chłopak z gazetami,
wieczór bucha nagły i rzęsisty,
w trzepot kopalń porwany jak w zamieć;
wnet i księżyc opada jak listek

z rudziejącej nieba gałęzi;
dobrze nam tu i odejść stąd nie chce
nawet pliszka, urodzona w piędzi
żużlu, niby w cieplej kolebce.

1948

Wiersz pochodzi ze zbioru: Wilhelm Szewczyk: *Kochaj śląską ziemię*. Czerwionka- Leszczyny 2016, ARW „Vectra", s. 48

fot. Janusz Lech Wojcieszak

Katowice. Rawa przecina teren dawnej Huty Baildon. Szpaler drzew po obu stronach koryta służył prawdopodobnie wzmocnieniu nasypów. Zawieszone nad lustrem wody stalowe pomosty – do czego służyły? Cześć terenów dawnej Huty Baildon po wielu przekształceniach stała się publicznie dostępna, można więc zobaczyć jak w tym miejscu wygląda Rawa.

fot. Janusz Lech Wojcieszak

Katowice Szopienice, ul. Sucharskiego. Most kolejowy i nowy most tramwajowy nad Rawą. Pewnego dnia o godzinie 13.26 ruch na mostach był intensywny.

fot. Janusz Lech Wojcieszak

Katowice, zakład produkcji węglików spiekanych na terenie dawnej Huty Baildon. Dodatkowe betonowe umocnienia koryta Rawy chronią zakład przed powodzią. W czasie intensywnych opadów Rawa podnosi swój poziom o około 2 metry.

fot. Janusz Lech Wojcieszak

Katowice, ul. Grundmanna. Stary most kolejowy nad Rawą, w okolicy dopływu wody ze stawów w Załężu. Obecnie most przeznaczony jest dla ruchu pieszego.

fot. Janusz Lech Wojcieszak

Katowice Szopienice, ul. Bednarska. Rawa wpływa do części mieszkaniowej dzielnicy Szopienice. W czasie intensywnych opadów poziom wody w korycie gwałtownie wzrasta, wypełniając całą jego szerokość.

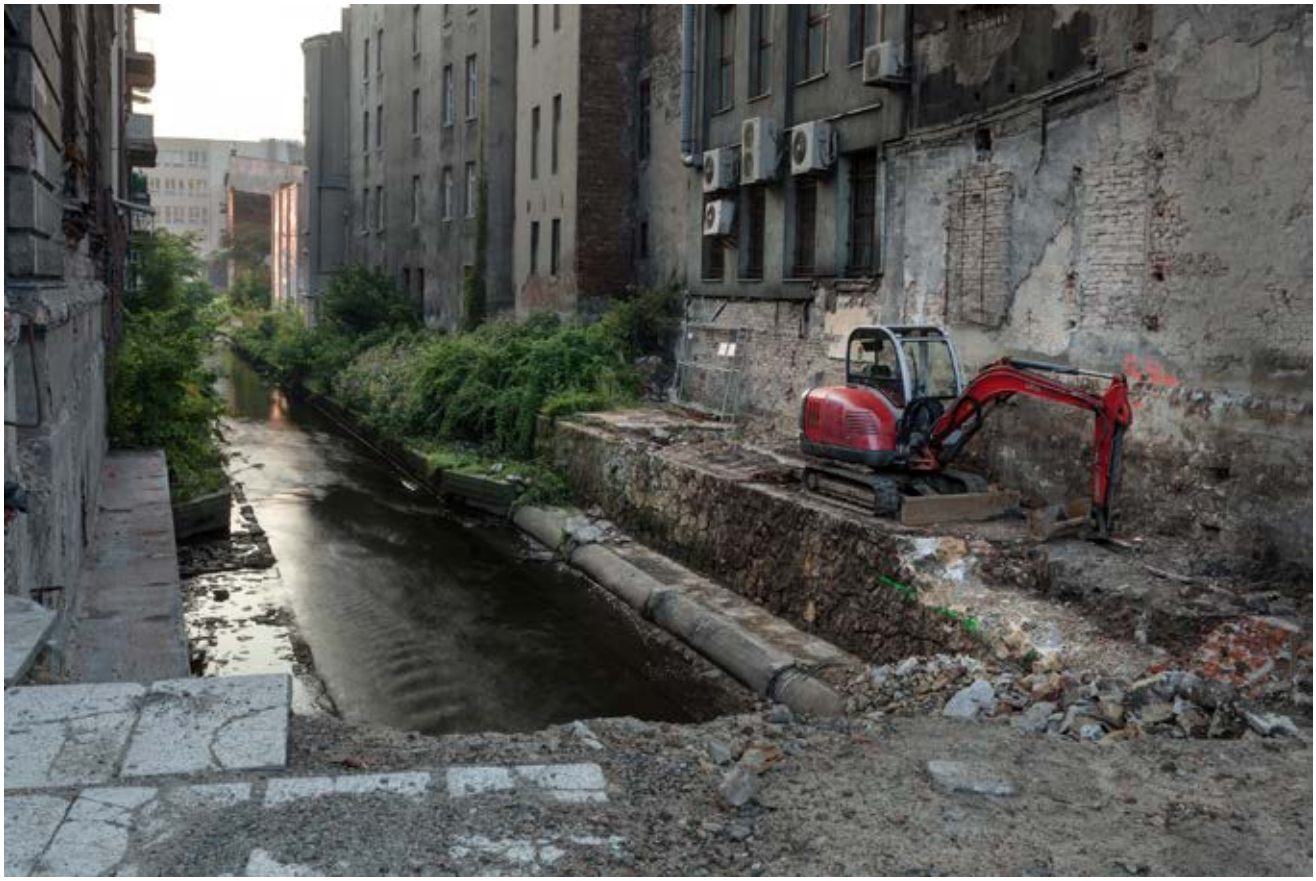

fot. Janusz Lech Wojcieszak

Katowice. Rawa płynąca pomiędzy budynkami przy ulicach Moniuszki i Teatralnej. Od tego miejsca, aż do swojego ujścia, Rawa będzie płynęła w otwartym korycie.

fot. Janusz Lech Wojcieszak

Katowice, dzielnica Załęże. Koryto Rawy rozdziela podwórka kamienic położonych przy ulicy Gliwickiej od terenu dawnej Huty Baildon.

fot. Janusz Lech Wojcieszak

Na granicy Mysłowic i Sosnowca Rawa uchodzi do Brynicy, kilkaset metrów dalej Brynica wpada do Czarnej Przemszy, która po połączeniu się z Białą Przemszą wpływa do Wisły.

Śmiech jak szelest... czyli o muzyce Katarzyny Arnhold

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

rys. *Theo van Gemeren*

Katarzyna Arnhold

W długim cyklu od wieków kontynuowanym na obszarach polskiej muzyki, twórczość Opolanki Katarzyny Arnhold (1968) można metaforycznie nazwać kolejną powieścią o komponowaniu, co więcej powieścią, którą po otwarciu chce się czytać od deski do deski. Na Śląsku mało znana, Arnhold to kompozytorka należąca do muzycznej ekstraklasy, a może lepiej – do Eredivisie (o czym za chwilę). Jej dzieła wykonywano – zbyt rzadko! – podczas ważnych festiwali: Warszawskiej Jesieni, Audio Art w Warszawie i Krakowie, Musica Polonica Nova w Poznaniu, Festival Joven de Música Clásica w Hiszpanii, Foro Internacional de Música Nueva „Manuel Enríquez" w Meksyku, Gaudeamus Muziekweek w Holandii, a także na koncertach w Polsce i za granicą. Laureatka nagród i wyróżnień, autorka kilkudziesięciu dzieł istotnych (w Witkacowym rozumieniu ostatniego słowa), Arnhold całkowicie zasługuje na wysoką pozycję w polskiej i międzynarodowej hierarchii muzycznej, którą zajmować powinna, a jeśli nie zajmuje to wyłącznie z przyczyn nic wspólnego nie mających ze sztuką.

Co mnie w chorym światku artystycznym – wszystko jedno czy polskim, niemieckim, eskimoskim, czy nowogwinejskim – nieodmiennie mierzi jest wewnątrzśrodowiskowa polityka oparta, mówmy wprost, na tym kto z kim kielichem się trąca, kto kogo tuli w pościeli (i nie pomogą tu żadne dramatyczne akcje, wzruszające apele, gwałtowne ataki), albo na tym jaką się reprezentuje orientację, tutaj najszerzej, wieloznacznie pojętą. Arnhold jest więc w jakimś sensie ofiarą własnej niechęci do takich praktyk: nie gra w żadnym zespole (nie muszę wyjaśniać, co mam na myśli), sama jest sobie sterniczką, żeglarką, okrętem, ale właśnie dzięki tej niezależności, tej „splendid isolation" cieszy mnie każdy jej sukces, nawet najdrobniejszy.

Katarzyna Arnhold pochodzi z rodziny o trwałych intelektualnych ambicjach i artystycznych inklinacjach. Np. jej wyjątkowo utalentowana siostra, aktorka Julia Krynke, zbudowała sobie ładną karierę w Anglii, co jest tym bardziej godne podziwu, że akurat w tym zawodzie „wrodzony" obcy akcent raczej przeszkadza niż pomaga. Widziałem Julię w kilku angielskich produkcjach i żałuję, że tak rzadko, jeśli w ogóle, występuje w Polsce – ale, jak mi kiedyś powiedziała, to angielskiemu środowisku aktorskiemu można pozazdrościć zdrowej konkurencji, a nawet – niesłychane! – życzliwości aktorek i aktorów wobec siebie.

Sama Katarzyna zdradzała muzyczne zdolności od wczesnych lat, uczyć się zaczęła w rodzinnym mieście, by potem podjąć studia u wybornej kompozytorki i nauczycielki Grażyny Pstrokońskiej-Nawratil we wrocławskiej Akademii Muzycznej. Poznałem Katarzynę Arnhold jeszcze w drugiej połowie trudnych lat osiemdziesiątych – już wtedy widać było, a może raczej słychać było, że wyrośnie z niej nietuzinkowa artystka: była to dziewczyna mądra, oczytana, wnikliwa, nieustannie głodna wiedzy i nowych artystycznych doświadczeń, a przy tym bezpretensjonalna. I już wtedy była wyśmienitą partnerką w dyskusjach, jako że potrafiła słuchać, ale i zręcznie się spierać. Przywiązana do kultur hiszpańskiej i latynoskiej, studia uzupełniała w Hiszpanii i Meksyku, zaś tytuł Master of Music uzyskała w Conservatorium van Amsterdam, gdzie analizowała pozaeuropejskie techniki muzyczne u Rafaela Reiny, a także muzykę elektroakustyczną. W Amsterdamie po studiach osiadła – i stąd moja początkowa aluzja do holenderskiej Eredivisie (to jasne, że syn Katarzyny, Loran, zdolny pianista, kibicuje Ajaksowi!).

Arnhold jest *par excellence* kompozytorką-kameralistką. Uwagę twórczą ześrodkowała na niewielkich składach wykonawczych, zwykle instrumentalnych lub wokalno-instrumentalnych. W co najmniej kilku utworach łączących współczesne techniki kompozytorskie z praktykami zaczerpniętymi z europejskiego i pozaeuropejskiego folkloru stworzyła muzykę na wskroś oryginalną, nierzadko antycypującą to, co potem zaczęli robić inni, szczególnie w Skandynawii, Kanadzie i USA, miejscach obfitujących w kompozytorki i kompozytorów, dla których to folklor stał się punktem wyjścia do daleko idących, frapujących nieraz eksperymentów. Kapitalnym, wstrząsającym dziełem utrzymanym w tej konwencji są, jak nazywa to autorka, suplikacje funeralne na bas-baryton, dudy, skrzypce i trzy płaczki *Dusza z ciała wyleciała* (2000), jedna z prawdziwych warszawsko-jesiennych sensacji.

Podobne cechy, tj. klarowna forma; głęboka, mistrzowsko cieniowana ekspresja; odpowiednio dobierana kolorystyka, która współgra z założonym *a priori* emocjonalnym klimatem dźwiękowej przestrzeni; łatwość kontaminowania pozornie obcych sobie środków; adekwatna selekcja wokalnych technik wykonawczych (bo z jednej strony każdy tekst można podać na nieskończenie wiele sposobów, ale z drugiej przecież nie wszystkie one są stosowne!), znamionują inne tytuły: *Wygasanie* na głos kobiecy, gitarę, wibrafon i wiolonczelę (1990); *Duder'as* – sekstet wokalny do słów Oliveira Girondo (1995); *Melancholia i czarne słońce* na głos kobiecy, trio smyczkowe i trzech recytatorów do poezji T. S. Eliota (1996); *Alas rotas del dolor* na sopran, kwintet dęty i perkusję do tekstów Fridy Kahlo (1998); a nade wszystko trzy wokalno-instrumentalne arcydzieła kompozytorki: ultra ekspresyjne, bez mała płciowo ekshibicjonistyczne *My Spirits Are Like Birds* na głos, opóźniony pogłos i perkusję (2000); emanujące mistyczną energię *Rang-grol II* na głos kobiecy i dźwięki elektroniczne (2003); oraz urodziwie ekscentryczne *Hay voces libres…* na flet, klarnet, kontrabas i głos flamenco (2006).

Osamotnione miejsce na Parnasie polskiej twórczości wiolinistycznej zajmuje *Śmiech jak szelest zeschłych liści* (1998) czyli, jak chce kompozytorka, „studium szeptu na skrzypce solo", muzyka w swoim barwowym wysublimowaniu i formalno-technicznej finezji arcyprzekonywająca, nie mająca sobie równych oprócz *Eidos* Barbary Buczek; a że interpretacyjnie złożona i napisana przez kogoś o kim mało kto słyszał? Cóż za problem – w Paryżu Berlioza i Chopina też mało kto słyszał o J.S. Bachu, o muzyce nie mówiąc. A chyba mu na złe nie wyszło. ■

Fot. Jeremi Astaszow (Astashow Studio)

Śląskie przypadki De Gaulle'a

WOJCIECH LIPOWSKI

Spektakle Letniego Ogrodu Teatralnego, którego 21. edycja odbywa się w tym roku, prezentują głównie gatunki farsowe, co nie powinno nikogo dziwić, bo lato to najlepsza pora na taki właśnie teatr. Organizatorzy dbają jednak, aby w programie widzowie mogli odnaleźć sztuki o nieco odmiennym charakterze, w tym takie, które odnoszą się do tematów śląskich, zaczerpniętych z historii niedawnej.

Taką propozycję przywiózł Teatr dla Dorosłych z Bierunia, pokazując widzom Letniego Ogrodu sztukę Marcina Melona *Skarb Generała De Gaulle'a*. Tyjater po naszymu, czyli po śląsku, rozpoczął działalność w roku 2013 z inicjatywy Joanny Lorenc, która nie tylko stworzyła go, ale jest w nim reżyserem, a także jednym z aktorów. Pierwszymi spektaklami tego amatorskiego zespołu były jednoaktówki, a z czasem większe formy teatralne. Misją twórców jest pielęgnowanie i krzewienie śląskości, a także – co istotne – propagowanie śląskiej godki za sprawą tekstów pisanych w niej specjalnie na użytek teatru. W minionych latach publiczność miała okazję oglądać przedstawienia *Komisarz Hanusik* Marcina Melona, *Freedland* Macieja Sojki, *Banhoff* Krystiana Gałuszki, największą popularnością cieszyły się ponadto *Afera Makbecioka* oraz właśnie *Skarb De Gaulle'a*.

Marcin Melon, autor sztuki prezentowanej w Katowicach, jest dziennikarzem i nauczycielem anglistą. Nie tylko uczy i pisze, ale również tworzy programy edukacyjne, jest działaczem społecznym, założył Stowarzyszenie na rzecz Edukacji Regionalnej Silesia Schola. Bodaj jako pierwszy napisał powieść kryminalną w gwarze, laureat nagród za jednoaktówki pisane po śląsku. Debiutował taką właśnie formą teatralną opowiadającą o komisarzu Hanusiku, która później rozrosła się do rozmiarów powieści przechodząc w poczytny cykl opowieści o ślonskim policaju. Jego utwory inscenizowali reżyserzy amatorzy oraz profesjonaliści. Wypada wspomnieć Mirosława Neinerta, który dla chorzowskiego teatru Reduta, przygotował interpretację słynnej jednoaktówki *Komisarz Hanusik i Warszawiok*.

Fabuła sztuki Melona pokazanej przez bieruński teatr została osnuta wokół wydarzeń, które miały miejsce w rzeczywistości. Otóż w roku 1920 Charles de Gaulle, będąc młodym oficerem, stacjonował w Bieruniu wraz z oddziałem żołnierzy pilnujących porządku na granicy polsko-niemieckiej i nadzorujących głosowanie podczas plebiscytu na Górnym Śląsku. Po wielu latach, w roku 1967, przyjechał do Polski już jako prezydent Francji, wówczas odwiedził to miejsce i ten historyczny epizod stał się inspiracją dla autora komedii sensacyjno-obyczajowej. Dodajmy, że podczas pierwszej wizyty w Bieruniu De Gaulle podobno pozostawił coś niezwykle intrygującego w tym miejscu i po latach tej „pamiątki" będą usilnie poszukiwać bohaterowie sztuki Melona: Karlik i Ziga Rozmus. Co przyniesie finał zdradzać nie będziemy, bo sztuka cały czas jest w repertuarze teatru.

Trzeba przyznać, że aktorów z Bierunia słucha i ogląda się bardzo dobrze. Niejeden zawodowy zespół mógłby czerpać z ich zapału, energii, zaangażowania i pomysłów scenicznych. Aktorzy Teatru dla Dorosłych pokazali ponadto widzom rzecz niezwykle istotną, a mianowicie jak wielki potencjał komediowy tkwi w śląszczyznie. Oczywiście, nie należy zapominać, że to tylko jedna z możliwości, jakie oferuje. Widzowie Teatru Korez zapewne pamiętają znakomitą sztukę *Mianujom mie Hanka* Alojzego Lysko z poruszającą rolą Grażyny Bułki, gdzie język śląski opowiada prosto i pięknie o rzeczach wzniosłych. Zatem jest to źródło, z którego można czerpać na różne sposoby.

Technika aktorska, budowanie sytuacji scenicznych, w końcu interpretacja tekstu ma w wydaniu bieruńskich aktorów charakter bardzo intuicyjny i spontaniczny, co jest wartością tego przedsięwzięcia teatralnego. W związku z tym, że nie są zawodowymi artystami, nie możemy oczekiwać, że otrzymamy zestaw środków gry aktorskiej, właściwy profesjonalnym artystom, ale przecież nie o to w tym przypadku chodzi. Najważniejsza jest sztuka opowiadania na scenie, a to udało się zrobić bieruńskiemu zespołowi bardzo przekonująco. Śledząc perypetie Karlika (Sławomir Rosowski) i Zigi Rozmusa (Marian Synowiec), nie zwracamy przecież uwagi na ich drobne potknięcia, tylko poddajemy się wyrażanym emocjom i wiarygodnemu przekazywaniu historii, której są bohaterami. Ciekawą rolę stworzył w *Skarbie Generała De Gaulle'a* Janusz Watoła wcielając się bardzo sugestywnie w rolę miejscowego sekretarza partii, trzeba przyznać, że była to przemyślana i pokazana mistrzowsko postać. Wzruszeń i zabawy dostarczyli widzom także pozostali aktorzy wskrzeszający na scenie śląską rzeczywistość lat 60. W pamięci pozostaną bardzo wyraziste sceny z udziałem kobiecych bohaterek sztuki i wzbudzający sympatię publiczności najmłodsi aktorzy bieruńskiego teatru.

Działalność artystyczna Teatru dla Dorosłych jest częścią procesu opisywania, a raczej wyrażania śląskości poprzez odsłanianie po kawałku złożonego charakteru, budowania jej dziejów z różnych, czasem wzruszających i zabawnych, czasem przejmujących ludzkich historii. Wszystko po to, by obraz „piątej strony świata" zyskał kolejny wymiar. Poza tym, jak mówił Kazimierz Kutz: „Jeśli się człowiek gdzieś urodzi, to trzeba z tego czerpać, bo to jest jak statecznik pod łodzią, który nie pozwala jej się wywrócić." ■

Marcin Melon
Skarb Generała De Gaulle'a
reż. Joanna Lorenc
Teatr dla Dorosłych, Bieruń na 21. Letnim Ogrodzie Teatralnym w Katowicach, 3 lipca 2019 r.

Fot. Jeremi Astaszow (Astashow Studio)

W stronę spokojnego morza

WOJCIECH LIPOWSKI

Przeszłość to obszar niepewności, dlatego człowiek niejako zmusza sam siebie do nieustannego utrzymywania się w przekonaniu, że istniała naprawdę, podobnie jak rzeczywistość. Może dlatego w obliczu samotności to właśnie ona jest przywoływana przez pamięć ze wszystkimi możliwościami, jakie w niej były: ludźmi, zdarzeniami, doznaniami, lękiem czy radością. Wszystko po to, by każda prywatna historia życia miała sens, znaczenie, świadczyła, że tamto sprzed lat było prawdziwe.

Na deskach Letniego Ogrodu Teatralnego w Katowicach pojawił się w tym roku spektakl wyjątkowy, pokazujący osobliwą podróż wgłąb własnej przeszłości. Pośród sztuk, jakie oferuje program przeglądu, rzadko pojawiają się tytuły prowokujące widza do pogłębionej konfrontacji intelektualnej, zadawania pytań dotyczących najbardziej istotnych spraw ludzkiej egzystencji. Teatr Lalki i Aktora z Wałbrzycha zaprezentował tego lata taką właśnie pozycję, przetworzoną twórczo klasykę literatury. *Dzień osiemdziesiąty piąty* w reżyserii Agi Błaszczak, inspirowany opowiadaniem Ernesta Hemingwaya *Stary człowiek i morze*, to uniwersalna, piękna od strony plastycznej, wypełniona nostalgią opowieść o sprawach bliskich każdemu: przemijaniu, lękowi przed śmiercią, tęsknocie za obecnością drugiego człowieka, w końcu o heroicznej wytrwałości w dążeniu do obranego celu.

Stary, chory i bezbronny Santiago, płynie w swój ostatni rejs. Morzem jest sala szpitalna a łodzią łóżko. Jedynym towarzyszem pełnej cierpienia podróży staje się pielęgniarz Pablo (w tej roli znakomity Paweł Kuźma, animujący także potężną lalkę Santiago). Zresztą wszystko jest umowne, pielęgniarz raz staje się wnukiem, innym razem chłopcem okrętowym. Natomiast historia o schwytaniu wielkiej ryby, stanowiąca główny motyw kompozycyjny opowiadania, tutaj umieszczona została na pograniczu snu i jawy, gdzieś pomiędzy wirującymi wspomnieniami a pełną bólu szpitalną codziennością. Rozważanie przeszłości przez głównego bohatera dokonuje się poprzez próbę wskrzeszenia minionego świata. Pielęgniarz usłyszy tylko fragmenty opowieści. Nie wiadomo czy zmyślone czy prawdziwe, ale to bez znaczenia, bowiem Santiago tworzy w ten sposób mit osobistej genezy. Powracając do niejednoznacznej przeszłości na łóżku miotanym nie przez morskie fale, ale własne lęki czy obsesje, Santiago wchodzi w labirynt, po którym prowadzi go bardzo zwodnicza nić słabnącej pamięci. Co z tego wynika? Otóż widz otrzymuje bardzo osobistą, ale też uniwersalną w szerszym wymiarze historię wędrówki po świecie powtórzonym. Bardzo osobliwym, bowiem istniejącym już poza człowiekiem, bez możliwości ingerencji oraz modyfikacji. Powyższe przesłanie spektaklu uwidacznia się najpełniej na styku relacji aktora oraz animowanej przezeń lalki. Dwie postaci, dwie egzystencje a równocześnie pełna jedność dwugłosu głównego bohatera, to mistrzowsko wygrana próba odpłynięcia ze szpitalnego nabrzeża, na rybackim żaglowcu, na którego maszcie zamiast flagi znajduje się butelka z kroplówką. Niestety, w tym jak innych wypadkach tylko próba, bowiem odzyskiwanie wspomnień pozostaje w opowiadanej pielęgniarzowi historii zapisem niespełnienia. Przeszłość utrwalona w pamięci Santiago wcale nie jest bezpiecznym portem, podobnie jak każde ludzkie istnienie. Obok szpitalnego łóżka pojawi się jeszcze jeden bohater – postać symboliczna (Filip Niżyński), projekcja halucynacji pacjenta: Śmierć, Duch, Przeznaczenie. Ona uruchomi teatralne instrumentarium efektów specjalnych, wykona taniec śmierci w poruszającym układzie pantomimicznym, rozbudzi wyobraźnię bohatera oraz widzów w takt generowanej i granej na żywo muzyki Pawła Rycherta. Pozostawi obraz odchodzącego życia i samotności. Dodajmy, że autorzy spektaklu mądrze wykorzystali różnorodne środki artystycznego wyrazu, budując symboliczne obrazy w oparciu o elementy teatru cieni, animacje, projekcje multimedialne. Powstała w ten sposób precyzyjnie opracowana estetyczna przestrzeń, ujmująca pięknem, wieloznaczeniowa całość.

W finale przychodzi burza, będzie miotać okrętem starego Santiago, a my nie będziemy już widzieć prześcieradła, sypiących się przez palce niczym piasek lekarstw, szpitalnej sali, całej reszty rekwizytów chorego, zobaczymy na moment znów heroiczne zmagania człowieka ze wzburzonym, niebezpiecznym morzem. Później emocje opadną, morze się uspokoi. Nastąpi przerwa w podróży.

Ten wzruszający spektakl o możliwościach i znaczeniu ludzkiej pamięci będzie uzmysławiać każdemu, że stanowi ona bardzo uciążliwy bagaż. Obserwując zmagania chorego Santiago, czytając historię jego przeszłości, można odnieść wrażenie, iż czasem lepiej ten męczący ciężar odrzucić, pozbyć się go ostatecznie. Perspektywa umierającego człowieka, który w ostatnich chwilach powraca do obsesji, zmagań z wielką rybą, umożliwia jedynie złudny powrót do początku wszystkiego, co zdarzyło się w życiu. Obrazy przeszłości niszczy teraźniejszość, przypominając, że jest tylko krótką przerwą w podróży, rozbłyska na moment, ale już nigdy nie powróci, przeminie niczym morski wiatr. ■

Dzień osiemdziesiąty piąty
adaptacja i reżyseria Aga Błaszczak
Teatr Lalki i Aktora, Wałbrzych na 21. Letnim Ogrodzie Teatralnym
10 sierpnia 2019

fot. Grzegorz Gołębiowski

Barbara Lubos podczas występu „Świat w Obłokach" 25 marca 2018 w Centrum Kultury Łomianki.

Śląsk daje nadzieję

Z **BARBARĄ LUBOS**, aktorką teatralną, filmową i telewizyjną, związaną z Teatrem Śląskim im. S. Wyspiańskiego w Katowicach rozmawia GRZEGORZ ĆWIERTNIEWICZ

Jaki Śląsk oglądałaś oczyma dziecka?
Mój Śląsk był kolorowy. Zawsze patrzę na życie przez pryzmat ludzi. Stworzyliśmy z rodzeństwem świetną paczkę. Należało do niej również nasze kuzynostwo. Dzieciństwo było dla mnie czasem zabawy.

Tak to już jest, że wspomnienia u ludzi optymistycznie nastawionych do świata z każdym rokiem stają bardziej barwne.

A z czym kojarzysz Śląsk dzisiaj?
Urodziłam się w Tarnowskich Górach, w dużej śląskiej rodzinie, ze śląskimi tradycjami. Wciąż żyje moja babcia, która ma dziewięćdziesiąt osiem lat i która obecnie mieszka w Niemczech. Często się spotykamy. Nie tylko od święta. Najważniejsze jest bycie razem. Na przykład w każdą sobotę w domu mojego brata na obiad jest żur śląski. Bez względu na wszystko gar żuru czeka u niego na całą rodzinę. Kto może, przyjeżdża… Najbardziej ze Śląskiem kojarzy mi się więc rodzinność. Podtrzymujemy tę tradycję.

Mówiło się w twoim domu gwarą?
Oczywiście, stąd i moja znajomość gwary. Podszlifowałam ją podczas pracy przy *Cholonku*, spektaklu katowickiego Teatru Korez. Kiedy byłam na studiach, ta gwara wcale mi nie pomagała… Akcent śląski nie był wówczas mile widziany. Czułam się wtedy trochę stłamszona, ale odbiłam sobie to wiele, wiele lat później przy śląskich spektaklach…

A Śląsk jako przestrzeń?
Śląsk to ziemia, na której się urodziłam. W moim przypadku to właśnie Tarnowskie Góry, zabytkowe miasteczko z wielkimi tradycjami, z Zabytkową Kopalnią Srebra, która niedawno wpisana została na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Tarnowskie Góry mają duże tradycje artystyczne. To miasto sztuki i kultury.

A prywatnie — mój tato jest malarzem. Wychowywaliśmy się praktycznie w jego pracowni malarskiej, wśród farb i obrazów…

Co takiego się stało, że dziewczyna z Tarnowskich Gór zapragnęła zostać aktorką a nie malarką?
W ślady ojca poszedł mój brat. Został rzeźbiarzem. Ogromny talent malarski miała moja siostra, Aurora. Ostatecznie jednak zdecydowała się na taniec. Współpracuje z teatrami tańca współczesnego. Tańczy na polskich i brytyjskich scenach. Teraz jest bardziej performerką. Nazywam ją drugą polską Abramowicz. Robi wyjątkowe performensy, a nie ma w Polsce zbyt wielu artystów działających w tej dziedzinie.

Moja droga zawodowa ukształtowana została w pewnym sensie przez moje dwie wychowawczynie — polonistki. Pierwsza, ze szkoły podstawowej, cudowna pani Aleksandra Konieczna, zaszczepiła we mnie miłość do poezji. W czwartej klasie wygrałam Ogólnopolski Konkurs Recytatorski. Od tego rozpoczęła się moja przygoda z występami. To były pierwsze nieśmiałe kroki. Druga, z liceum, pani profesor Janina Krawczyk, założyła z nami bardzo prężnie działający kabaret. Pisaliśmy swoje teksty i braliśmy udział we wszystkich możliwych konkursach. Dzięki występom w domach kultury, obyłam się ze sceną. To właśnie pani Kowalczyk zapytała mnie, czy nie chciałabym spróbować zdawać do szkoły aktorskiej.

Zdecydowałaś się na studia aktorskie we Wrocławiu. Dlaczego nie w Krakowie czy Warszawie?
Najpierw zdawałam do Krakowa. Nie udało się. Przez cały następny rok sama pracowałam intensywnie nad sobą – nad wymową, nad tekstami. I dostałam się do Wrocławia. Jako że kończyłam oprócz dramatu wydział pantomimiczny, szczególnie zapamiętałam wspaniałe zajęcia

z Jerzym Kozłowskim, wybitnym aktorem z przedstawień Henryka Tomaszewskiego.

Odległość między Tarnowskimi Górami a Wrocławiem to mimo wszystko prawie dwieście kilometrów!

Ale Wrocław to piękne miasto! Poza tym były fantastyczne połączenia kolejowe, których dzisiaj już nie ma. Uwielbiałam jeździć pociągiem lokalnym do Opola. Pejzaże na tej trasie były i są niesamowite. W Opolu przesiadałam się na pociąg do Wrocławia. Bardzo miło wspominam tamten czas. Z sentymentem wracam do dnia, w którym jechałam na egzaminy wstępne — z Tarnowskich Gór na podbój świata…

Do rodzinnego miasta pojedziesz po latach z monodramem *Kamień. Rzecz o Edycie Stein*. Dostaniesz wtedy zresztą nagrodę od burmistrza. Nie tylko za to przedstawienie, ale również za działalność na rzecz kultury… Skąd pomysł właśnie na opowieść o życiu świętej Kościoła katolickiego?

Podczas jakiegoś wernisażu poznałam dwie wspaniałe siostry – Anetę i Elżbietę Więcek. Kończyły wtedy filozofię w Katowicach. Były zafascynowane postacią Edyty Stein i bardzo zagłębione w jej życie i podejście do świata. Zapytały mnie podczas tego wernisażu, czy nie zainteresowałby mnie taki właśnie materiał. Po jakimś czasie przedstawiły napisany przez nie tekst…

Od razu monodram?

Nie. Najpierw sztukę na większą liczbę osób. Bez żadnego wsparcia finansowego wystawiłyśmy ją w Galerii „Pod-Nad", galerii malarskiej, należącej do moich rodziców. To było totalne szaleństwo. Ja zagrałam Edytę Stein. Zorganizowałyśmy też chór, składający się z czterdziestu dziewczyn, które napisały muzykę rozpisaną na głosy, nawiązującą do czasów Karmelu. Mieliśmy muzykę Bronisława Dużego, wybitnego katowickiego muzyka, puzonisty, wykładowcy Akademii Muzycznej. Mój brat, Artur, jako że jest plastykiem, przygotował scenografię i światła. Wszyscy zgodzili się pracować dla idei, dla Edyty Stein. Poza tym, jak już wspomniałam, tekst był naprawdę świetnie napisany.

Zdecydowaliście się jednak na zmianę formuły.

Potem to trochę ewoluowało. Ciężko było grać w tak rozbudowanej formie. Dziewczyny przepisały to na monodram. To był dobry pomysł, bo monodram spotęgował wrażenie samotnej drogi Edyty Stein. Udało się wydobyć dramaturgię jej postaci. Grałam ten spektakl w bardzo wielu miejscach – i w Polsce, i w Niemczech. To było dla mnie bardzo ważne i pod względem osobistym — duchowym, i artystycznym. Po raz pierwszy mogłam spróbować swoich sił w tej formie teatralnej.

A jak na to przedstawienie reagowała publiczność?

Cisza, skupienie i wzruszenie. Niektórzy po raz pierwszy usłyszeli o Edycie Stein. To było ważne.

Spodziewałaś się, że jako dwudziestolatka zostaniesz laureatką Przeglądu Piosenki Aktorskiej?

Było to w 1991 roku. W tamtych czasach bycie laureatką odczytywało się naprawdę jako duży sukces. Rządził się on wtedy zupełnie innymi prawami. Etapów do finałowego koncertu było sporo. Znaleźć się w dziesiątce laureatów, to już było coś. Bardzo cenię sobie to doświadczenie. Przesłuchiwał mnie profesor Aleksander Bardini. Było to moim szczęściem i nieszczęściem. Szczęście i zaszczyt – bo mnie przesłuchiwał, nieszczęście – bo śpiewałam w zupełnie niekonwencjonalny sposób, jeszcze nie do końca przyjęty. Zaczęła wchodzić dopiero szkoła Wojtka Kościelniaka… Ktoś mi powiedział, że Bardini, słuchając mnie, miał uszy przytknięte i w ogóle na mnie nie patrzył…

Co wtedy śpiewałaś?

Robiłam wariację na temat piosenki *Celina* taty Kazika – Stanisława Staszewskiego. Repertuar był nie ten. Obowiązywał kanon śpiewania na czarno, bez ruszania się, a ja odstawiłam tam jakiś kabaret, jakieś szaleństwo. To było nowe myślenie o piosence aktorskiej, wprowadzone właśnie przez Kościelniaka. To był czas przełomu. Zapoczątkował go Mariusz Kiljan, kiedy zaśpiewał, lekko błaznując, piosenkę Stinga *Księżyc nad Burbon Street*. Za swoją interpretację otrzymał zresztą nagrodę Grand Prix na XV Przeglądzie Piosenki Aktorskiej.

To był pierwszy poważny sukces. Bardzo szybki sukces…

Pomimo że minęło od niego już wiele lat, wciąż spotykam ludzi, którzy pamiętają moje wykonanie. Zapadłam więc w pamięć. I to jest bezcenne!

Artystyczną drogę obrała również twoja córka – Justyna Święs. Jest wokalistką, nawet już nagradzaną, autorką tekstów, ale i aktorką… Pomimo ogromu obowiązków zawodowych, znajdujesz czas, by podróżować za nią po kraju, zasiadać na widowni i wspierać ją w karierze…

Tego się nie da opisać. Ważny jest dla mnie osobisty rozwój, ale sukcesy dziecka, które zdarzają się dzięki talentowi otrzymanemu od Boga, cieszą najbardziej. Od najmłodszych lat potrafiła stanąć na scenie i oczarować ludzi swoim głosem.

Justyna nie kształciła się w kierunku śpiewu. Profesjonalnie zaczęła śpiewać jako piętnastolatka. Wtedy pracowała już nad pierwszą płytą, za którą w 2015 roku, wraz z Kubą Karasiem, otrzymała nagrodę polskiego przemysłu fonograficznego Fryderyka w kategorii „Fonograficzny debiut roku". Przeszła przyspieszony proces artystyczny. Obserwuję ją. Widzę, jak zmienia się i jako kobieta, i jako artystka. Obrała sobie trudną drogę. Z jednej strony śpiewa w zespole *The Dumplings*, do którego należy również wspomniany wspaniały Kuba, troszczący się głównie o sferę muzyczną. Jest bezpiecznie, bo są we dwoje. Z drugiej strony Justyna mierzy się ze swoją karierą – jako Justyna Święs. Pisze właśnie teksty na swoją solową płytę.

Nie odradzałaś córce, by nie wstępowała na tę trudną drogę?

Tego się nie da odradzić. Albo się człowiek rodzi artystą, albo nie.

Wróćmy do Wrocławia. To tutaj, jeszcze jako studentka, na deskach Teatru Polskiego wystąpiłaś w *Matce Joannie od Aniołów* w reżyserii Feliksa Falka. Grałaś jedną z zakonnic.

„Grałam" to za dużo powiedziane. Szalałyśmy na scenie, bo co mogły robić opętane zakonnice?! Bawiły nas nasze kostiumy. Wybrałyśmy się w nich raz na spacer po Wrocławiu. A że byłyśmy pięknymi dziewczynami, wszyscy się za nami oglądali, myśląc, że jesteśmy prawdziwymi siostrami zakonnymi.

Udział w przedstawieniu określiłabym studencką, pouczającą przygodą. Byłam wtedy na drugim roku, nie do końca świadoma tego zawodu i trudności z nim związanych. Twórcy szukali wśród studentów pomocy. Stanęłyśmy więc przed pierwszym wyzwaniem.

Tytułowa, główna rola należała do Ewy Skibińskiej…

No właśnie! Spotkanie z Ewą Skibińską, wybitną aktorką było dla mnie ogromnym przeżyciem! Pewnie jeszcze wtedy nie wiedziała, że zajdzie tak daleko. Była wtedy jeszcze przed współpracą z Krystianem Lupą. Trwającą zresztą do dziś. Tak naprawdę to Lupa ją odkrył dla teatru i wyeksponował jej kunszt. Skupiałam się podczas całej tej pracy nie na sobie, ale na niej. Miała przed sobą trudne zadanie. Widziałam, jak bardzo męczyła się na próbach. Miała do reżysera mnóstwo pytań. Nie wiedziałam wtedy, że aktor może zadawać ich aż tyle i że w ogóle może. Wydawało mi się wówczas, że aktor nie ma nic do powiedzenia. Jako studenci w ogóle nie mieliśmy poczucia wolności. Zwłaszcza takiej, jaką miała Skibińska w trakcie tworzenia swojej postaci. I to mnie najbardziej fascynowało.

Nie myślałaś o tym, by związać się zawodowo ze stolicą Dolnego Śląska?

Nie. Wróciłam na Śląsk za byłym mężem, Arturem Święsem. On też ukończył wrocławską szkołę teatralną. Po studiach dostał pracę w Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Zaangażował go znakomicie prowadzący ten teatr dyrektor Dariusz Miłkowski. Ja również znalazłam tam zatrudnienie.

Zresztą za mężem czy nie – i tak bym wróciła, bo ja Ślązara jestem! Nie mogłabym nigdzie indziej żyć ani tworzyć. Jestem utkana z tego miejsca, z tych ludzi, z tych tradycji…

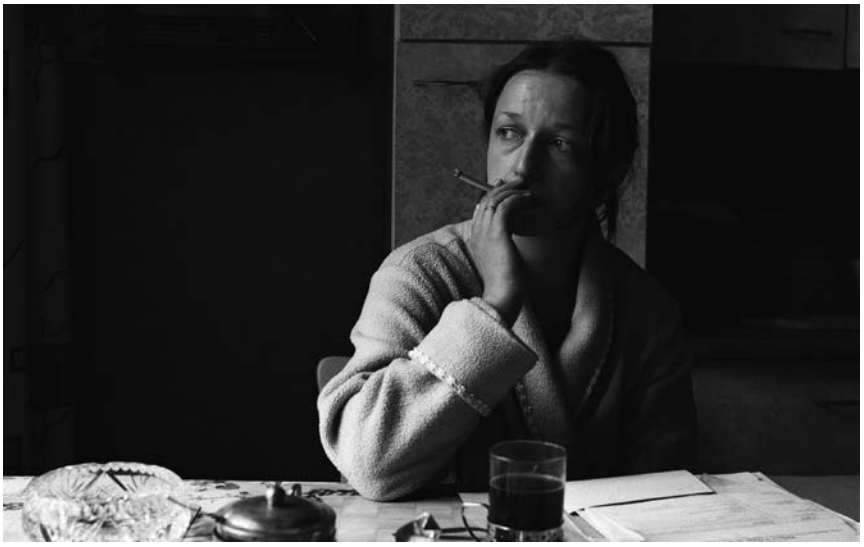

Barbara Lubos w roli Gizy w filmie „Ewa".

Aktorką Teatru Rozrywki w Chorzowie byłaś przez cztery sezony. Bez predyspozycji wokalnych trudno byłoby zagrać ci w przedstawieniach, w których zagrałaś…

Kocham śpiewać, ale doszłam do wniosku, że teatr musicalowy to kompletnie nie mój klimat. Lubię inny rodzaj śpiewania. W musicalu bardzo źle się czułam. Ta forma teatralna rządzi się innymi prawami. Wspominam to jednak jako bardzo ciekawe doświadczenie.

W międzyczasie miałam też premierę w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Zadzwonił do mnie Andrzej Zarycki i zaproponował udział w spektaklu *Królowa przedmieścia*, który wyreżyserował Jan Błeszyński…

Zgodziłaś się i zagrałaś gościnnie Manię…

To był właściwie mój debiut teatralny. Przygotowywaliśmy to przedstawienie przez pół roku. Dyrektor Miłkowski dał mi zielone światło, więc mogłam spokojnie próbować. To był wodewil. Każde doświadczenie tego typu utwierdzało mnie jednak w przekonaniu, że takie formy nie są dla mnie. Ale jako widz — uwielbiam!

Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, że na początku proponowano ci głównie do grania bohaterki natchnione? Byłaś albo Edytą Stein, zakonnicą, albo Matką Boską…

To prawda! Śmiałam się kiedyś, że funkcjonuję w skrajnościach. Zaczęłam od ról bardzo uduchowionych, a skończyłam na zupełnie innych *(śmiech).* Mój aktorski wachlarz jest bardzo szeroki. Przeszłam przez święte, przez matki Polki, ciężarne i kobiety o skrajnej profesji…

Po Chorzowie był Sosnowiec i Teatr Zagłębia. A tam – Maria w *Wieczorze Trzech Króli* Szekspira, Irina w Trzech siostrach Czechowa, Księżna Himlaj w *Operetce*, Młodziakowa w *Ferdydurke*, Katarzyna ze *Ślubu* Gombrowicza, Rachel w *Weselu* Wyspiańskiego, tytułowa *Antygona* z dramatu Sofoklesa czy Hanka z *Moralności Pani Dulskiej* Zapolskiej. Złoty czas! Klasyka żywa!

Sama obrałam drogę w kierunku dramatu i powędrowałam do Sosnowca. Życie określają przypadki. Zrobiłam w trzy dni zastępstwo w świetnym chorzowskim spektaklu *Tango Oberiu 1928* w reżyserii Łukasza Czuja. Dostałam za tę rolę nagrodę na Ogólnopolskim Festiwalu Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona", organizowanym przez Teatr Nowy w Zabrzu. Tam zobaczył mnie dyrektor Adam Kopciuszewski i zaprosił mnie do sosnowieckiego teatru dramatycznego. Spędziłam w nim ponad pięć lat. Tam też się wszystkiego nauczyłam. To była szkoła życia, szkoła aktorska w najlepszym wydaniu. Miałam szczęście zagrać naprawdę duże role. Jedną z nich była na przykład Księżna Himlaj — rola raczej dla starszej aktorki. Jacek Bunsch, reżyser spektaklu, zrobił zupełnie na opak i wszystkim nam się to opłaciło. A mnie na pewno. Zdobyłam cudowne doświadczenie sceniczne grania w formie, grania bohaterek Gombrowicza, właśnie tą formą, którą kocham. Paradoksalnie, takie granie daje mi pełną wolność. Ten rodzaj teatru i wypowiedzi bardzo mi odpowiada.

Zagrałam też w *Trzech siostrach* w reżyserii Bogdana Cioska…

Za rolę Iriny odebrałaś w 2001 roku śląską nagrodę – Złotą Maskę…

Cieszę się, że moja postać została dostrzeżona. Kochanego Czechowa zagrałam raz i nigdy więcej się to już nie powtórzyło. Mamy inne czasy. Obecnie gra się więcej tekstów współczesnych, a klasyka jest pomijana. A szkoda, bo przecież repertuar klasyczny uczy najbardziej.

W międzyczasie – *Cholonek* w reżyserii Mirosława Neinerta, grany z powodzeniem od piętnastu lat na deskach katowickiego Teatru Korez. Nudzi czy wyzwala potencjał?

Wtedy otworzyły się przede mną nowe drzwi i stanął w nich nowy dla mnie typ bohaterki. Może nie do końca nowy, bo ze śląskim materiałem zetknęłam się kilka lat wcześniej, grając Erykową w *Angelusie*. Był to film Lecha Majewskiego o Śląsku, w którym należało mówić gwarą. Przekonałam się wówczas, że warto było ją pielęgnować.

Przydała mi się też w *Cholonku,* będącym również śląską opowieścią… Gramy to przedstawienie już tyle lat i wszyscy się w nim starzejemy. Wciąż jednak jest dla nas wielką przygodą i wciąż wyzwala pozytywne emocje. Z trwogą myślę o tym, że mogłaby się ona kiedyś skończyć. Nigdy nie zagraliśmy *Cholonka* tak samo. Często jest to improwizacja i dostosowanie się do sytuacji, która wydarza się tu i teraz.

Wydaje mi się, że moim zawodowym kluczem są spotkania z ludźmi, którzy określają mnie i moją pracę. Spotkałam się w tym spektaklu z fantastycznymi ludźmi – Grażyną Bułką, Ewą Grysko, Izabelą Malik, Mirkiem Neinertem, Dariuszem Stachem i Robertem Talarczykiem.. Mówimy o sobie rodzina cholonkowska lub klan cholonkowski. Świetnie się ze sobą bawimy. Pokochaliśmy się, jak w prawdziwej śląskiej rodzinie To nie jest czcze gadanie. My się naprawdę bardzo lubimy i bardzo szanujemy.

Jak przystało na relacje w małej ojczyźnie…

Śląsk jest naszą małą ojczyzną. Bardzo rozwojową. Na moich oczach powstała Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia, powstało Muzeum Śląskie, powstało Międzynarodowe Centrum Kongresowe, mające bardzo dobrą energię. Często jeżdżę na to wzgórze, by popatrzeć z niego na całe Katowice. Tam odbywa się często Industriada, coroczne wydarzenie promujące Szlak Zabytków Techniki Województwa Śląskiego. Jedną z imprez towarzyszących Industriady 2016 był spektakl *Rasa. Pieśni antracytu,* w którym miałam okazję wystąpić. „Rasa" — à propos Ślązaków. Śpiewaliśmy piosenki, dotykające tematu górnictwa i wspólnoty górników – trudu ich pracy i specyfiki społeczności. Ze sceny rozbrzmiewały lokalne pieśni tradycyjne i melodie z Wysp Brytyjskich, Stanów Zjednoczonych i Polski.

Autorem tłumaczeń tekstów na język śląski był profesor Zbigniew Kadłubek, obecnie dyrektor Biblioteki Śląskiej w Katowicach, bardzo ciekawie myślący o Śląsku i o zbiorowości Ślązaków. To genialne widowisko w reżyserii Marcina Gawła zostało zarejestrowane i wydane na płytach. Można więc i posłuchać, i obejrzeć.

Wygląda na to, że Śląsk muzyką stoi?!

Nie tylko, ale rzeczywiście na Śląsku jest obecnie niesamowity boom na rozwój muzyki. Powstaje mnóstwo zespołów, bardzo prężnie działa nasza Akademia Muzyczna, w której studiują ludzie z całego świata. Działa w niej wydział jazzowy na najwyższym poziomie, na którym pracują najlepsi muzycy.

Mamy OFF Festival Katowice, tworzony przez Artura Rojka, związanego

przez lata z grupą Myslovitz. Mamy też Tauron Nowa Muzyka Katowice, festiwal muzyki elektronicznej, łączący postindustrialne lokalizacje z futurystycznymi dźwiękami. Oba przygotowywane są na światowym poziomie.

Rozwija się nie tylko kultura muzyczna. Prężnie działa również Wydział Radia i Telewizji im. Krzysztofa Kieślowskiego, kształcący utalentowanych reżyserów, o których bardzo szybko robi się w Polsce głośno. Dla mnie Śląsk jest miejscem, które daje nadzieję!

Od dłuższego czasu zafascynowany jestem teatrem śląskim jako zjawiskiem. Zajmuje mnie pojęcie prawdy – czy prawdziwości – która nie jest tak oczywista w przypadku innych teatrów. Może poza Teatrem im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy za dyrekcji Jacka Głomba, znakomitym teatrem na polskiej mapie teatralnej. Odnoszę wrażenie, że i ty wciąż jesteś teatrem śląskim zafascynowana, a sam Teatr Śląski w Katowicach stał się twoim drugim domem…

I jako instytucja – Teatr Śląski, i jako teatr śląski – jako obszar i jego problematyka. Każdemu artyście życzę prawdy, wynikającej z rzeczywistego, szczerego odczuwania. Pozwala ona na uczciwe sceniczne wypowiedzi.

Często słyszę, że ja nie muszę niczego grać, niczego udawać. Wystarczy, że będę na scenie prawdziwa. Traktuję takie słowa jak komplement.

Nie jestem obserwatorką tego, co dzieje się w śląskim teatrze. Jestem wewnątrz. I to za sprawą Roberta Talarczyka. Przygoda ze śląskim teatrem i jego autentycznością rozpoczęła się od *Cholonka,* o którym już kilkakrotnie wspominaliśmy. Kontynuacją, jeśli tak można powiedzieć, była *Piąta strona świata* na podstawie powieści Kazimierza Kutza, którą Robert Talarczyk, już jako duże przedstawienie, wyreżyserował w Teatrze Śląskim.

Po tych dwóch przedstawieniach, a właściwie trzech, bo jeszcze należy wspomnieć o spektaklu *Wujek.81. Czarna ballada*, przyszedł czas na *Dracha* Szczepana Twardocha, którym Talarczyk chciał zamknąć niejako cykl teatralnych opowieści o Śląsku. Oby to nie było ostatnie przedstawienie o tej tematyce…

Nie dajesz się jednak zaszufladkować w tematyce lokalnej. Grasz na katowickiej scenie między innymi w spektaklach na podstawie utworów Schulza, Wyspiańskiego czy Rymkiewicza. Współpracujesz z ważnymi reżyserami. Wystarczy wspomnieć o Radosławie Rychciku czy Piotrze Cieplaku.

Spotkanie z Piotrem Cieplakiem przy *Porwaniu Europy* było ważną artystyczną przygodą dla całego zespołu. Ten spektakl był wyjątkowo precyzyjnie zbudowany. Miał trudną konstrukcję dramatyczną. To była zegarmistrzowska robota. Technika miała ogromne znaczenie. Niemniej, kiedy trzeba było odpalić petardę, odpaliliśmy nasze dusze… Wtedy dopiero spektakl miał sens. Cieplak pozwala się uwolnić. Kilka razy zdarzyło mi się, że zostałam przez reżyserów zamknięta i nie potrafiłam się w danej przestrzeni otworzyć. To prowadzi do aktorskiego niepowodzenia. Nieprzyjemnie się w takim przedstawieniu gra i aktor ma poczucie klęski. U Cieplaka jest precyzja, a w jej ramach – ogromna wolność aktora i zespołu.

Twoje wejście do Teatru Śląskiego było dość mocne i zauważalne. Myślę tu o roli Lady Makbet, świetnej roli, jak pisali o niej krytycy.

Przydało mi się przygotowanie, które dostałam w Sosnowcu. Granie dużych ról sprawiło, że przestałam się bać. W dobrym tego słowa znaczeniu. Myślę tu przede wszystkim o odwadze w kreowaniu postaci i otwarciu na wyzwania. *Makbeta* reżyserował Henryk Baranowski, ówczesny dyrektor artystyczny Teatru Śląskiego. Bardzo zresztą zmienił tożsamość tego miejsca, zarysował jego przyszłość po swojemu. Casting do *Makbeta* trwał pół roku. Przewinęło się przez niego mnóstwo aktorek i aktorów. To był spektakl polsko-angielski. W rolę tytułowego bohatera w premierowym przedstawieniu wcielił się Peter Tate. Język oryginału zawsze brzmi lepiej niż język przekładu. Publiczność słuchała wygłaszanych przez niego monologów z zapartym tchem. Ze mną włącznie Musiałam uważać, żeby się nie zasłuchać, bo w końcu grałam jego żonę…

Twoje aktorskie emploi jest bardzo szerokie. Znakomicie odnajdujesz się w rolach komediowych i dramatycznych. W których czujesz się najlepiej?

Lubię grać i komediowe, i dramatyczne, choć bliżej mi jednak do ról dramatycznych i tragicznych. Zawsze emocjonalnie byłam bardziej dojrzała w stosunku do swojego wieku i często grałam starsze osoby od siebie. Teraz jest odwrotnie. Mam do życia coraz większy dystans. Przestałam cierpieć za miliony…

Cechą i podstawą twojego aktorstwa – czy to teatralnego, czy to filmowego, choć w teatralnym widać ją bardzo wyraźnie, jest prawdziwość. Płynie ona z serca czy z techniki?

Technika jest niezbędna do tego, by grać, by wyjść na scenę czy stanąć przed kamerą, ale ja jestem aktorką intuicyjną, utkaną z emocji. Tak też buduję swoje role. Każda jest zawsze bardzo emocjonalna. Mam przy tym jedną zasadę — muszę być po prostu przekonana do tego, co robię i w to wierzyć. Nigdy nie zrobiłabym czegoś, co byłoby wbrew mnie.

Jaki jest więc przepis na dobre śląskie aktorstwo?

Dla mnie aktorstwo to… intuicja. To, co w duszy gra, ten żar wewnętrzny. Dzięki temu ten zawód mnie nie męczy i nie nuży i wciąż sprawia ogromną radość.

Tak się zastanawiam, czy Śląsk nie stał się granicą twojego świata… Myślę tu nie tylko o roli w Cholonku, ale również o Matce z Piątej strony świata, Mamie Rafała z Wujka. 81…, Dziennikarce z Himalajów czy Valesce Magnor z Dracha.

Nie. Absolutnie. Śląsk stał się pretekstem do poznania siebie i świata oraz wyjścia do tego świata.

Przed dziewięcioma laty stworzyłaś niezapomnianą kreację w filmie *Ewa* w reżyserii Adama Sikory i Ingmara Villqista. Wydawało się, że Giza otworzy ci drzwi do filmowego świata. A może otworzył, ale ty nie skorzystałaś?

Drzwi otworzył mi *Angelus* w reżyserii Lecha Majewskiego, dziś już chyba kultowy.

Ale to za rolę Gizy, główną rolę, otrzymałaś, podczas siódmej edycji Festiwalu Polskich Filmów w Nowym Jorku, Nagrodę im. Elżbiety Czyżewskiej dla najlepszej aktorki, przyznaną zresztą podczas tego festiwalu po raz pierwszy…

Ten film to osobny rozdział w moim życiu, bardzo ważny. To spotkanie z wybitnymi twórcami. Mimo iż od premiery upłynęło wiele lat, wciąż jest pokazywany na małym ekranie.

Teatr czy film? Co twoją wielką miłością?

Teatr. Największą. Film jest bardzo wymagający i zawsze wiele więcej mnie kosztował. Aktor ma na ostateczny kształt mniejszy wpływ niż w przypadku spektaklu teatralnego. Teatr dla mnie jest bardziej prawdziwy. Jest zmienny. Daje większe możliwości do improwizacji. W filmie już niczego nie można zmienić, a czasem bardzo by się chciało. Zawsze mnie to bardzo boli. A w teatrze mam większy wpływ na rozwój mojej postaci czy sceny. W teatrze czuję się bardziej wolna… ■

Grzegorz Ćwiertniewicz – doktor nauk humanistycznych (historia filmu i teatru polskiego po 1945 roku), polonista, wykładowca akademicki, autor wydanej pod koniec 2015 roku biografii Krystyny Sienkiewicz – *Krystyna Sienkiewicz. Różowe zjawisko* (2015) oraz książki *Amantka z pieprzem* – wywiadu-rzeki z Grażyną Barszczewską (2019); należy do Polskiej Sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych (AICT/IATC); jego teksty można przeczytać m.in. w „Teatrze", „Śląsku" i „Polonistyce"; współpracował jako recenzent z Nową Siłą Krytyczną Instytutu Teatralnego im. Z. Raszewskiego w Warszawie (e-teatr.pl), wortalem „Dziennik Teatralny" i wortalem „Teatr dla Was"; obecnie związany z internetowym przeglądem teatralno-literackim „Yorick" Polskiej Sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych.

Ciało, historia, tożsamość cz. 2

RADOSŁAW KOBIERSKI

Adam i Ewa to chyba jeden z najbardziej wyeksploatowanych tematów w kulturze zachodniej. I nie ma chyba dziedziny sztuki, która nie próbowałaby coś dodać od siebie, w sensie estetycznym lub filozoficznym. Zdawałoby się, że wieki oświecenia i racjonalizmu zrobiły swoje, nauka zadała cios ostateczny, ale jednak temat powraca w coraz to nowych odsłonach. Być może dlatego, że wciąż dotyka przestrzeni wykluczających się stref: wolności i zakazu, ludzkiej seksualności i winy. Tak wyglądają główne narzędzia społecznej, religijnej i politycznej kontroli. Granhøj Dans zaprezentował swoją „kanoniczną" wersję dla duetu (nie inaczej), gdyby nie głos z offu, który nam recytował fragmenty Genesis i nieodłączny, rajski rekwizyt (który dzięki Hieronimowi i Wulgacie zawojował wyobraźnię symboliczną), moglibyśmy powiedzieć, że mamy do czynienia z całkiem przyjemnie świecką wersją mitu w nieco odświeżonej odsłonie. Wszak w materiałach promocyjnych Granhøj Dans twórcy spektaklu sugerują namysł nad współczesnym (medialnym) wizerunkiem ciała. Zakładam, nie bez podstaw, że ten medialny, społecznościowy obraz jest niepokojący, a „Adam i Ewa" niesie ze sobą jakieś remedium, a przynajmniej stara się przedstawić jakąś alternatywę dla procesu „zużywania" i wyprzedaży ciała, w miejsce wszechobecnego chaosu i antynomii próbuje zaproponować coś całościowego i harmonijnego.

Dla jasności – Sofia Pintzou i Mikołaj Karczewski to nie jedyni kreatorzy teatralnego procesu. Ktoś nad historią, nad jej rytmem, czuwa i od czasu do czasu ingeruje, żeby ten rytm zmienić (analogia do mitu biblijnego), ale przede wszystkim, żeby w ogóle różnica, która jest podstawą, ideą spektaklu, była dla nas, widzów, do uchwycenia. Krótko mówiąc, scenę splątaną w Rembrandtowskich światłocieniach chwilami rozrywa mocniejsze światło i nasza rajska para wpada w popłoch. Aluzja biblijna jest aż nadto czytelna, odniesienie do współczesności już nieco mniej, ale tu znów przychodzą nam w sukurs materiały promocyjne. Jesteśmy dzisiaj o wiele bardziej skłonni do ekspozycji naszego ciała, a jednocześnie nagość wciąż budzi lęk. I agresję. W sumie nic nowego. Dopóki ciało/seksualność będą narzędziem społecznej kontroli, nic się w tej materii nie zmieni. Będziemy się poruszać w tej wyznaczonej i dozwolonej przestrzeni, być może z czasem pozwalać sobie na więcej, ale z bezpiecznym marginesem. Sieć jest idealnym medium do poszerzania pola walki, do mniej lub bardziej subtelnego oporu, ale w granicach norm (vide Tumblr, Facebook, Instagram i ich polityka wobec nagości). W gruncie rzeczy szatański plan na otwarcie oczu na naszą cielesność był boski. Wszystko, co wydarzyło się później, co znamy z historii naszej cywilizacji, która zrobiła wszystko, żeby zerwać więź z naturą, z biologicznym wymiarem istnienia, było efektem prawdziwie piekielnej reakcji na to otwarcie. I o tym również spektakl Granhøj Dans stara się opowiedzieć. Być może poza sferą ikonograficzną i choreograficzną to najmocniejsza strona „Adama i Ewy". Komunikacja między kobietą i mężczyzną odbywa się w języku pozawerbalnym, języku ciała. Wszystkie emocje, afirmacje i „różnice zdań" ciało za pomocą ruchu bez trudu potrafi przedstawić. Domyślamy się, a w zasadzie możemy mieć pewność – jeśli odłożyć mity na bok – że współczesna choreografia jest wierną kopią komunikacji pierwotnej (system znaków był prawdziwie nuklearnym paliwem dla ewolucji, ale wcześniej ciało również żyło we wspólnotach z innymi ciałami i z nimi współpracowało). Jedna z pierwszych scen spektaklu, kiedy nasi bohaterowie – wyłącznie zmysłowo – rozpoznają podobieństwo, a zarazem różnice na poziomie anatomicznym i odpowiadająca jej symetrycznie scena, w której nagle dochodzi do kolejnej iluminacji, objawienia twarzy (naprawdę istnieje tylko pornografia twarzy), to najbardziej znaczące fazy spektaklu, który rozgrywa się, warto to zaznaczyć, na zgliszczach edeńskiego theatrum. Te obrazy wspomaga również, subtelnie, a zarazem sugestywnie i mocno, ikonografia. Pojawiają się tu odwołania do sztuki egipskiej i sumeryjskiej (reliefy), figura Wenus z Willendorfu i konwulsyjne antropoformy Francisa Bacona (aktorzy wykorzystali obie półkoliste wnęki w Rialcie).

Przez norę do piekła

Po wyczerpujące relacje z przedstawień Olivera de Sazagana (Transfiguracja – okrzyknięta najlepszym spektaklem festiwalu), Teatro del Lemming (Dionizos), United Cowboys (Biotop) i „W zawieszeniu" (spektakl solowy Moniki Wachowicz) odsyłam państwa do Gazety Festiwalowej, zwłaszcza że wszystkie jej numery są dostępne w sieci. Skupię się na trzech kolejnych spektaklach przygotowanych przez aktorów Teatru A Part i Galerników Wyobraźni, ponieważ każdy z nich jest genetyczną i ideową kontynuacją wcześniejszych projektów – „Święto wiosny", spektakl solowy Marleny Niestrój odwołuje się do jej debiutanckich „Więzów", „Lear, k…a! " jest plenerową wersją kameralnych „Szkiców do Króla Leara" (główny wątek Szkiców jest tu zaledwie zasygnalizowany), zaś „Projekt Dante" wykorzystuje pomysł, na bazie którego powstała „Alicja w krainie czarów".

O ile dwa pierwsze przykłady nie budzą wątpliwości – badają inne obszary, trzeci mógł się okazać nieco dyskusyjny. No bo co się stało? Twórcy „Dantego" znów podzielili teatr na ciasne, ciemne i klaustrofobiczne tunele, a zespołowi dali kluczowe role do odegrania: „strażnika prologu", przewodnika po zaświatach (wszakże kraina Alicji też do nich należy) i lokatorów tychże zaświatów, uwięzionych tam na zawsze, ale mających również coraz bardziej współczesną opowieść o człowieku do przekazania. I znów gościa tego teatru, widza, zostawili samemu sobie, uczynili go uczestnikiem tego podejrzanego procederu. Przejście przez króliczą norę – pisałem równo dwa lata temu – jeśli postaramy się zrozumieć, czym ona w istocie jest w perspektywie współczesności, ale i dosłownie (jeśli ją czytać za Timem Burtonem) – to podróż przez piekielne kręgi. Te zewnętrzne, skonwencjonalizowane, ustalone przez twórców spektaklu, i wewnętrzne, nieusuwalne – które wytycza własna (widza) wyobraźnia i biografia. Od początku „Alicji" a w szczególności „Projektu Dante" wiadomo było, że „praca" obu spektakli odbywać się będzie na tych dwóch poziomach. W warstwie obrazu, dźwięku oraz reakcji na nie, przy czym samej reakcji twórcy nie wykorzystają jako przedmiotu. Gdyby w ramach przedstawienia zarejestrowano również (monitoring) to, co kolejne sceny, spotkania na scenie robią z widzem, otrzymalibyśmy metapoziom. Byłby to interesujący eksperyment – pokazać widzowi na jakimś końcu, w grande finale samego siebie w trakcie zderzania z cudzą traumą i antybiografią. Nie w dosłownym krzywym lustrze, ale face to face, bez znieczulenia, iluzji i pośredników. Wiem, że to pomysł arcypiekielny, zbyt prowokacyjny nawet jak na skalę ingerencji Teatru A Part.

Dotykam w tym momencie kwestii zasadniczej (również w sensie etyki pracy aktorskiej). Z pozoru wydaje się, że widz „Projektu Dante" jest biernym obserwatorem wydarzeń, które na scenie, a ściślej — w labiryncie, którym staje się scena — mają miejsce. Ubieramy się w ciuchy Dantego i przemierzamy piekielne i czyśćcowe kręgi, trzyma nas w ryzach i kierunek drogi wyznacza ścisły sceniczny regulamin (zajmij dowolne krzesło, nie zawracaj, bezwzględnie słuchaj poleceń), zdajemy sobie sprawę z teatralnej konwencji. Ale jednak coś wymyka się spod kontroli (chociaż to wymknięcie wpisane jest w ryzyko projektu, a nawet o to ryzyko przede wszystkim chodzi). W istocie niemal zawsze, za wyjątkiem „przejścia" do czyśćca zachowujemy pozycję uprzywilejowaną. Nawet kiedy siedzimy na krześle przed stojącą tuż obok posta-

cią, patrzymy na nią z góry. Nawet kiedy postać wtrąca nas w wyreżyserowaną przez siebie psychodramę i otwiera nas jak puszkę konserw, wciąż patrzymy na to z perspektywy Dickensowskiego Scrooge'a, któremu przedstawiono plan naprawczy. Jesteśmy górą, i chociaż moglibyśmy przełamać konwencję i granicę (wbrew regulaminowi), i próbować wyciągnąć mieszkańca z otchłani (aktorzy momentami grali tak sugestywnie, że miałem ochotę to zrobić), zachowujemy zimną krew i przeszywamy skazańca lodowatym spojrzeniem. To są momenty zaprawdę piekielne, kiedy zaczynamy zdawać sobie sprawę z kruchości granicy między realem a iluzją, z pancernej zbroi, którą przywdziewamy, kiedy zdajemy się wykraczać poza bezpieczną przestrzeń. No właśnie. Czy to my, widzowie dokonujemy transgresji czy może sami stajemy się przedmiotem gwałtu? Czy jest jakaś granica, której teatr mimo wszystko nie powinien przekraczać?

„Alicja w krainie Czarów" nie była chyba tak radykalna jak „Projekt Dante". Owszem, poruszaliśmy się po niebezpiecznym terenie, drogą cienia, a nawet ciemną doliną, ale w zetknięciu ze zmultiplikowaną traumą „Dantego", z bezbronną nagością, która odtwarza przed nami bezbronną nagość, w którą wtargnęło zło z całym swoim impetem, „Alicja" wydaje się doświadczeniem niemal lekkim. Nie ma też co za bardzo wierzyć w klasyczny, dramatyczny i teologiczny podział na strefy zaświatów. Niebo zostało skrócone i ograniczone do bolesnego banału, piekło nie miało mocy w porównaniu z czyśćcem – żadna ikonografia nie zastąpi bezpośredniego kontaktu z żywą opowieścią, maksymalnie skompresowaną – w zasadzie to właśnie czyściec w wersji Teatru A Part okazał się prawdziwie piekielny.

Nie wiem, czy państwo pamiętają słynne zdjęcie Kevina Cartera — Dziecko i sęp — i wielki, międzynarodowy skandal, jaki wywołał, kiedy wyszło na jaw, że umierającej z głodu dziewczynce reporter wojenny jednak nie pomógł dotrzeć do stacji żywienia. Skandal i dyskusję na temat etyki fotoreporterskiej. Piszę o tym dlatego, że „Projekt Dante" stara się odtworzyć niemal analogiczną sytuację (oczywiście przy użyciu konwencji; nie ma tu analogii jeden do jeden) – jest ofiara i jest voyeur, a pomiędzy nimi otchłań, której nie da się niczym zasypać. „Dante" zbliża się nieuchronnie do reportażu, spotkania w tych wszystkich boksach (kadry) są jak klaśnięcia lustra migawki w aparacie fotograficznym. Wiemy, że obrazy, które widzimy – jak we współczesnym fotoreportażu – oglądamy po to, żeby więcej nie odwracać wzroku. Dosłownie – mają nam otworzyć oczy, kiedy inni je zamykają. Ale forma tego przedstawienia, nieuchronność procesu (na który się oczywiście, jako widzowie zgadzamy; chociaż pewnie nie zdajemy sobie sprawy, na co się godzimy) może być dyskusyjna. Jeśli do końca nie sprzeciwiam się takiej metodzie, dzieje się to wyłącznie dlatego, że widziałem zdjęcia, które zmieniły bieg historii. I przyznaję rację Tadeuszowi Kantorowi, który napisał kiedyś, że do teatru nie wchodzi się bezkarnie.

Wiosna królika

Marlena Niestrój znów zagrała solo na tej samej scenie – ciemnej, miejscami oświetlonej punktowo, ale raczej w świetle rozproszonym. Przybyło trochę rekwizytów: worek treningowy, krzesło z nieruchomą, a czasem dyndającą nad nim żarówką, blaszany gong, mikrofon na statywie. I bonus: królik. Królicza maska, która spoglądała na nas z materiałów promocyjnych festiwalu i którą witała nas bohaterka – kobieta w białej, ślubnej czy może nawet baśniowej sukni. „Święto wiosny" Marleny Niestrój i Marcina Hericha okazało się integralne w relacjonowaniu niespójności

fot. Arkadiusz Ławrywianiec (Katowice Miasto Ogrodów)

fot. Arkadiusz Ławrywianiec (Katowice Miasto Ogrodów)

(współczesna kultura zawsze faworyzowała koherencję i harmonię, zwłaszcza w odniesieniu do kobiet i temu chyba służyła po części obecność prymitywnej symboliki: biała suknia, królik i księżyc – oczywiste odniesienia do płodności), tymczasem „Święto wiosny" próbowało skomplikować to wyobrażenie, opowiadając o pęknięciach i finalnie o próbie – wcale nie mam pewności czy udanej – emancypacji. Niemniej – powracam do głównej myśli – historii jako takiej, linearno-fabularnej, w spektaklu nie było. „Święto wiosny" jest trochę jak wideoklip, niczym kolaż poskładany z różnych fragmentów pasowało zarówno do wyobrażenia sobie losu pojedynczego, jak i zbiorowego. Znalazło się tu miejsce zarówno na doświadczenie pełni, jak i utraty, słabości i mocy, uwikłania (w relację, w kulturę) i wolności, milczenia i werbalnej nadekspresji, wstydu i dumy przechodzącej w arogancję. Część tych doświadczeń z perspektywy scenicznej rozegrana była sztampowo i wtórnie. Moim zdaniem spektakl znacznie by zyskał, gdyby nad tymi elementami bardziej popracować – ale były też „wizualizacje", niezwykle ekspresyjne układy choreograficzne. Mam tu na myśli zarówno taniec finałowy czy sceny przed mikrofonem – zwłaszcza te ostatnie ujawniały potencjał mimiczny i aktorski Marleny Niestrój. Zasadnicza wątpliwość kryje się właśnie w rozegraniu finału (w szczególności w jego relacji do prologu). W pierwszej i ostatniej scenie mieliśmy do czynienia, przynajmniej pozornie, z dwiema różnymi osobami. Obie wizualizowały momenty, w których się aktualnie znajdowały – pierwsza z nich naiwnie mizdrzyła się do świata, była totalnie zdekoncentrowana i przewrażliwiona (widzieliśmy jak usilnie poszukiwała informacji zwrotnej, jak przejęta była formą i wrażeniem, które miała wywrzeć na otoczeniu), druga miała już za sobą moment oświecenia, była naga i świadoma, harmonijna i niepodległa. Tańczyła na trupach minionego i było to jej emancypacyjne zwycięstwo. Tyle że obecność królików na scenie generowała dwuznaczność. Nie wiem do końca czy ta nowo odkryta neopogańska moc pozwalała jej definitywnie wykroczyć poza role społeczne i kulturowe, poza przymus rozmnażania się (nawet z mniej pejoratywnego w tym kontekście „odradzania" kultura uczyniła przymus) czy przeciwnie – świętowała ona nawiązanie przedustawnego, archaicznego kontaktu z energią życia w całym jego ziemskim, chtonicznym charakterze. A to przecież ten kontakt, to powiązanie z żywiołem ziemi stoi na straży i u podstaw systemu, który zamierzała podważyć. I wreszcie finał festiwalu, plenerowy „Lear", próbował obrazem zawojować przestrzeń, która w Szkicach należała niemal wyłącznie do córek Leara. Wydaje się, że ta kameralna opowieść miała większą siłę rażenia. Szkic okazał się pełniejszy niż gotowy obraz. Może tego typu historie, rozgrywające się poza światłami fleszów, na zapleczu historii, którą kierują zgorzkniali starcy, niedawni satrapowie, którzy u kresu swojego życia próbują pociągnąć za sobą cały świat w otchłań, powinny mieć wyłącznie taką kameralną, dyskretną formę? A może występy plenerowe powinno się jakoś zredefiniować? Zmienić rekwizyty i choreografię? Gatunek ma oczywiście swoje prawa, ale wydaje mi się, że coraz bardziej te prawa go ograniczają.

Festiwal coraz widoczniej zmierza w kierunku partycypacji. Granica między sceną a widownią staje się coraz bardziej umowna. Zgoda, to strategia i dynamika obecna od wielu lat w europejskiej sztuce performatywnej, a FSP jest w końcu tej sztuki przeglądem. Twórcy Teatru A Part korzystają z tej strategii umiejętnie — „Alicja w krainie czarów", a zwłaszcza „Projekt Dante" ingerują w przestrzeń osobistą widza w celu wywołania w nim określonych emocji, które są integralną częścią przedstawienia (są wpisane w jego wizję i ryzyko; warto byłoby jednak w przyszłości wziąć pod uwagę osoby, dla których taki rodzaj psychodramy może mieć poważne konsekwencje). Performance'u Antona Romanova nie byłoby, gdyby widz go nie współtworzył (tak jak współtworzy projekty Abramović). Wydaje się jednak, że niektóre sytuacje, które miały miejsce w trakcie „Biotopu" United Cowboys, a zwłaszcza „Dionizosa" Teatro del Lemming (zespół testował już polską publiczność w trakcie inscenizacji „Burzy" Szekspira w 2017 roku) nie powinny mieć po prostu miejsca. Pewne granice, nawet w teatrze performatywnym, powinny być nieusuwalne. ■

Służba i przyjaźń. XV-lecie Stowarzyszenia Ruchu Harcerskiego „Czuwaj”

hm JÓZEFA HANAK

Stara, zabytkowa Pilica w powiecie zawierciańskim gościła w dniu 17 sierpnia 2019 roku grupę kilkuset harcerskich seniorów. To członkowie liczącego 463 osoby **Stowarzyszenia Ruchu Harcerskiego „Czuwaj”**, którzy właśnie w Pilicy obchodzili 15-lecie istnienia Stowarzyszenia. Wydarzenie stało się okazją do spotkania dawnych przyjaciół, poszerzenia kręgu ludzi zaprzyjaźnionych i tego, co Statut Stowarzyszenia wymienia jako główny cel istnienia: **kultywowania tradycji Związku Harcerstwa Polskiego**.

Kończące jubileuszowy Zlot SRH „Czuwaj” spotkanie w Miejskim Ośrodku Kultury w Zawierciu, wzbogacone zostało pięknym koncertem Harcerskiego Zespołu Artystycznego *„Słoneczni”*, pozwoliło uhonorować wielu przyjaciół harcerstwa i dokonać podsumowań dotychczasowych działań.

Wszystko zaczęło się przed piętnastoma laty właśnie w Zawierciu, od spotkania grupy inicjatywnej, do której zostali zaproszeni m.in. byli komendanci Komendy Chorągwi ZHP w Katowicach. Zdecydowano tam o utworzeniu „z potrzeby serca” – jak to określano, stowarzyszenia dawnych instruktorów harcerskich. W marcu 2004 roku w odpowiedzi na apel grupy inicjatywnej w Ośrodku Harcerskim w Chorzowie stawiła się ponad setka byłych instruktorów przekształcając spotkanie w I Zjazd Stowarzyszenia, przyjęto nazwę grupy, program i władze. Pierwszym przewodniczącym Stowarzyszenia został **dh Janusz Woźniak** i pozostaje nim do dziś. Przedsięwzięcie grupy zapaleńców okazało się atrakcyjne dla przyszłych członków. To właśnie wśród nich byli najbardziej doświadczeni w metodyce pracy harcerskiej, którzy przez całe swoje dorosłe życie czuli dumę i satysfakcję z bycia harcerzem. Wkrótce sformalizowano działania grupy: spośród wielu propozycji wybrano nazwę: Stowarzyszenie Ruchu Harcerskiego „Czuwaj”, opracowano jego „Statut”, określający cele, zadania, władze i członkostwo. Ze statutowej możliwości tworzenia kręgów w terenie jako pierwszy skorzystał **Rybnik**. Z inicjatywy dh. **Zbigniewa Soroczana** już w 2004 roku powstał krąg, który liczy aktualnie 64 osoby. Kolejne kręgi powstały w **Zawierciu** (2005), **Sosnowcu** (2006), **Pszczynie** (2007), **Chorzowie** (2008), **Dąbrowie Górniczej** (2011), **Rydułtowach** (2011), **Katowicach** (2012), **Zabrzu** (2014) i najmłodszy — w **Knurowie** (2019r). Kręgi terenowe starają się kultywować i przekazywać tradycje macierzystych środowisk harcerskich. Czynią to m.in. archiwizując dokumentację historyczną, uczestnicząc w ważnych imprezach czy spotkaniach – chociażby z okazji *XXV rocznicy odsłonięcia Pomnika Harcerek i Harcerzy w Katowicach*, uroczystościach jubileuszowych pod katowicką *Wieżą Spadochronową*, *Zlocie 100-lecia Harcerstwa w Krakowie* czy *Zlocie ZHP w Gdańsku* (2018). Wspólnie ze Śląską Komendą Chorągwi organizowano i uczestniczono w jubileuszu *90-lecia ZHP w Niemczech* i 50-leciu powstania *Ośrodka Harcerskiego w Chorzowie* (2014) – kuźni harcerskich kadr. Współpraca z Biblioteką Śląską zaowocowała odsłonięciem w dawnej siedzibie biblioteki przy ul. Francuskiej tablicy, przypominającej funkcjonowanie w tym miejscu w latach 30-tych Śląskiej Komendy Chorągwi ZHP. W Bibliotece Śląskiej odbyła się też konferencja naukowa poświęcona 60-leciu reaktywowania ZHP na Zjeździe Łódzkim w 1956 roku. Nie sposób pominąć w tym miejscu działalności wydawniczej Stowarzyszenia, której 13 woluminów przypomina karty z przebogatej historii śląsko-zagłębiowskiego harcerstwa, ważnej, bo przemawiają z tych kart bezpośredni świadkowie, ocalający historyczną pamięć. Najbogatszą działalnością w tym zakresie może pochwalić się Krąg SRH „Czuwaj” w Rybniku, który wydał już aż trzy ilustrowane publikacje.

Lato to szczególny okres w życiu każdego harcerza i instruktora harcerskiego. Stwarza ono okazje do przypomnienia takich letnich akcji obozowych z przeszłości jak *„Zamonit”, „Klimczok”, „Operacja Bieszczady”, „Frombork”*, które gromadziły tysiące młodych ludzi, oferując nie tylko przygodę i pracę pod namiotowym płótnem. W ten sposób obchodzili 45-lecie Harcerskiej Akcji „Klimczok” (2007), 50-lecie tejże akcji w Jaworzu-Wapienicy (2012) i 55-lecie w Wapienicy (2017). Harcerska Akcja Letnia „Zamonit” zaowocowała zlotami w Podlesicach-Kostkowicach (45-lecie), na Zamku w Ogrodzieńcu (50-lecie) oraz w Janowie-Złotym Potoku (2018). Obchodzono również *50-lecie Spływu Odrzańskiego* czy trwającej już ponad pół wieku *Akcji Letniej „Rodło”*.Działania te łączą pokolenia, pozwalając przekazać to, co najcenniejsze – tradycję i pamięć.

Niemniej bogate w wydarzenia są działania kręgów w środowiskach lokalnych. Ludzi łączą wspólne wędrówki po górach – tu wyróżniają się chorzowianie – wycieczki, imprezy sportowe, kulturalne, okolicznościowe np. kolędowanie czy Zaduszki. Kręgi lokalne podejmują działania związane z inwentaryzacją grobów zmarłych instruktorów i wspomagają też finansowo członków Stowarzyszenia, będących w potrzebie. Wiele kręgów terenowych wyróżnia dobra współpraca z administracją samorządową. Tak się dzieje np. w Pszczynie czy Zawierciu. Wszystkie działania Stowarzyszenia są również formą aktywizacji seniorów, chociaż byli instruktorzy harcerscy są aktywni z natury rzeczy.

Cała działalność Stowarzyszenia nie byłaby jednak możliwa bez wsparcia wielu przyjaciół – instytucji, władz terenowych czy osób prywatnych. Im to właśnie – na Zlocie w Pilicy – podziękowano odznaczeniami. **Złotą Odznakę „Za Zasługi dla Chorągwi Śląskiej”** wręczono Tadeuszowi Siernemu. **Srebrną Odznakę „Za Zasługi dla Chorągwi Śląskiej”** otrzymali: Krzysztof Soska, Wiesław Szczepańczyk, Zbigniew Lasota, Wanda Walo, Halina Milecka i Henryk Kasprzyca. Wręczono także **Honorowe Odznaki Ruchu Przyjaciół Harcerstwa:** Katarzynie Sikora, Irenie Żaba, Wojciechowi Banasikowi, Markowi Śliwie, Andrzejowi Daneckiemu — dyrektorowi MOK Zawiercie, Arturowi Janosikowi — burmistrzowi Pilicy i Łukaszowi Konarskiemu-prezydentowi Zawiercia. Podczas koncertu „Słonecznych” Stowarzyszenie Ruchu Harcerskiego „Czuwaj” otrzymało **Złotą Odznakę Honorową „Za Zasługi dla Województwa Śląskiego”**, a **Odznakami Srebrnymi** wyróżniono: Bożenę Bień, Justynę Dudek, Zdzisława Juszczyka, Wojciecha Grellę, Iwonę Żurek, Łucję Prządek, które wręczył z ramienia Marszałka Sejmiku Śląskiego były instruktor z Rybnika, przewodniczący kapituły **dh Grzegorz Wolnik**.

Za rok z pewnością odbędą się kolejne spotkania, umocnią się i rozwiną nowe kręgi terenowe i pojawią się dalsze publikacje. A wszystko to we współpracy z tymi, którzy rozwój harcerstwa i klimat życzliwości wobec niego uznają za niezbędny. ■

„O honor Katowic”. Listy do Kazimierza Gołby o Wrześniu 39 roku

JAN MALICKI

Mogło być tak. Dobry Pan stworzył świat. Stworzył też Człowieka. A ten w zaciszu rajskiego ogródeczka zwyczajnie żył, rzeźbił i unowocześniał otaczający go świat, doskonalił narzędzia i swój, jakże siermiężny warsztat. Ale kiedyś, patrząc w gwiazdy, zamarzył sobie, by tę swoją szarą codzienność uniezwyklić, uszlachetnić, zachować i przekazać. Rodził się Czas. A z nim świadomość kreacji, trwania i przemijania. Rodziła się też Pamięć, siostra Czasu, utrwalająca to, co przeszłe, minione, a niezwyczajne dla każdego człowieka. Każdej jednostki. Pamięć potrzebowała jednak Historyka, który dostrzegając pulsowanie i nieustannie drgający rytm czasu, niemożność jego zatrzymania, a przy tym groźbę unicestwienia, próbował go pochwycić, blokować, unieruchamiać, a gromadząc wszelakie fakty, porządkować, analizować, interpretować, a nierzadko — przekraczając granice bezsilności — reinterpretować. Wreszcie pojawił się Uczony, który w owym chaosie metafizycznej codzienności, narastającym w zawrotnym tempie, a przy tym wcale nierzadko gubionych lub pomijanych istotnych faktów, dostrzegał prawidłowości. Potrafił je usystematyzować, nazwać, a uniwersalizując, opisać. I tylko stale towarzyszyła mu schizofreniczna, a obsesyjna obawa o kompletność źródeł, czy przekazów. To jeden z głównych wrogów Uczonego. Ale był też inny jeszcze niebezpieczny przeciwnik. To świadek przeszłości, który ów uporządkowany świat zakłócał swoimi wspomnieniami sprzed lat. A wówczas harmonijny, uładzony, choć antykwaryczny krąg prawdy, mitów i znaczeń ulegał skłóceniu, pęknięciu, rozsypce. Powstawały asocjacyjne okruchy nanoprawdy, które należało na nowo złożyć.

Puszczając wodze fantazji stworzyliśmy więc genezyjski, oksymoroniczny mit historii i pamięci z Andersenowskim lustrem „Królowej Śniegu” w tle. Nieprzypadkowo. Bo tym razem chciałbym przedstawić niezwykłą kolekcję listów pisanych do Kazimierza Gołby, nauczyciela, poety, pisarza, autora obrosłej legendami *Wieży spadochronowej*, z którą jest ona w pewien sposób związana.

Listy te są bowiem odpowiedzią na artykuł zatytułowany „O honor Katowic” ogłoszony w numerze 32 „Gościa Niedzielnego” z dnia 11 sierpnia 1946 roku. Kolekcję otoczoną nimbem tajemniczości, a w skrajnym przypadku wręcz niewiary w jej istnienie. Po bardzo wielu latach od jej powstania Bartosz T. Wieliński napisze: „Odzew na jego apel był podobno ogromny. Niestety, zebrane materiały szybko skonfiskowało UB” (Gazeta Wyborcza 31 października — 2 listopada 2003). Powtórzy to raz jeszcze w połowie grudnia: „W latach 50. UB skonfiskowało bogate archiwum pisarza. Po dokumentach zebranych przez Gołbę wszelki ślad zaginął. Czy były w nim wiarygodne opowieści naocznych świadków walk o wieżę? Tego nikt nie wie. Pisarz nie żyje od pół wieku…”

Na szczęście listy zachowały się i zostały przekazane przez Rodzinę do zbiorów Biblioteki Śląskiej. Jest ich 29. Ich istnienie daje możliwość ponownego prześledzenia losów i przeżyć mieszkańców naszego miasta w dniach wrześniowych. Co więcej prowokuje do ich przypominania. Tym bardziej, że relacje ich autorów zbieżne są z zaginioną ponoć „Księgą Wojenną 3 Odcinka Oddziału Granicznego (Grenzschutz — Abschnitt — Kommando 3)”, zawierającą informacje o walkach prowadzonych w Katowicach w dniu 4 września 1939 roku, znaną nam dzięki opublikowaniu przez Andrzeja Szefera jej fragmentów w „Zaraniu Śląskim”. Tam też czytamy i o „gnieździe karabinów maszynowych, znajdujących się na wieży spadochronowej”, i o tym, że „w godzinach popołudniowych i wieczornych ożywia się strzelanina na ulicach Katowic” (a jednak przez cały dzień — JM), a „włączenie się partyzantów do działań wojennych powoduje dezorientację wojsk i nasila wymianę ognia”. Są też podane (a ponoć ich nie było) straty osobowe wojska: 3 zabitych, 4 rannych, zaś Ebbinghaus — 6 zabitych, 2 rannych.

Sam artykuł *O honor Katowic* stanowił swoistą replikę na dwa wcześniejsze teksty, jakie ukazały się w śląskiej prasie. Dla porządku dopowiedzmy, że Kazimierz Gołba je sprowokował. Tak o tym pisała Krystyna Heska-Kwaśniewicz: „W pierwszym numerze ODRY z 1945 roku ukazał się artykuł Gołby zatytułowany „Problem zagłębiowski”, w którym pisarz próbował uchwycić istotę konfliktu, jaki istniał między Śląskiem i Zagłębiem. Nie wchodząc w merytoryczne racje wywodu Gołby, nietrudno zauważyć, że autor niedwuznacznie swą sympatią obdarzył Ślązaków. W wyniku tego sąd o Zagłębiu był dość jednostronny, a więc krzywdzący” (Zaranie Śląskie 1967 s.146).

Spór, jaki rozgorzał skupił się na wydarzeniach z września 1939 roku. Odpowiedzią Gołby był artykuł „O honor Katowic”, gdzie w partii końcowej pojawiło się 10 pytań, a wśród nich pytania: o walki w Parku Kościuszki, o wieżę spadochronową, o obrońców drapacza chmur, o rozstrzelanych przy ul. Królowej Jadwigi, o inne miejsca straceń. Dziś już wiele odpowiedzi na te pytania znamy. Wiele pozostanie bez odpowiedzi.

Artykuł Kazimierza Gołby spotkał się z szerokim oddźwiękiem. Na jego adres i adres redakcji, nadeszło wiele listów. Sporo osób bezpośrednio kontaktowało się z autorem artykułu. Wśród nich znalazły się listy m.in. sierżanta Emanuela Gruszki, Franciszka Bógdoła, Stanisława Flige, Emilii Paduchowej, Franciszka Kachela, Franciszka Szymiczka, którego odpowiedź na apel znacznie się wyróżnia precyzją wypowiedzi, pięknem epickiej narracji oraz swoistą pokorą wobec „młynów historii”.

Ale artykuł ten dedykuję Pani Profesor Krystynie Heskiej — Kwaśniewicz, której wieloletnia walka „O honor Katowic” budzi mój najprawdziwszy i szczery szacunek. ■

Wolnomularze w Zagłębiu Dąbrowskim

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Masońska Loża Wschodnia „Staszic" z siedzibą w Sosnowcu działała od 1924 do 1938 roku, gdy decyzją ówczesnego prezydenta Polski Ignacego Mościckiego ruch wolnomularski został zdelegalizowany w całym kraju. Jednym z założycieli i aktywnych działaczy „Staszica" był pierwszy prezydent Dąbrowy, Adam Piwowar. Historię loży poznamy m.in. dzięki artefaktom prezentowanym na wystawie w Muzeum Miejskim „Sztygarka" w Dąbrowie Górniczej, która jest właśnie rozbudowywana.

Wiedza nie tak tajemna

Wolnomularstwo zwane także masonerią lub sztuką królewską, to międzynarodowy ruch społeczny mający na celu duchowe doskonalenie człowieka i braterstwa ludzi różnych religii, narodowości i poglądów. Najczęściej członkowie prowadzą szeroko pojętą działalność społeczną. Tylko tyle i aż tyle, mimo że ruch od początku rozpalał wyobraźnię współczesnych choćby tajemniczością obrzędów, a jego członkom przypisywano międzynarodowy spisek mający na celu rządzenie światem. Wieloznaczny, także wolnomularski symbol opromienionego oka opatrzności, wpisanego w trójkąt — zobaczymy też do dziś na amerykańskich banknotach jednodolarowych. W Polsce loże wolnomularskie tworzono już od XVIII wieku. Najbardziej znanymi wolnomularzami byli m.in. król Stanisław August Poniatowski, czy Józef Wybicki, twórca „Mazurka Dąbrowskiego". W 20-leciu międzywojennym wolnomularstwo skupiało sporą część polskiej inteligencji, działał w nim m.in. Gabriel Narutowicz, prezydent Polski. W 1938 roku po ostrej krytyce ruchu, dekretem prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego nastąpiło rozwiązanie wszystkich stowarzyszeń wolnomularskich w Polsce. Warto dodać, że współcześnie ruch odżywa. W Polsce po 1989 r. powstała Wielka Loża „Wschód", której przewodniczący Waldemar Gniadek już kilkakrotnie odwiedzał Dąbrowę Górniczą i był konsultantem tworzenia części ekspozycji poświęconej zagłębiowskim wolnomularzom.

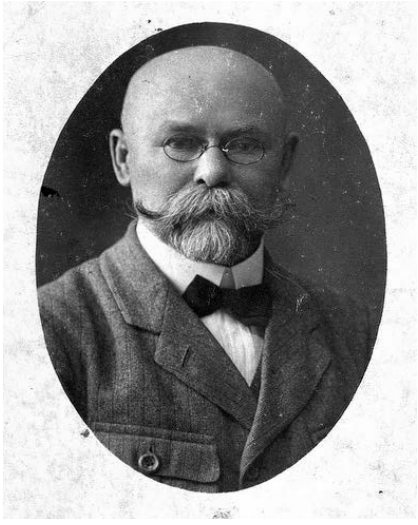

Adam Piwowar (1874–1939) był geologiem, nauczycielem, legionistą Piłsudskiego, ale przede wszystkim pierwszym prezydentem Dąbrowy Górniczej. No i wolnomularzem.

Ozdobny sygnet wolnomularski, należący do Adama Piwowara, to jeden z eksponatów muzeum „Sztygarka".

Piwowar, Berbecki, Wyspiański

— Symbolika wolnomularska obejmuje szereg znaków, które znajdujemy na przedmiotach używanych przez członków loży „Staszic" — tłumaczy Arkadiusz Rybak, dyrektor Muzeum Miejskiego „Sztygarka" w Dąbrowie Górniczej i autor opracowań o historii regionu. — Są wśród nich: węgielnica, cyrkiel i litera „G". Cyrkiel to symbol mądrości, wiedzy i rozumu oraz sojuszu wiedzy z inteligencją i odnosi się także do nauk ścisłych, a węgielnica symbolizuje porządek, uczciwość i szczerość. Litera „G" to monogram słów: Generacja czyli siła kolejnych pokoleń, Grawitacja — siła rządząca ruchem ciał i materii oraz Geometria jako fundament nauk ścisłych. Ponadto litera „G" może symbolizować Geniusz, a więc inteligencję umożliwiającą odkrywanie sprawiedliwości i prawdy lub Gnozę — najgłębszą wiedzę moralną i siłę postępu.

Muzeum prezentuje w ekspozycji kilka zabytkowych wolnomularskich przedmiotów. Są to: fartuch, sygnet, puchar, młotek, dwie laski i dzwonek. Przedmioty są bogato zdobione, wykonane z ogromną precyzją i starannością, np. dzwonek, puchar i sygnet są ze srebra, pokryte inskrypcjami i symbolami. Sygnet wolnomularski i laska zwieńczona elementem z metalu w kształcie grzybowego kapelusza należały do samego prezydenta Dąbrowy Górniczej Adama Piwowara (pseudonim Jan Krzemień), a laska zakończona dłonią zaciśniętą w pięść, wykonana z kości słoniowej była własnością inżyniera mierniczego kopalni „Paryż" — Ludwika Berbeckiego (pseudonim Ludwik Zagórski). Brat Ludwika Leon Berbecki był piłsudczykiem i uczestnikiem walk o niepodległość Polski. Adam Piwowar i Ludwik Berbecki byli czołowymi działaczami loży. Choć nie tylko; aktywnie działali tu też: Ignacy Bereszko, Józef Kozłowski, Adam Pawełek, Antoni Bogucki i Witold Wyspiański (kuzyn malarza Stanisława Wyspiańskiego). Loża skupiała głównie urzędników, nauczycieli i artystów. Każdy z członków loży przyjął tak zwane imię zakonne.

Pierwszy prezydent Dąbrowy Górniczej

— W 2016 r. Dąbrowa Górnicza świętowała 100 lat uzyskania praw miejskich. Wtedy rozpoczęliśmy tworzenie pierwszej w historii miasta ekspozycji pt. „Adam Piwowar. Rewolucjonista. Odkrywca. Wolnomularz". Piwowar na stanowisko prezydenta miasta został wybrany w 1917 roku i funkcję tę pełnił do 1923 roku. Mimo odejścia ze stanowiska nie zaniechał działalności społecznej i samorządowej. Został współtwórcą zagłębiowskiej loży masońskiej, która powstała 14 marca 1924 roku w Sosnowcu pod nazwą „Staszic". Posiedzenia zagłębiowskich wolnomularzy odbywały się w Sosnowcu, Dąbrowie Górniczej oraz Busku-Zdroju u mieszkających tam członków organizacji — tłumaczy Arkadiusz Rybak.

Osoby działające w loży masońskiej zajmowały się szeroko pojętą działalnością społeczną. Jednym z wyników tych działań było powstanie sanatorium przeciwgruźliczego dla dzieci w Busku-Zdroju nazwanego „Górka". Placówka ta działa do dziś. Założycielem sanatorium był dąbrowski lekarz Szymon Starkiewicz, obecnie patron dąbrowskiego szpitala miejskiego, który jednak bez pomocy wielu osób, a w szczególności Adama Piwowara nie mógłby doprowadzić tego ambitnego przedsięwzięcia do końca.

Puchar wolnomularski także zobaczymy w dąbrowskiej ekspozycji.

Zdjęcia: materiały prasowe / Muzeum "Sztygarka"

— Adam Piwowar działał czynnie w radzie miasta Dąbrowy Górniczej przez cały okres międzywojenny. Prowadził jako nauczyciel w Szkole Górniczej (nazwanej od 1919 roku Państwową Szkołą Górniczą i Hutniczą im. Stanisława Staszica, stąd tez prawdopodobnie nazwa loży masońskiej) zajęcia z zakresu geologii i mineralogii. Jako badacz Nowej Ziemi, był autorem licznych publikacji na ten temat. Zmarł w lutym 1939 roku w Dąbrowie Górniczej zamykając w ten sposób jeden z ważnych okresów w dziejach miasta. Spoczął w grobowcu rodzinnym na cmentarzu parafialnym przy ul. Starocmentarnej — podsumowuje Arkadiusz Rybak. ■

ŚLĄSK
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

Świętowanie z miastem

CZĘSTOCHOWA. Podczas 27. Dni Częstochowy jednym z ważniejszych punktów programu było wręczenie Nagród Prezydenta Miasta i wyróżnienia Mecenas Kultury. Uznanie Kapituły zyskali w tym roku: Elżbieta Wróbel (kategoria literatura i historia), Teresa Dzielska (teatr i film), Dariusz Słota (sztuki plastyczne), Wojciech Turbiarz (muzyka i taniec), Bogdan Knop (promocja i ochrona kultury). Tytułem Mecenas Kultury wyróżniono spółkę Press Glass. Uroczystości towarzyszył koncert Hani Stach *Whitney Houston Symfonicznie*. Wraz z artystką wystąpił zespół oraz orkiestra symfoniczna filharmonii pod dyrekcją Adama Klocka.

fot. Urząd Miasta Częstochowy

W tym roku 60-lecie świętuje Automobilklub Częstochowski, co uwzględniał program święta. Rozpoczęło się piątkowym (23 sierpnia) nocnym wyścigiem pojazdów zabytkowych, w sobotę otwarto wystawę tematyczną w Muzeum Częstochowskim oraz przeprowadzono Konkurs Elegancji Pojazdów Zabytkowych na placu Biegańskiego. Oczywiście, nie mogło zabraknąć Jurajskiego Targu Staroci, a w niedzielę Festiwalu Kolorów w parku Lisiniec. Wyrzutom kolorowego proszku towarzyszył występ Zeamsone i Tymka. Poza tym w sobotę w ramach trasy *Lato na Maxx-xa* na Północy za pętlą tramwajową zaśpiewali natomiast Apress Band, Monika Lewczuk oraz Kombii. Dni Częstochowy zakończyła uroczysta msza święta na Jasnej Górze.

Narybek Teatru from Poland

CZĘSTOCHOWA. 8 sierpnia na Scenie między Ścianami (plac Biegańskiego między Ratuszem a Odwachem) wystą-

pili młodzi aktorzy z Mysłowic prowadzeni przez Jarosława Filipskiego, przez wiele lat związanego z częstochowskim teatrem alternatywnym. Zaprezentowali spektakl *Wyspa*, antyutopię polityczną zawierającą aluzje do aktualnej sytuacji w kraju. Spektakl powstał w 2018 roku i zdobył już uznanie na konkursach teatralnych.

Julia Bogunia, Kamil Czubala, Małgorzata Gawin oraz Paweł Ziegler z wielkim zaangażowaniem i entuzjazmem krytykowali rzeczywistość. Parodiowali hasła polityczne, cytowali wypowiedzi polityków. Młodzi muszą być krytyczni, to nie podlega dyskusji. Ale przede wszystkim warto docenić ich rzemiosło, wszechstronność teatralną, muzykalność, sprawność fizyczną, a także zapał i dynamikę występu. A treść? Młodzi zbudowali bardzo wyrazistą opowieść, co sprawiło, że część widowni była za, a część przeciw. Trudno rozstrzygnąć, czy tak jednoznaczne zaangażowanie w politykę teatru młodzieżowego to dobry pomysł, ale ich zaangażowanie w rzeczywistość na pewno jest niezwykle pożądane

Bitowy rytm miasta

CZĘSTOCHOWA. 26-27 lipca 2019 odbył się już po raz dziesiąty Hip Hop Elements Festival. Spotkanie zainicjowane przez Daniela Małoszyca przedstawia różne typy i odmiany hip hopu, prezentując historię i aktualne trendy. Do tej pory koncerty organizowano na Promenadzie, w tym roku koncert finałowy odbył się za pętlą tramwajową na Północy. Po breakdance jam *Clash of the Titans* na scenę weszli: ReTo, Kękę, Paluch, Sokół i PRO8L3M. Częstochowę reprezentowali Mikser oraz Dj Slim. Wcześniej w Skate Parku na Promenadzie odbyły się warsztaty graffiti dla dzieci i graffiti jam.

W piątek festiwal rozpoczęło się w OPK Gaude Mater. Piotr Kardas, autor książki *Homerecording*, udzielał porad, jak stworzyć domowe studio nagrań, a warsztaty dj'skie poprowadził DJ HWR, producent współpracujący m.in. z Grubsonem, Bobem One, Metrowym Biakiem, i przygotowujący skrecze dla częstochowskiego projektu Hurragun. Następnie odbyła się Scratch Session, na której turntabliści prezentowali swoje pomysły wykorzystania adapterów i płyt winylowych. Na zakończenie Mikser poprowadził w Rurze bitwę wolnostylową, w której uczestnicy z całej Polski rywalizowali w składaniu rymów na żywo.

Odkrywanie prehistorii

CZĘSTOCHOWA. W Pawilonie Wystawowym w parku im. S. Staszica udostępniono wystawę *Skamieniałości jurajskie – klucz do przeszłości ziemi częstochowskiej* przygotowaną przez Muzeum Geologiczne PIG-PIB w Warszawie oraz Muzeum Częstochowskie.

Zaprezentowano skamieliny z okresu jurajskiego (200–145 milionów lat temu) znalezione w Górach Świętokrzyskich, w okolicach Łukowa, ale przede wszystkim na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, dokładnie w okolicach Częstochowy – koło Rudnik, Kamyka, Zawad, Łobodna, w dzielnicach Gnaszyn i Zawodzie oraz na Jasnej Górze. Eksponaty z naszego rejonu, amonity, skamieniałe ramienionogi, łodziki czy gąbki, pochodziły przede wszystkim z kolekcji Stanisławów Kontkiewiczów, ojca (1849–1924) i syna (1883–1954). W 1916 roku przygotowano je na wystawę szkolną zorganizowaną w Gimnazjum Żeńskim Wacławy Chrzanowskiej oraz Gimnazjum Męskim Towarzystwa Opieki Szkolnej.

Na ścianach i w gablotach zawisły informacje o faunie współczesnej oraz odpowiednie rysunki. Można było także zobaczyć zęby i zrekonstruowaną szczękę pliozaura Thalassophonea znalezioną w kamieniołomie na Mirowie w latach 70. XX wieku.

Polska stanie się żeglugową potęgą

KATOWICE. Rząd przygotowuje się do budowy 90-kilometrowego kanału, który połączy Wisłę z Odrą. W gmachu Sejmu Śląskiego w Katowicach zorganizowano samorządowe konsultacje poświęcone tej inwestycji. To projekt o cywilizacyjnym znaczeniu dla Śląska i ważny element międzynarodowego planu otwarcia wodnego szlaku handlowego, spinającego państwa bałtyckie z basenami Morza Czarnego i Adriatyckiego.

Budowa Kanału Śląskiego przebiegającego w rejonach, m. in. Kuźni Raciborskiej, Rybnika, Żor, Orzesza, Tychów oraz Bierunia, to dopiero początek i element szerszego planu, zmierzającego do utworzenia wodnej „autostrady" łączącej Odrę, Dunaj i Łabę. Ta inwestycja trafiła pod obrady niedawnych polsko-czeskich konsultacji międzyrządowych.

Dalekosiężne plany rozbudowy rzecznej infrastruktury handlowej przewidują, m. in. utworzenie w Gorzyczkach-Wierzniowicach największego w Europie ponadnarodowego centrum logistycznego o powierzchni około 500 hektarów. W planach jest także zmodernizowanie szerokiego toru na trasie Hrubieszów-Sławków i przedłużenie tej linii do Gorzyczek. Powstałby gigantyczny szlak transportowy wzmacniający kontakty handlowe z krajami za wschodnią granicą, a dalej z Chinami. Jeżeli plan się powiedzie, towary z tamtego kierunku przyjadą do Polski pociągiem, a w Gorzyczkach zostaną przeładowane na rzeczne środki transportu, aby Odrą, Łabą i Dunajem popłynąć do Europy Zachodniej.

Dzieci na tropie Neli

RYBNIK. 20 młodych czytelników rybnickiej biblioteki wypełniała Oddział dla Dzieci i Młodzieży swoimi pomysłami. W wakacyjny poniedziałek, środę i piątek dzieci w wieku 7 – 12 lat brały udział w zajęciach literackich, plastycznych i ruchowych pod czujnym okiem bibliotekarek.

Każdy tydzień zajęć otwierał rozdział książki „Z Nelą na tropie przygód", który inspirował dzieciaki do prac twórczych i zabaw. Czytano m.in. o morskich skarbach Zanzibaru, wulkanach, smakach Tajlandii, dżungli czy podwodnym świecie.

Metoda dramy zainspirowała bibliotekarzy, by wraz z dziećmi tworzyć opowieści ruchowe z wykorzystaniem tekstów wierszy na temat zwierząt. Narzędziami, które posłużyły uczestnikom do tworzenia tych historii były lateksowe rękawiczki i mazaki. Z kolei za pomocą mąki, soli, oleju, sody, octu i płynu do naczyń dzieci mogły poczuć się jak w laboratorium i tworzyć „wybuchające wulkany". Smaki Tajlandii rozbudziły czytelników do tworzenia butelek sensorycznych z wykorzystaniem ryżu, koralików, makaronu, grochu, kamyczków, plasteliny, świecących, drobnych przedmiotów. Hitem okazało się tworzenie gier planszowych o nazwie „Na tropie przygód". Dzieci zachwycone pomysłem, z wypiekami na twarzy zabrały swoje dzieła do domu, by dokończyć zadanie, a później pochwalić się efektem swojej pracy w bibliotece.

W ramach trwających wakacji z biblioteką każdy miał szansę zobaczyć spektakl Teatru Bajkowe Skarbki Śląska pt. „W piekarni mistrza Bartłomieja" czy plenerowe przedstawienie „O zaczarowanym źródle" na placu zabaw przy filii nr 18 w dzielnicy Nowiny. Najmłodsi widzowie mający niespełna rok bacznie przyglądali się aktorskim poczynaniom występujących.

Kiedy Brynica i Przemsza łączyły

Setna rocznica I powstania śląskiego w Zagłębiu

W latach 1919–1921 Sosnowiec oraz całe Zagłębie były zapleczem wojskowym i logistycznym dla powstańców. Po zakończeniu działań zbrojnych w obawie przed represjami uciekły tutaj tysiące Ślązaków, w tym powstańcy. Zorganizowano dla nich prowizoryczne obozy, gdzie mogli mieszkać, powstały szpitale, w których leczono rannych powstańców, jak i cywilnych uciekinierów, natomiast w czasie pierwszego powstania w Pałacu Schoena przy ulicy 1 Maja w Sosnowcu mieściło się dowództwo sił powstańczych.

O zaangażowaniu Zagłębia Dąbrowskiego i jego mieszkańców w sprawę powstań śląskich przypomina wystawa czynna w sosnowieckim Muzeum Miejskim – Pałacu Schoena przy ul. Chemicznej. Ekspozycja pod tytułem „Kiedy Brynica i Przemsza łączyły. Sosnowiec i I powstanie śląskie – w 100. rocznicę insurekcji" otwarta została we wrześniu. Na całość wystawy składają się zarówno dokumenty, zdjęcia, jak i odznaczenia z epoki. Narracja wystawy poprowadzona jest od wybuchu I powstania śląskiego, poprzez kolejne zrywy i plebiscyt, by zakończyć się spojrzeniem na czas dzisiejszy, ukazując obecną pamięć i współczesne oceny na tamte dni.

— W chwili gdy Górnoślązacy szykowali się do walki o włączenie ich ziemi do odradzającego się państwa polskiego, Zagłębie Dąbrowskie i leżący nad granicą Sosnowiec, stały się naturalnym zapleczem dla ich działań i łącznikiem w kontaktach z Warszawą – wyjaśnia Anna Makarska z sosnowieckiego muzeum, jeden z kuratorów wystawy. — Już w marcu 1919 r. w Sosnowcu ulokowała się ekspozytura Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, co miało ułatwić kontakty tego związku z władzami polskimi.

Kiedy władze niemieckie podjęły próbę opanowania sytuacji na Górnym Śląsku i rozpoczęły politykę represji, w maju 1919 r. w Sosnowcu ulokował się Podkomisariat Naczelnej Rady Ludowej z Bytomia. Pomocy Górnoślązakom udzielano z Zagłębia także po wybuchu I powstania. Pojawiły się nawet koncepcje utworzenia oddziałów złożonych z Zagłębiaków, które ruszyłyby do walki na Śląsk. Czynnej interwencji domagał się od władz centralnych magistrat Sosnowca. Powstanie zakończyło się przegraną i ucieczką powstańców przed represjami na teren Polski. Także w czasie kolejnego zrywu powstańczego Sosnowiec i Zagłębie wspomagało działania Górnoślązaków. W lutym 1920 r. w Sosnowcu utworzono Komitet Plebiscytowy Zagłębia Dąbrowskiego. W III powstaniu Zagłębie stało się wielkim zapleczem zaopatrzeniowym dla walczących Ślązaków. Już od stycznia 1921 roku najpierw w Grodźcu, a potem w Sosnowcu mieściła się kwatera Dowództwa Obrony Plebiscytu, czyli zakonspirowanego POW Górnego Śląska. W Sosnowcu ulokowano również Ekspozyturę Związku Przyjaciół Górnego Śląska. Z inicjatywy Wojska Polskiego w Zagłębiu wzdłuż granicy lokowano magazyny z bronią i amunicją. Po zagłębiowskiej stronie granicy, tuż przed rozpoczęciem walk, formowały się powstańcze oddziały. W Sosnowcu utworzono Centralny Komitet Pomocy Górnoślązakom, na czele którego stanął prezydent miasta Robert Niersee.

Był to czas, kiedy podział na mieszkających w Zagłębiu i na Górnym Śląsku nie istniał. O tej historii i wydarzeniach sprzed 100 lat opowiada sosnowiecka wystawa, przygotowana w siedzibie Pałacu Schoena, która prezentowana będzie do 31 października. Prezentacji będą towarzyszyć wystawa planszowa, która także opowie o działalności Zagłębiaków w tamtym okresie (zostanie ona zaprezentowana w przestrzeni publicznej Sosnowca, Czeladzi, Będzina, Dąbrowy Górniczej, Zawiercia, a ponadto Katowic i Świętochłowic). Towarzyszył jej będzie bezpłatny katalog, dostępny również w wersji on-line. Natomiast 3 października odbędzie się konferencja naukowa, podczas której poruszone zostaną problemy związane z rolą Zagłębia w okresie śląskich zrywów powstańczych.

Eksponaty na wystawie pochodzą ze zbiorów Pałacu Schoena Muzeum w Sosnowcu oraz użyczyły ich: Archiwum Państwowe w Katowicach, Biblioteka Śląska w Katowicach, Muzeum Czynu Powstańczego w Górze św. Anny, Oddział Muzeum Śląska Opolskiego, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, Muzeum Miasta Mysłowice, Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Wystawa stacjonarna i planszowa dofinansowane zostały w ramach projektu „Zagłębie Powstań Śląskich" ze środków „Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017–2022" w ramach Programu Dotacyjnego „Niepodległa". Katalog wydany w ramach „Organizacji obchodów 100. rocznicy I Powstania Śląskiego przez Pałac Schoena Muzeum w Sosnowcu – dofinansowano przy pomocy dotacji celowej z budżetu Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii oraz Gminy Sosnowiec.

Oprac. Tomasz Bienek

Projekt realizowany we współpracy z Regionalnym Instytutem Kultury w Katowicach, Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach, Muzeum Miejskim „Sztygarka" w Dąbrowie Górniczej, Muzeum „Saturn" w Czeladzi, Muzeum Zagłębia w Będzinie, Miejską i Powiatową Biblioteką Publiczną w Zawierciu, Miejsko-Gminnym Centrum Kultury, Sportu i Turystyki w Siewierzu, Miejskim Ośrodkiem Kultury w Sławkowie.
Kuratorzy wystawy: prof. Dariusz Nawrot, Anna Makarska, Ewa Wojtoń
Aranżacja plastyczna: Joanna Krzysztofik
Opracowanie graficzne, skład plansz i katalogu: Paweł Dusza, Joanna Krzysztofik.

ZAGŁĘBIE POWSTAŃ ŚLĄSKICH

DLA WALCZĄCYCH ŚLĄZAKÓW

SOSNOWIEC

1921 r.

„KIEDY BRYNICA I PRZEMSZA ŁĄCZYŁY. SOSNOWIEC I I POWSTANIE ŚLĄSKIE W 100. ROCZNICĘ INSUREKCJI"

PAŁAC SCHOENA
MUZEUM
W SOSNOWCU
UL. CHEMICZNA 12
WWW.MUZEUM.ORG.PL

WYSTAWA: 12.09.2019 - 31.10.2019
WERNISAŻ 12.09.2019 / G. 18.00
WSTĘP WOLNY

KONFERENCJA: 3.10.2019, G. 10.30
WSTĘP WOLNY

ORGANIZATOR:

PAŁAC SCHOENA MUZEUM W SOSNOWCU

Instytut Zagłębia Dąbrowskiego

Śląskie.

Regionalny Instytut Kultury w Katowicach

Regionalny Instytut Kultury w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego.

PARTNERZY WYDARZENIA:

Sosnowiec łączy

PATRONI MEDIALNI:

kurier

ŚLĄSK

U ŹRÓDEŁ SŁAWY

VII FESTIWAL MUZYCZNY im.Henryka M.Góreckiego

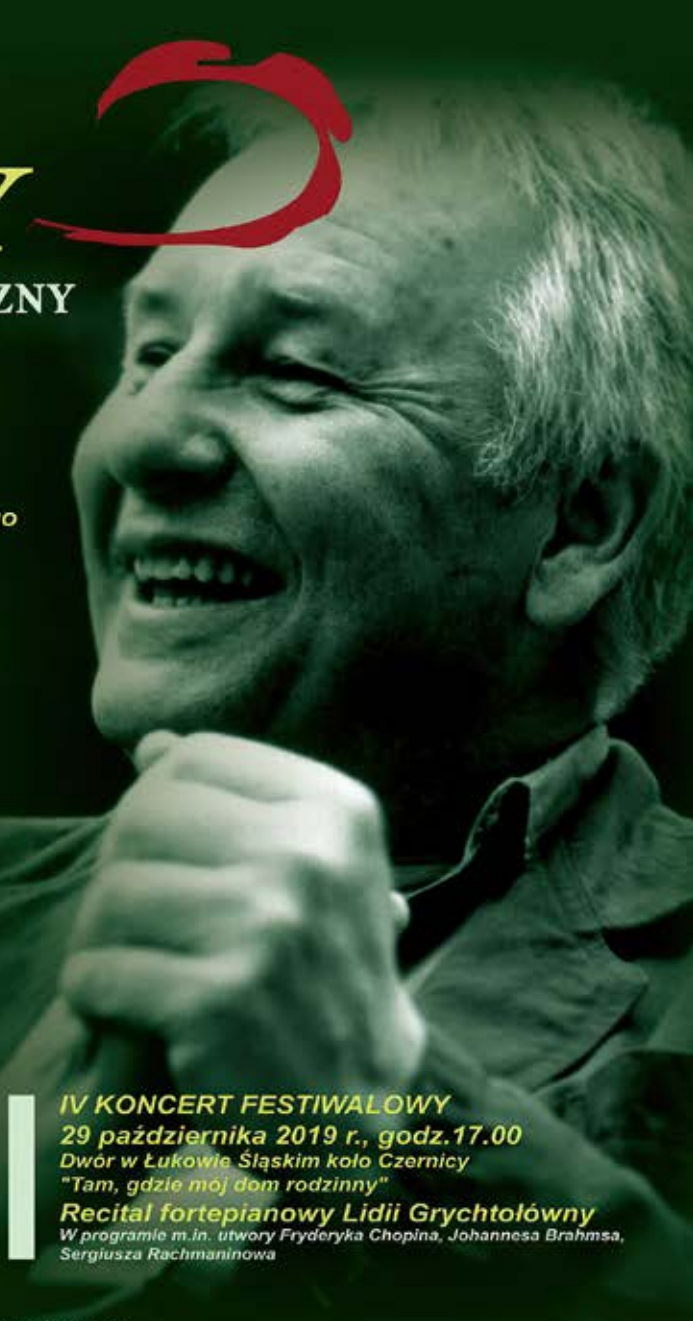

KONCERT UŚWIETNIAJĄCY
VII FESTIWAL MUZYCZNY im.Henryka M.Góreckiego
24 września 2019 r., godz.18.00
Sala koncertowa Akademii Muzycznej w Katowicach
Melodie dla przyjaciół
Wiesław Ochman i jego goście
Iwona Socha - sopran
Adam Sobierajski - tenor
Marta Gamrot-Wrzoł - sopran
Jakub Sazanów-Lubelski - tenor
Olga Tsymbalyuk - fortepian
W programie najpiękniejsze arie i duety operowe i operetkowe

I KONCERT FESTIWALOWY
6 października 2019 r., godz.18.00
Sala koncertowa Teatru Ziemi Rybnickiej
"Na jazzową nutę"
W programie:
Tribute to KOMEDA - koncert przypominający twórczość Krzysztofa Komedy w 50-tą rocznicę jego śmierci
Wykonawcy:
Agnieszka Wilczyńska - wokal
Andrzej Jagodziński Trio
Orkiestra kameralna Filharmonii Rybnickiej

II KONCERT FESTIWALOWY
22 października 2019 r., godz.16.00
Muzeum w Rybniku
"Z rybnickiego rynku"
W programie:
Ernest Chausson - Koncert na skrzypce, fortepian i kwartet smyczkowy op.21
Wykonawcy:
Kameraliści Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia

27 października 2019 r., godz.10.30
Kościół pod wezw. św.Jerzego w Rydułtowach
Uroczysta Msza św. w intencji H.M.Góreckiego z udziałem chóru "Cecylia" pod dyrekcją Ziglindy Lampert Raszyńskiej
W programie: pieśni sakralne

III KONCERT FESTIWALOWY
27 października 2019 r., godz.18.00
Sala koncertowa Teatru Ziemi Rybnickiej
"Mojemu Rybnikowi"
Uroczysty Koncert z okazji 20-lecia reaktywacji Filharmonii Rybnickiej i 50-lecia pracy artystycznej prof.Jerzego Salwarowskiego
W programie:
Robert Schuman - Koncert fortepianowy a-moll op.54
Nikołaj Rimski-Korsakow - Szeherezada op.35
Wykonawcy:
Filharmonia Rybnicka
Lidia Grychtołówna - fortepian
Jerzy Salwarowski - dyrygent

IV KONCERT FESTIWALOWY
29 października 2019 r., godz.17.00
Dwór w Łukowie Śląskim koło Czernicy
"Tam, gdzie mój dom rodzinny"
Recital fortepianowy Lidii Grychtołówny
W programie m.in. utwory Fryderyka Chopina, Johannesa Brahmsa, Sergiusza Rachmaninowa

Koncert uświetniający - wstęp wyłącznie za zaproszeniami
Koncert festiwalowy I, III - bilety do nabycie w kasie TZR
Pozostałe wydarzenia - wstęp wolny

Organizatorzy:

TOWARZYSTWO MUZYCZNE IM. BRACI SZAFRANKÓW

Rybnik

Teatr Ziemi Rybnickiej

Sponsorzy:

investBUD

STOART

Ciepłownia Rydułtowy

Ecol

armex AUTOMATYKA PRZEMYSŁOWA

ARTECH

Patronat medialny:

TVP 3 KATOWICE

RADIO 90 FM

KULTURA RYBNIK

Nowiny

DZIENNIK ZACHODNI

naszemiasto.

ŚLĄSK

rybnik.com.pl

GAZETA RYBNICKA